ROZMOWA „DO RZECZY”

Rząd PiS i PSL to political fiction – uważa poseł Władysław T. Bartoszewski

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 44/551 30 PAŹDZIERNIKA–5 LISTOPADA 2023

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Dlaczego gospodarka Rosji jest tak odporna na sankcje?

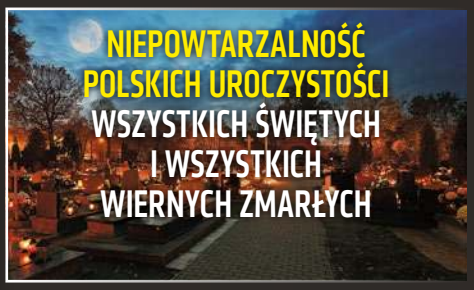

Czy Polska leży w strefie sejsmicznej

Zemsta

OPOZYCJA CHCE SIĘ ODEGRAĆ, A PIS ZASTAWIŁ NA SIEBIE PUŁAPKI

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

9 772299 850000 44 >

Nakład: 52 000 egzemplarzy

eprasa.pl 35833ab357

TRE MONTI
SZKLARSKA PORĘBA

Kup apartament w Szklarskiej Porębie

Wypoczywaj i **zarabiaj na wynajmie**

Zapytaj bezpośrednio:

8%
stała stopa zwrotu

80%
apartamentów sprzedanych

OTWARCIE
początek
2024

tremontiszklarska.pl

+48 222 571 207

eprasa.pl 35833ab357

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Autokratyzm bezobjawowy

Obserwacja zachowania publicystów i polityków opozycji, którzy do tej pory przez lata wieścili koniec polskiej demokracji pod rządami PiS, prowadzi do osobliwych wniosków. Nieliczni, jak Szczepan Twardoch, o dziwo, potrafili się zdobyć na refleksję i dostrzec, że wcześniejsza opowieść anty-PiS o rzekomo autorytarnej władzy, o fałszowaniu wyborów, o demokraturze, o reżimie itd., itp., była najwyraźniej blagą i hucpą. Takich głosów rozsądku jest mało. Dominuje cały czas przekonanie, że to, co w demokracji jest zwykłą koleją losu, czyli zastąpienie rządu przez opozycję, w Polsce oznaczało zwycięstwo sił dobra nad zamordyzmem.

Ten punkt widzenia doskonale wyraża jeden z tytułów w „GW": „Upadająca autorytarna władza zdolna jest do najgorszych rzeczy". A więc: autorytarna władza straciła władzę i dlatego teraz dopiero będzie straszna, gdy tej władzy nie ma. Komiczne, nieprawdaż? Autorytarna władza, która po przegraniu wyborów oddaje władzę opozycji, nie jest autorytarna! Autorytarna władza, która pilnuje uczciwości reguł głosowania i przechodzi do opozycji, nie jest autorytarna, tylko demokratyczna. Tak, gdyby chociaż na chwilę zacietrzewieni propagandyści mogli opuścić bańkę, w której tkwią, i spojrzeć na siebie z zewnątrz, dostrzegliby groteskowość tych wszystkich zaklęć i pseudoanaliz. Nie potrafią. Nie potrafią, bo za dużo wcześniej nawypisywali niedorzeczności, żeby teraz się z nich wycofać. Jak ma się wycofać z opowieści o dokonywanym przez PiS ludobójstwie Jacek Żakowski? Albo co ma powiedzieć Dominika Wielowieyska, która sugerowała, że Putin pospołu z Łukaszenką mieli wspierać władzę PiS, wysyłając na granicę z Polską wagnerowców?

Na razie największym dowodem zbrodni reżimu kaczystowskiego jest zakup dodatkowych niszczarek przez ABW. Mają pracować pełną parą, żeby po zbrodniach nie pozostał ślad. Przepraszam, są jeszcze inne dowody, a wśród nich tajemnicze spotkanie w Lucieniu, do którego doszło lub nie i na którym ustalono lub nie, że władza będzie inwigilować polityków opozycji lub nie. Wszystko to razem powinno prowadzić do konkluzji, że reżim PiS był najbardziej nieudolną autokracją w dziejach świata. Jakże to tak: śledzili i inwigilowali na potęgę, zbrodni dokonywali, opozycję prześladowali na każdym kroku, tłamsili i w kazamaty słali, a wyborów nie byli w stanie wygrać? Tak prześladowali strasznie, że teraz zwycięska opozycja nie będzie miała nawet kogo z więzienia wypuścić.

Jak pogodzić ten diaboliczny obraz knujących zamach stanu PiS-owców z banalną rzeczywistością, w której to władza nie była w stanie dobrze oszacować poparcia społecznego i właściwie przeprowadzić kampanii? Coś tu się chyba nie zgadza? Coś tu chyba nie pasuje? Jednak propagatorzy opowieści o zamachu na demokrację zamiast połknąć własny język, będą, widać to już teraz, dalej brnąć w to samo. Nie może się to zmienić, bo przez wszystko to, co do tej pory mówili i pisali, sami się ośmieszyli, sami zrobili z siebie, no jakby to powiedzieć, żeby nie było za mocno, osiołki. Przez cały ten patos i całe to uniesienie, z jakim zwalczali reżim, wyszli na co najmniej błaznów.

Opozycja przejmuje władzę nie wskutek rewolucji i masowych demonstracji. Nie przez śmiały atak na ośrodki rządowe lub potężne, wstrząsające krajem protesty. Zdobywa ją w sposób nudny, płaski, burżuazyjny i drobnomieszczański: mobilizując swoich zwolenników i osiągając arytmetyczną większość nad przeciwnikiem. Cóż za koszmarny banał – wygrać wybory, zdobyć większość w parlamencie i to bez przewrotu.

Jak teraz to wytłumaczyć? Uczciwość nakazywałaby przyznać, że opowieści o dyktaturze były zmyślone. Ale jak to zrobić, skoro na przekazie o rzekomej opresji zbudowana była mitologia opozycji? Nie jest łatwo i niejeden ze zwolenników opozycji zachodzi w głowę, co z tym fantem zrobić. Na przykład niemiecki komentator Klaus Bachmann z jednej strony pisze, że „jeśli nowy rząd naprawdę chce rządzić, musi skierować całą siłę państwa policyjnego, które PiS zbudował, przeciwko PiS i prezydentowi", ale z drugiej dodaje, że gdyby opozycja zastosowała taką metodę, „legitymizowałoby to z mocą wsteczną osiem lat autokratycznych rządów PiS. I uczyniłoby to Polskę trochę bardziej pluralistyczną, ale ani bardziej demokratyczną, ani bardziej konstytucyjną". Tyle że żadnego państwa policyjnego nie było, bo gdyby było, o czym pan Bachmann powinien wiedzieć z historii własnego narodu, to opozycja by wygrać nie mogła. Nie zauważając tego, Bachmann popada w sprzeczności i nie wie, czy lepsze są pluralizm czy demokracja, tak jakby można było jedno przeciwstawić drugiemu. Prościej byłoby przyznać, że żadnego autokratyzmu nie było, ale rozumiem, że po ośmiu latach kłamania na ten temat takie wyznanie nie jest proste. ©℗

eprasa.pl 35833ab357

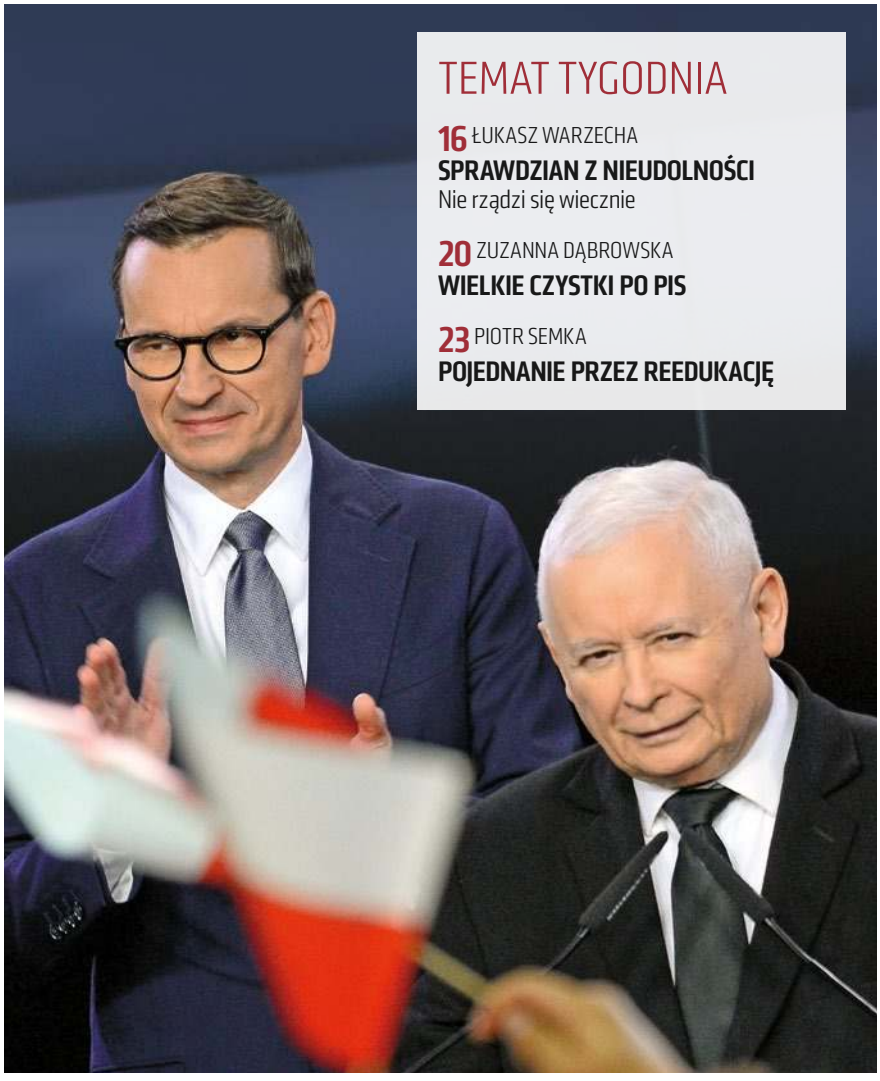

TEMAT TYGODNIA

16 ŁUKASZ WARZECHA
SPRAWDZIAN Z NIEUDOLNOŚCI
Nie rządzi się wiecznie

20 ZUZANNA DĄBROWSKA
WIELKIE CZYSTKI PO PIS

23 PIOTR SEMKA
POJEDNANIE PRZEZ REEDUKACJĘ

KRAJ

26 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
RZĄD NA PÓŁ KADENCJI
Czy czekają nas przyspieszone wybory?

28 ROZMOWA Z WŁADYSŁAWEM TEOFILEM BARTOSZEWSKIM
RZĄD PIS I PSL TO POLITICAL FICTION

31 BARTOSZ LEWANDOWSKI
CZY WYBORY SĄ WAŻNE

34 ROZMOWA Z WOJCIECHEM LABUDĄ
TO CZĘSTO PRACA WRĘCZ DETEKTYWISTYCZNA

38 ŁUKASZ ZBORALSKI
NASZE DROGIE RODZICIELSTWO

KULTURA

40 PIOTR GOCIEK
NIENASYCENIE
Robert De Niro i Leonardo DiCaprio znowu razem

42 MAREK JUREK
RASPAIL I HUZARZY APOKALIPSY

NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50 KRYSTIAN KRATIUK
BLASK LISTOPADOWYCH CIEMNOŚCI
Umieranie i pożegnanie

52 JAN FIEDORCZUK
PYCHA, ZAŚLEPIENIE I UPADEK

55 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
RONIN ERY WODNIKA

HISTORIA

56 ADAM ZUBEK
POLSKA (NIE CAŁKIEM) ASEJSMICZNA
Dlaczego ziemia się trzęsie

60 PIOTR LITKA
DONOSIŁ NA KSIĘDZA JERZEGO

ŚWIAT

62 OLIVIER BAULT
EUROPEJSKIE ZADOWOLENIE
UE ucieszona przegraną PiS

66 ROZMOWA Z NICOLASEM MONTIM
NIE POWTARZAJCIE BŁĘDÓW FRANCJI

EKONOMIA

68 MACIEJ PIECZYŃSKI
GOSPODARKA NA WOJNIE
Sankcje nie rzuciły Rosji na kolana

72 JACEK PRZYBYLSKI
ZŁA ZMIANA

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ŻEBROWSKI, KOPER (59), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (75), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 35833ab357

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **W. Stróżyk, A. Jankowski/REPORTER; oprac. graf. Sunday/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek,** tel.: 508 040 664, pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: **Prenumerata realizowana przez RUCH SA:**
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Ocalić Grób Nieznanego Żołnierza!

Bardzo niepokoi mnie zapowiadany kształt, a właściwie pewien szczegół odbudowy Pałacu Saskiego. Jak wynika z enuncjacji pracowni WXCA, która wygrała konkurs architektoniczno-urbanistyczny na koncepcję odbudowy, chodzi o „odtworzenie Pałacu oraz kamienic przy ul. Królewskiej na podstawie ich zewnętrznego kształtu architektonicznego z 31 sierpnia 1939 r.". Czyli ma to wyglądać tak, jakby po tej dacie nic się nie stało. Nie ma zgody. Trzeba tak zaprojektować odbudowę, żeby Grób Nieznanego Żołnierza wyeksponować w obecnym kształcie – wyrwany kawałek kolumnady z kikutami kolumn. Tylko w tej formie będzie miał swoją wymowę, a do osób odwiedzających plac Piłsudskiego będzie krzyczał: „Patrzcie, jak mnie potraktowano, jak potraktowano Warszawę!". Nie wystarczy pomalować tego ocalałego cudem fragmentu kolumnady na inny kolor. Chodzi o to, żeby wnuczek, który tu przyjdzie z dziadkiem, zdziwił się i zapytał: „Co to za ruina?". Żeby turysta z Hiszpanii, Ameryki czy Japonii zastanawiał się: „Co to, zabrakło Polakom cegieł?". Mamy jeden z najpiękniejszych, najbardziej wymownych grobów nieznanego żołnierza na świecie. Nie zmarnujmy tego!

Adam Zubek,
Warszawa

„Klucz do migracji", Rafał A. Ziemkiewicz, „DRz" nr 42/2023

Szanowna Redakcjo!

Z wielkim zainteresowaniem (jak zwykle) przeczytałam artykuł Rafała A. Ziemkiewicza „Klucz do migracji" [...].

Zlaicyzowana Europa, w imię praw człowieka wywiedzionych, a jakże, z chrześcijaństwa (m.in. zachowanie życia, ochrona własności), chce zachować swój stan posiadania. Islamiści (bez Allaha) całą resztę świata uważają za niewiernych, a więc ich los jest przesądzony. To już nie jest konflikt religijny, tylko konflikt sytego społeczeństwa, gdzie dobrobyt pochodzi z wieloletniej pracy pokoleń z niecierpliwymi tłumami, pragnącymi zdobyć ten dorobek siłą, bez pracy. Zbyt mały socjal, niechęć do nawet stopniowej asymilacji, lekceważenie „białych" i trudności w zdobyciu upragnionego statusu społecznego powiększają szeregi radykałów. W meczetach do modlących się tłumów, przemawiają tacy właśnie mułłowie.

I na koniec: nie mogę zrozumieć ślepoty Zachodu wobec spraw oczywistych – imigracja = zniszczenie Europy. To jednak są lemingi, które ruszają w stronę przepaści, ale – co ważne – w znajomym towarzystwie. Poprawność polityczna jest zaraźliwa, choć jest nadzieja w tych, którzy mają wrodzoną odporność na nią...

Z wyrazami szacunku
J. Sarosiek

eprasa.pl 35833ab357

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Niewygodny świadek

W latach 70., kiedy dopiero wchodziłem w świadome życie, żyło jeszcze sporo osób, które przeszły przez obozy koncentracyjne. Jako znajomi mojej babci lub moich rodziców przewijali się przez mój gdański dom. Szybko zauważyłem, że podzielić ich można było z grubsza na dwie kategorie. Jedni po okupacyjnej tragedii odsunęli się od Kościoła. Być może mieli pretensje, że Bóg był obojętny wobec wojennych cierpień milionów ludzi. Była też druga kategoria byłych więźniów kacetów. Ludzi, którzy marznąc na placach apelowych lub będąc zmuszanymi przez Niemców do oglądania dręczenia innych więźniów, zrozumieli, co przejść musiał Jezus Chrystus przed śmiercią na krzyżu.

Zmarła niedawno Wanda Półtawska należała do tej drugiej grupy. Wyniosła ze swojego wojennego pobytu w obozie w Ravensbrück przekonanie, że jej obowiązkiem jest ratowanie życia najsłabszych. Nie zwykła bez ważnego powodu opowiadać o tym, co widziała w obozie. Z relacji innych więźniarek wiemy o tragediach dzieci odbieranych niewolnicom III Rzeszy tuż po porodzie. Wiemy o upiornych doświadczeniach przeprowadzanych na kobietach.

Wanda Półtawska została lekarzem. Zamieniła swoje straszne doświadczenie w powołanie pomocy bliźnim. Została adiunktem w Klinice Psychiatrycznej Akademii Medycznej w Krakowie. Prowadziła badania tzw. dzieci oświęcimskich, które narodziły się za obozowymi drutami. W 1967 r. zorganizowała Instytut Teologii Rodziny przy Papieskim Wydziale Teologicznym w Krakowie. Namawiała kobiety do porzucenia myśli o aborcji. Walczyła o szacunek dla życia nienarodzonych.

Wydawało się, że jej losy i osiągnięcia będą znajdowały szacunek nawet u osób, które inaczej patrzą na kwestie etyczne. Stało się inaczej. Od ponad dwóch dekad jej dobre imię jest kwestionowane w sposób niekiedy wyjątkowo perfidny. Kiedy zaproponowano, by została patronką oddziału noworodkowego jednego z krakowskich szpitali, doszło do lewicowych demonstracji. Przy okazji jej stulecia urodzin media pisały o niej jako o kontrowersyjnej postaci. Także po jej śmierci nie zabrakło niechętnych jej opinii, np. na antenie Radia TOK FM. Jeden z uczestników debat o reformowaniu polskiego katolicyzmu, Marcin Kędzierski, nie mógł się powstrzymać, aby w dniu śmierci dywagować, czy „wizja kobiecości, którą głosiła i którą to wizją przesiąknęła Wojtyłowe myślenie o kobietach, była właściwa" i czy „przyniosło to tylko dobre owoce czy też stworzyło nowe problemy, z którymi musimy się dziś mierzyć". Czy nie można było tych słów napisać miesiąc po odejściu pani Wandy?

Zwolennicy zmian w myśleniu o etyce seksualnej w Kościele potraktowali jej odejście jako ostateczne zamknięcie epoki wojtyliańskiej w Polsce. Czy jednak nie jest tak, że za ileś czasu roszczące sobie prawo do naukowości teorie zbledną lub okażą swoją powierzchowność, a idee Wandy Półtawskiej okażą się o wiele bardziej solidne, niż to się dzisiaj jej krytykom wydaje?

Z tą myślą w Zaduszki zapalę znicz ku pamięci pani Wandy. ©℗

FOT. TWITTER.COM/MICHALDWORCZYK

MROCZNA TAJEMNICA WSI PUŹNIKI

W byłej miejscowości Puźniki, położonej w pobliżu ukraińskiego miasta Buczacz w rejonie czortkowskim obwodu tarnopolskiego, polscy i ukraińscy naukowcy odnaleźli masowy grób Polaków zamordowanych przez ukraińskich nacjonalistów w nocy z 12 na 13 lutego 1945 r. „To pierwszy przypadek od ponad dziewięciu lat odnalezienia na Ukrainie szczątków Polaków, ofiar ukraińskich nacjonalistów" – poinformował w mediach społecznościowych Michał Dworczyk. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 35833ab357

O życiu, które na śmierć nie umiera

Ból zelżał. Pan Stanisław wreszcie śpi spokojnie. Pani Anna dzięki pomocy medycznej, dostarczonemu sprzętowi i przeszkoleniu domowników do ostatnich chwil była u siebie. Pan Jan niecierpliwie czeka na koncert w hospicyjnej auli, może swój ostatni. To tylko niektóre z owoców działania Hospicjum im. św. Matki Teresy z Kalkuty i Hospicjum Domowego prowadzonych przez kielecką Caritas

Obie placówki służą tym, którzy weszli w ostatni etap życia, starając się ulżyć w cierpieniu, nieść emocjonalne i duchowe wsparcie oraz być przy zrozpaczonych rodzinach. Tylko w 2022 r. kieleckie hospicja udzieliły pomocy 640 pacjentom. Kielce nie są wyjątkiem. Hospicja, domowe lub stacjonarne, funkcjonują w 22 Caritas diecezjalnych w Polsce. Ogółem pod patronatem Caritas działa 50 takich placówek i właśnie obszar opieki paliatywnej należy do szczególnie ważnych w całym spektrum posługi wobec bliźniego, którą podejmują diecezjalne Caritas.

PRZED OSTATNIM TCHNIENIEM

Fundamentem opieki hospicyjnej są medycy: onkolodzy, specjaliści medycyny paliatywnej, którzy zmniejszają tempo rozwoju wyniszczających chorób i łagodzą ból. Pomagają lekarze innych specjalności, bo pacjenci obok śmiertelnych chorób cierpią z powodu schorzeń towarzyszących. Kluczowe są także działania pielęgniarek, fizjoterapeutów, opiekunów medycznych, którzy kontrolują ból, umożliwiają poruszanie się i pielęgnują pacjentów.

Leczenie objawowe to nie wszystko. Chory wraz z rodziną są objęci opieką psychologów. Często rodzina takiej pomocy potrzebuje najbardziej, aby umiejętnie przeżywać czas choroby, być dla chorego wsparciem i uporać się z bólem rozstania. Hospicja Caritas poprzez osobę kapelana odpowiadają też na duchowe potrzeby wierzących podopiecznych.

LUDZIE DOBREJ WOLI

Specjalistów wspierają wolontariusze i darczyńcy. Są wśród nich wolontariusze opiekuńczy: cicho towarzyszą pacjentom przy łóżkach. Pomagają w codziennych czynnościach, spełniają marzenia, rozmawiają, czytają, modlą się. Niełatwo trwać przy umierających, ale każdy z takich wolontariuszy powie, że „otrzymuje więcej, niż daje". Pomagają też wolontariusze akcyjni: organizują w hospicjum spotkania towarzyskie, pieką ciasta, wykonują prace porządkowe, kwestują… Są dowodem na to, że społeczna wrażliwość ma się całkiem nieźle. I w końcu darczyńcy: dzielą się swoimi pieniędzmi, podnosząc standard opieki i uzupełniając budżet hospicjów, który tylko w części zabezpieczają środki z NFZ. Ta pomoc jest mierzalna, ale dobroć darczyńców to coś znacznie więcej niż przekazana suma, to także okazana życzliwość, dobre słowo, modlitwa.

PORTAL DLA TYCH, KTÓRZY CHCĄ POMAGAĆ

Dla tych osób, a także dla rodzin, wychowawców i wszystkich, którzy chcą pomagać, został stworzony specjalny portal internetowy hospicjowo.caritas.pl. Osoby rozważające wolontariat znajdą tu informacje o jego formach i zobaczą inspirujące teksty oraz spoty filmowe, które dodadzą odwagi. Darczyńcy mają do dyspozycji opcję ogólnego wsparcia dla danej placówki oraz zbiórki celowane, na sprzęt, rozwój infrastruktury, wydarzenia kulturalne dla pacjentów hospicjów. Portal polecamy również nauczycielom: publikacje i materiały multimedialne na blogu z powodzeniem można wykorzystać w kształtowaniu wrażliwości młodych ludzi. Rodziny zaś mogą tu znaleźć wsparcie w żałobie.

Hospicjowo to przestrzeń spotkania osób, którym bliska jest idea hospicyjna realizowana przez Caritas w duchu miłości bliźniego, miłości bratniej, podnoszącej i wspierającej. Portal działa od niedawna, ale ma ambicje być miejscem, gdzie znajdą coś dla siebie wszyscy, którzy mają odwagę mierzyć się z kruchością ludzkiej egzystencji i którzy chcą zobaczyć, jak wiele życia toczy się w hospicjum i dla hospicjum.

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

Hospicjowo caritas

eprasa.pl 35833ab357

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Statystyczny faszyzm

Rozpędzający się właśnie na powyborczej fali tropiciele faszyzmu powinni pilnie zająć się pracowniami wrzucającymi do infosfery tzw. statystyki. Nie myślę o krajowych – szefowie IBRiS czy IBSP mają za swe „symetrystyczne" praktyki obiecane, że „będą siedzieć", już od dawna. Ale to niewiele poprawi dopóty, dopóki nie zneutralizuje się faszystowskich ośrodków, które zalęgły się tuż pod latarnią, w samej Unii Europejskiej. Tak! Tam!

Przyjrzyjmy się takiej ideologicznej dywersji przeciwko nowym, demokratycznym władzom Polski, którą wykonała unijna Agencja Praw Podstawowych (FRA) tzw. badaniem na temat rasizmu. Demokratyczne media podnoszą, że w pisowskiej (jeszcze) Polsce niesiono skandaliczny, antysemicki transparent – w pocie czoła zamilczając, że niosła go Norweżka, na niszowej manifestacji skrajnej lewicy – a wspomniana agencja wbija im nóż w plecy, oznajmiając, że ze wszystkich unijnych krajów najmniejszy odsetek kolorowych doświadczył rasizmu właśnie w Polsce. Że niby tylko 20 proc., gdy w Niemczech i Austrii trzy czwarte, a nawet w Szwecji jedna czwarta. Tak jakby autorzy tego dziwacznego rankingu nie oglądali Agnieszki Holland ani innych filmów, z których wiadomo, że kto jak kto, ale Polacy są rasistami najgorszymi.

To nie jest wcale odosobniony wypadek. Kiedy poseł Leszczyna i cała jej partia ostrzegają Polaków przed straszliwą „dziurą Morawieckiego", katastrofą budżetową i ruiną, w której zostawia państwo PiS, jakiś Eurostat upiera się głupio, że polskie finanse są stabilne, długi rzekomo poukrywane, doskonale unijnym audytorom znane i wliczone do deficytu, który po ich uwzględnieniu i tak jest znikomy na tle reszty Unii?

A „badanie", które wykazało, że 33 proc. Niemców poniżej 35. roku życia akceptuje bicie kobiet, a 35 proc. przyznaje się, że je bije? Jak można takie rzeczy insynuować Niemcom, nosicielom wyższej kultury prawnej, stawianym polskiej ciemnocie za wzór? Doprawdy, zwycięski „obóz demokratyczny" musi z tym skończyć! ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Węgierskie rozdroże

Turcja odblokowuje członkostwo Szwecji w NATO. W zamian oczekuje od Szwecji ograniczenia emigracyjnej działalności separatystów kurdyjskich, a od USA – sprzedaży samolotów F-16. Traktowanie tego jako „polityki transakcyjnej" byłoby daleko idącą redukcją. Walka z antytureckim separatyzmem i wzmocnienie obrony to nie postulaty wymyślone ad hoc, ale priorytety tureckiej racji stanu. Państwo musi mieć strategię oraz agendę narodowych interesów, by uruchamiać ją, gdy partnerzy oczekują wsparcia interesów własnych. W ten właśnie sposób suma interesów tworzy rzeczywistą współpracę.

Niestety, przyjęciu Szwecji do NATO nadal sprzeciwiają się Węgry. Wielokrotnie tłumaczyłem prawo Węgier do własnej polityki w czasie wojny ukraińskiej. Viktor Orbán zaasekurował na wschodzie ekonomiczne interesy swego kraju, chroniąc go w ten sposób przed dyskryminacyjną polityką Unii Europejskiej. Mimo wojny nie chciał z tej polityki zrezygnować, by nie pozostawać na łasce i niełasce Brukseli.

Teraz nie chodzi jednak o zakres udziału w polityce Zachodu, ale o nasze bezpośrednie relacje. Kwestia nie dotyczy już zakresu pomocy militarnej dla Ukrainy, lecz bezpieczeństwa nad Bałtykiem. To nie Francja czy Holandia chcą bowiem Szwecji w NATO, ale Polska i państwa bałtyckie.

Rząd Mateusza Morawieckiego kończy swoją misję. To jeszcze czas, by profesor Rau zakomunikował bezpośrednio swemu odpowiednikowi, ministrowi Peterowi Szijjártó, że ostatnie kroki Węgier zdecydowanie rozchodzą się z polsko-węgierską solidarnością. Donald Tusk od dwóch lat atakował współpracę PiS i Fideszu. W ten sposób odwracał uwagę od najgorszych momentów swojej polityki wobec Rosji. Teraz chodzi o względy ważniejsze niż wizerunkowe, o polską rację stanu po prostu. Przyjaźń nie jest obowiązkiem, ale – jeśli się ją deklaruje – ma swoje, choćby brzegowe, wymogi. ©℗

eprasa.pl 35833ab357

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O hienach i szakalach

Życiowy partner premier Giorgii Meloni, dziennikarz telewizyjny Andrea Giambruno, czyniąc poza anteną awanse młodej koleżance, popisał się żenującymi, wulgarnymi, seksistowskimi odzywkami. Kamery tę totalną kompromitację zarejestrowały, a satyryczny program pokazał wszystko Włochom. Meloni wydała oświadczenie, w którym dziękuje Andrei za piękne chwile, a przede wszystkim za siedmioletnią córeczkę Ginewrę, ale jest zmuszona zerwać 10-letni związek, który i tak się rozpadał.

Tyle żenująca, co smutna historia, która zapewne jest i będzie bolesną raną dla trojga bohaterów dramatu, szczególnie Ginewry, stała się żerem dla obrzydliwych ścierwojadów włoskiej polityki i wszystkich bez wyjątku mediów. Naturalnie chodziło o to, żeby zbić kapitał polityczny i wyszydzić Giorgię Meloni. „Patrzcie, co się stało w związku kobiety, która propaguje tradycyjną rodzinę" – powiadają „tęczowi". Komentator „Corriere della Sera" Beppe Severgnini: „Nic mnie nie dziwi. Czemu Meloni nie zrobiła tego wcześniej?!". Czyli cokolwiek się stało, wszystkiemu winna Meloni.

Nie dziwię się żerującym na takich historiach pismom dla kucharek. Tragedia polega na tym, że ścierwojadami stały się czołowe włoskie dzienniki: „Corriere della Sera", „La Repubblica" (prześmiewcze dwa teksty na dwóch stronach) i „La Stampa". To samo działo się w najpoważniejszych programach publicystycznych włoskich telewizji, w tym publicznej RAI. Włoskie media stały się jednym wielkim tabloidem i kolejką do magla.

Niemal wszyscy autorzy tych enunciacji to na co dzień apostołowie postępu społecznego i kapłani religii politycznej poprawności, której jeden z dogmatów mówi o szacunku dla życia prywatnego, a inny: „Róbta, co chceta". Najwyraźniej jednak u wszystkich osobników tego panopticum nad kulturą, niechby nawet politpopu, znów górę wzięła nieciekawa, obrzydliwa natura. I wyszło jak zwykle: imponujący akt strzelisty pomnikowej hipokryzji, podlanej niechęcią, jeśli nie nienawiścią. Tfu. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 35833ab357

ZUZANNA DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

NIE TAK DOLARSOWO

Kariera Caroline Derpienski rozwija się w najlepsze. Można śmiało rzec, że pochodząca z Białegostoku rezydentka Miami stała się wręcz pierwszoligową celebrytką. Nie, nie, nie w USA. W Polsce. Tak czy inaczej, biznes się kręci. Nie bez znaczenia są kolejne plotkarskie aferki, które usilnie rozpętuje wokół samej siebie. Aferka najnowsza wybuchła po opinii, którą na temat Kerolajn ośmieliło się wygłosić małżeństwo Rubików, również zamieszkujące Ju Es Ej. Podczas relacji live na Instagramie Agata Rubik odniosła się do komentarza internauty, który wymienił „biegającą bez majtek" Derpienski jako jeden z minusów życia w Miami. Modelka w odpowiedzi napisała wówczas, że „najgorsi ci, co bez majtek biegają", co wyraźnie rozjuszyło 23-letnią Derpienski. W rozmowie z Pudelkiem zarzuciła Rubikom, że nie stać ich na życie w Miami i muszą dorabiać na dożynkach.

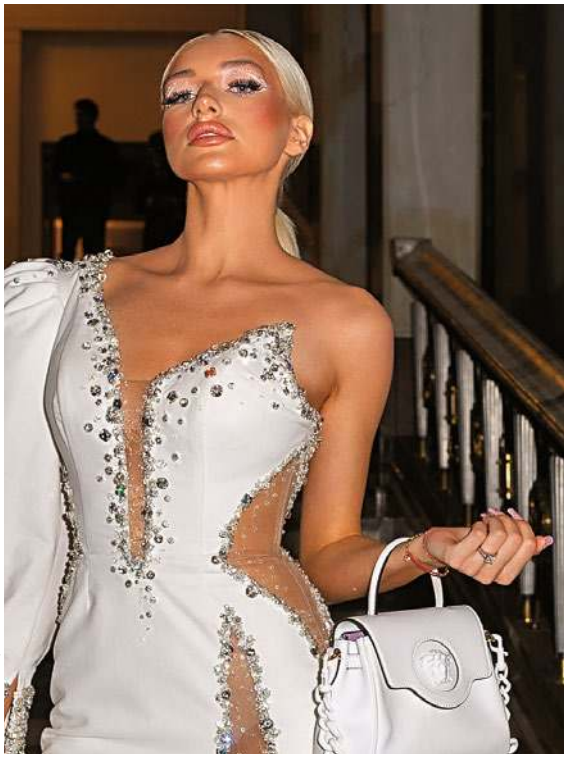

FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

To jednak dopiero początek. Traf chciał, że krótko potem Caroline spotkała w samolocie lecącym z USA do Polski... Piotra Rubika. – Nie było dolarsowo. Cały czas się na mnie patrzył, ale „dzień dobry" nie powiedział. Nie zamieniliśmy ani jednego słowa. Gbur. Widać, że nastawiony przez zazdrosną żonę, która uważa, że w Miami chodzę bez majtek, a majtki zawsze mam – relacjonowała nasza gwiazda. Dyrygent od klaskania zarzekał się, że absolutnie nie kojarzy celebrytki, która siedziała w podróży obok niego. – Zostałem zarzucony masą screenów, z kim leciałem w samolocie. Nie znam osoby. W samolocie nie zwracam uwagi, na to, co się dzieje wokół. Zajmuję się swoimi sprawami. Głupio się czuję, kiedy ktoś robi mi zdjęcie z ukrycia. Jak zobaczyłem, że ktoś mi robi zdjęcie, to się obejrzałem, ale nie znam tej pani, nie znam jej książek, piosenek czy co tam robi. Nie znam człowieka, więc nie ma sensu komentować. Może powinienem wiedzieć, kto, co i jak, ale ja się kompletnie tym nie interesuję – tłumaczył Piotr. Spokojnie, Piotrze, nie powinieneś.

AŻ BOLI GŁOWA

Akcja rodzi reakcję. Caroline zdążyła już odnieść się do słów Rubika. Influencerka jest oburzona tym, że kompozytor może jej nie kojarzyć. Derpienski przekonuje, że przyglądał się jej przez większość lotu do Polski. Nie omieszkała zakpić z działalności zawodowej Rubika. – Pan, który robi cyrk w Miami dla artykułów i zarabia tylko na Polakach, udaje, że nie zna najbardziej klikalnej polskiej celebrytki Caroline. Bardzo ciekawe, tak jak patrzenie się na mnie przez 90 proc. lotu i wysłuchiwanie Agatki gadającej o moich majtach. Wiem, że jestem ładnym obrazem, ale nie musiał zrzucać swojego gburstwa na kobietę – przekazała Caroline w oficjalnym „stanowisku". Narzeczona 60-letniego milionera Jacka obrusza się też na deklaracje Rubika o nieznajomości „jej książek, piosenek czy co tam robi". Caroline zapowiedziała, że jeśli kiedykolwiek wyda książkę, to zrobi to za własne pieniądze. – Jak już, Panie śpiewający na dożynkach, to książkę swoją, jak zechcę, to wydam za swoje pieniądze, a nie będę robić zbiórki po Polakach, tak jak ty to zrobiłeś pod pretekstem wydania nowej płyty. Przynajmniej ja płacę za business class sama, a nie czekam, aż organizatorzy festynu pokryją – wykłóca się Caroline. Aż mnie głowa rozbolała. A państwa?

SURPRISE, SURPRISE

Ten Zenek Martyniuk to się ma. A to ktoś zaatakuje go na koncercie, a to synek odwali coś takiego, że wstyd. Tym razem akurat nie wstyd, ale zaskoczenie jest, trudno przyznać, że nie. W minionym tygodniu media obiegła wieść o ślubie niesfornego Daniela Martyniuka z ukochaną Faustyną. Ponad rok po zaręczynach w Wenecji syn „króla disco polo" i wybranka jego serca powiedzieli sobie „tak" na Bali. Instagramy i inne zalała fala urokliwych fotografii przy wodospadzie. – Wesele w Polsce zostało zaplanowane w moich rodzinnych stronach, Sierpcu. Nie wyobrażamy sobie, aby nie podzielić się szczęściem z rodziną i bliskimi – mówi świeżo upieczona pani Martyniukowa. Opowiada, że małżonek przygotował dla niej niespodziankę – podczas ślubu zaśpiewał piosenkę swojego ojca – „Przyjdzie czas". Co ciekawe, uroczystość, do ostatnich chwil, była utrzymana w ścisłej tajemnicy. Okazuje się, że Danuta i Zenon Martyniukowie nie tylko nie uczestniczyli w balijskim ślubie jedynej pociechy, lecz także nic o nim nie wiedzieli. – Ale jakiego ślubu?! – odpowiedziała zmartwiona Danuta Martyniuk na pytanie reporterki Pudelka o ceremonię. Gdy dowiedziała się, że Daniel i Faustyna są już małżeństwem, nie kryła zaskoczenia. – Mhm... Ja nic nie wiem – skwitowała. Podobno Zenek przyjął tę informację jeszcze gorzej, bo gdy tylko dziennikarz zapytał przez telefon o ślub jedynaka, muzyk rzucił słuchawką. Jeśli jeszcze dodamy, że Daniel porzucił pierwszą żonę, z którą ma dziecko, to każdy łatwo zrozumie reakcje rodziców młodego Martyniuka. Nie wszyscy lubią niespodzianki. Szczególnie takie. ©℗

eprasa.pl 35833ab357

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, no więc jednak nie wyjeżdżamy!!! Znów będziemy mieć premiera Tuska, postępową koalicję z tylko lekko ją uwsteczniającymi Kosiniakiem-Kamyszem i Hołownią, Europa się cieszy, Nowy z Tarnowa w popłochu niszczy dokumenty, cały open spejs zawalony niszczarkami – no obłęd.

W każdym razie czujemy się, jakbyśmy byli znów w 2012 r. i mogli odetchnąć pełną piersią – gdyby tylko nie ten Duda. Bo sami wiecie: do pełnego powrotu do stanu sprzed krwawej pisowskiej dyktatury brakuje nam tylko obsadzenia urzędu prezydenta. Niestety, musimy jeszcze zaczekać dwa lata, ale co tam, przetrwaliśmy dyktaturę, przetrwamy i to.

Na razie zastanawiamy się, kiedy na naszych kontach się pojawią środki z odblokowanego KPO. Akurat dobrze, jakby wpadły jeszcze przed końcem roku, to byłoby na święta i może na jakieś narty w sylwestra – of kors nie na alpejskich lodowcach, iż środków musi wystarczyć dla wszystkich i my to rozumiemy, ale gdzieś na Słowacji też brzmi nieźle.

Sami więc widzicie, iż perspektywy rysują się przed nami piękne i zrobiło się nawet jakby bardziej kolorowo pomimo tej szarej, paskudnej polskiej jesieni. Czekamy więc z nadzieją na nasz zaprzyjaźniony, nieheteronormatywny Jesień!

No ale wiadomo, iż zanim to nastąpi, trzeba się jeszcze będzie chwilę przemęczyć i przetrwać te ostatki z fashystoffskim reżimem, w tym zbliżający się grobbing. W tym roku wypada on bardzo złośliwie, ponieważ w środku tygodnia, przez co ani nie możemy zrobić sobie długiego weekendu pod znakiem chillowania, kraftowego piwerka i woke seriali na Netflixie, ani nie ma sensu jechać po słoiki do wielkich ośrodków.

W tej sytuacji najprawdopodobniej pozostaniemy w wielkim ośrodku i dzień przed zmasowanym atakiem grobberów na komunikację miejską pobawimy się w Halloween. Na szczęście jest to tradycja coraz mocniej zakorzeniana nawet w Czarnkowych szkołach i przedszkolach. Nikogo nie dziwi widok osobodzieci, które przebierają się w różne zabawne kostiumy i oczekują prezentów w zamian za nierobienie psikusa.

My of kors mamy przygotowanych kilka koncepcji strojów z tej okazji, natomiast nie wiemy, czego Nowy z Tarnowa mógłby się bardziej przestraszyć (iż Halloween wciąż nie jest świeckiem wolnym od pracy, będziemy je musieli obchodzić w korpo).

Mamy więc pomysły, iżby przebrać się np. za pakiet „Fit for 55" – jedno z nas za elektryczny samochód, inne za dom pasywny, ktoś jeszcze za pompę ciepła.

Frendziary mogą zaproponować wcielenie się w rolę rewolucji światopoglądowej: jedna się przebierze za feminizm lesbijski, druga za kobiecizm, czwarta za prawo do wyboru, a piąta za legalizację i uregulowanie pracy seksualnej. Ale w takich kostiumach raczej nie wyjdą na ulice, wiadomo, jaka mentalność zaściankowa jest w tym kraju, zaraz ktoś by wezwał policję.

Zawsze więc zostaje przebranie się za rozdział Kościoła od państwa czy wyprowadzenie religii ze szkół do sal katechetycznych.

A dla mniej kreatywnych członków kolektywu zostaje legalizacja małżeństw tożsamych płciowo oraz adopcja przez nich osobodzieci. Jednak pamiętamy, iż są to dość stare pomysły na kostiumy i musimy zakładać, iż raczej zostaną zignorowane, niż wzbudzą realny strach. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

A może jednak Donald?

Andrzej, no to ja dostanę misję stworzenia rządu, prawda?
Jasne, Mateusz. Bo kto inny by miał?

No właśnie, cieszę się, że też tak myślisz.
No właśnie myślę, że jeśli ktoś inny, to może jednak Donald.

Ale jak to? Przecież mówiłeś...
Nie martw się, jaki znowu Donald.

Uff, ale mnie wystraszyłeś, ja już z Jarkiem wszystko obgadałem.
Chociaż w sumie... A może jednak Donald?

Podasz mi tę szklankę z wodą? Jakoś mi duszno...
Masz jakąś monetę?

No mam tu coś, euro akurat.
Dobra. Chcesz być orłem czy reszką? O popatrz, to niemieckie euro, akurat szwabski orzeł tu jest. ©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„Daje PiS czas na niszczenie papierów przez następne tygodnie".

GRZEGORZ SCHETYNA, *poseł KO, na platformie X o tym, że prezydent nie wyklucza powierzenia misji stworzenia rządu politykowi PiS*

eprasa.pl 35833ab357

dwaj panowie g

W cieniu dyskusji o tym, kto z Eine Totalopposition ma objąć wielkie łupy, toczy się w Peło dyskusja także o łupach mniejszych. Na przykład resort kultury. Słyszeliśmy o dwóch typach. Paweł Kowal lub Paulina Hennig-Kloska. I tak nagle oto po raz pierwszy w życiu okazało się, że marzymy, by Ministerstwo Kultury dostał ktoś z Peezelu.

Wcale nie żartujemy. Tak sobie bowiem pomyśleliśmy, że gdyby kultura przypadła zielonym braciom, to może nie przerobiliby wszystkich muzeów rozkręconych za Glińskiego w instytuty LGBT. Inna sprawa, że na konserwatyzm w tej kwestii można liczyć jedynie u starych ludowców, takich, którzy jeszcze pamiętają ZSL albo pierwszy rząd z SLD. A oni wszyscy woleliby być ministrami rolnictwa albo sprawdzać się w biznesie.

Giełda nazwisk dotyczy też nazwisk do pełnienia rozmaitych funkcji, niekoniecznie ministerialnych. Pojawiły się więc ploteczki, kto ma zastąpić jednego z Panów G. na placówce w Berlinie. Najczęściej jest wymieniany jego poprzednik, którego nazwisko mało kto pamięta. Ale najlepsza ploteczka mówi o wysłaniu do Berlina osobnika, którego znajomość języka ogranicza się do fraz usłyszanych w „Stawce większej niż życie" czy „Czterech pancernych". Nie wróżymy mu powodzenia, bo takie sformułowania jak „raus" czy „Hände hoch" rzadko przydają się w codziennym życiu.

Z archiwum. „Paweł Szrot jest jedynką w Bydgoszczu. Jeśli zasili ławy poselskie, to niejaki Masta, czyli Marcin Mastalerek, przestanie być szarą eminencją pałacu prezydenta Andrzeja Sebastiana, a zajmie miejsce Szrota jako nowy szef gabinetu prezydenta". Tak pisaliśmy w naszej rubryce 4 września. Pozdrawiamy zatem wszystkich kolegów dziennikarzy, którzy „ustalili to" tydzień czy dwa tygodnie temu.

Z archiwum, część 2. „W najbliższym czasie dotychczasowy komendant główny policji Jarosław Szymczyk straci stanowisko". Tak pisaliśmy w naszej rubryce 2 października. Pozdrawiamy zatem wszystkich kolegów dziennikarzy, którzy… (jak wyżej). Dalej nie chce nam się wymieniać, bo o tym, że Jarosław Guzy zostanie ambasadorem na Ukrainie, to pisaliśmy w marcu. Ale kto tam dziś w ogóle pamięta, że istnieje taki miesiąc jak marzec.

Jeszcze o rozliczeniach i rozważaniach z cyklu „ostrożni po fakcie". Najciekawsze są te, o których głośno się nie mówi, zwłaszcza dziennikarzom. Dotyczą one dwóch ważnych foteli, które pozostaną na razie obsadzone przez ludzi dobrej zmiany już po tym, jak władzę ona utraci. Chodzi o szefa NIK oraz o prezes Trybunału Konstytucyjnego. W obu przypadkach miało być inaczej, niż jest, ale zabrakło swego czasu odwagi oraz woli politycznej.

Już wyjaśniamy. Mało brakowało, aby szefem NIK został niejaki Tadeusz Dziuba. Niestety, Nowogrodzka uparła się na Mariana Banasia. Z wiadomym skutkiem. Druga sprawa to plan, o którym pisaliśmy dwa lata temu: żeby Boguś Święczkowski po tym, jak zostanie sędzią Trybunału Konstytucyjnego, został też jego przewodniczącym. Możliwa była taka interpretacja przepisów. Ale po nią nie sięgnięto. A obawiamy się, że w 2024 r. (to już druga interpretacja przepisów) już się nie uda. Krótko mówiąc, kiedy Jarosław Naczelnik mówi, że to wszystko jego wina – to mówi to nie bez racji.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Są i tacy, którzy mówią, że PiS nie ma większości, bo zawalił mikrotargetowanie w kampanii. Na szczęście druga strona ma z tym podobne kłopoty. Na przykład bombardowani ostatnio jesteśmy propozycjami, by przeczytać i zrecenzować książkę „Chrześcijaństwo. Amoralna religia". Szanowny wydawco! Wysyłać taką pozycję do „Do Rzeczy" i oczekiwać ciepłego przyjęcia to tak, jakby do siedziby Peło wysyłać poradnik „Uczciwość w biznesie".

Tymczasem w PiS odmłodzenie partii. Zmiana pokoleniowa nie tylko została zapowiedziana, ale jest już w toku. W Warszawie szef struktur z rocznika 1983 został zastąpiony przez rocznik 1966. Wygląda na to, że odmładzanie będzie równie udane jak walka o samodzielną większość w Sejmie.

Najbardziej lubimy piosenki, które już znamy, dlatego z woli wyborców w Sejmie pozostanie kochany poseł Szczerba. Przy okazji – mamy zadanie dla dziennikarzy śledczych, żeby sprawdzili, wedle jakich cenników jego wyborcze reklamy obecne były tak obficie w pojazdach komunikacji miejskiej w Warszawie. Natomiast teraz zastanawiamy się nad jego zapowiedzią powołania dwóch komisji śledczych, które będą rozliczać PiS, i transmitowania ich obrad w TVP Info. To znaczy, że kochany poseł nie chce już likwidować TVP Info?

À propos rozliczania reżimu PiS. Minęło już sporo czasu od wyborów, a my wciąż nie doczekaliśmy się powrotu do ojczyzny naszego ulubionego najdłuższego w Polsce mecenasa. Roman Giertusk nie pojawił się nawet na wręczeniu zaświadczeń o wyborze na posła. Usychamy z tęsknoty.

Tymczasem w CBA. Tam dzieje się tyle, że nikt nie ma czasu na usychanie z tęsknoty. Rośnie bowiem liczba funkcjonariuszy, którzy składają tzw. raporty, jak w slangu służb określa się wnioski o przeniesienie na emeryturę.

Wiele wskazuje zatem na to, że Centralnego Biura Antykorupcyjnego nie trzeba będzie rozwiązywać – samo się rozwiąże. ©℗

ebrasa.pl 35833ab357

Halo

Halo! Odpocznij!

Sprawdź nową, polską sieć hoteli i obiektów.

Doceń połączenie tradycji, codzienności i lokalności, które wspólnie tworzą idealną przestrzeń do wypoczynku. Rozgość się i czerp radość z przebywania w przyjaznym otoczeniu. Z rodziną, przyjaciółmi, partnerami w biznesie.

spokojnie **wygodnie** **inspirująco**

halohotele.pl

GRUPA POLSKI HOLDING HOTELOWY

eprasa.pl 35833ab357

Z Dagmar Babčanovą, laureatką Międzynarodowej Nagrody Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka Custos Virtutum – Strażnik Wartości
rozmawia prof. Maciej Szymanowski

Będziemy musieli wrócić do naszych wartości

PROF. MACIEJ SZYMANOWSKI: Jakie są pani pierwsze wspomnienia jako dziecko? Co pani pamięta?

DAGMAR BABČANOVA: Pamiętam, że gdy byłam dzieckiem i chodziłam do pierwszej klasy, to zostały zlikwidowane lekcje religii. Od tego momentu wychowywani byliśmy już w tym prawdziwym socjalistycznym duchu, typu: Cześć pracy! Towarzysze! Pochody 1 maja, pieśń pracy śpiewana na początek dnia – do dziś bardzo dobrze to pamiętam. To były znaki tej ideologii, która zaczęła w tym czasie już w pełni dominować. A równolegle jako dzieci chodziliśmy na pielgrzymki i bardzo je przeżywaliśmy. Mimo iż w szkole się o tym nie mówiło, my to swoje życie duchowe prowadziliśmy. Później zawsze do tego wracałam i w taki sam sposób wychowywałam swoje dzieci. To doświadczenie zostało we mnie na zawsze.

Rok 1968, normalizacja. Jak się w tym czasie studiowało?

Kiedy stanęłam przed wyborem studiów, był akurat rok 1968. Nikt nam w tym czasie nie zabraniał studiowania, dlatego bez problemu dostałam się na Uniwersytet Masaryka w Brnie. Panowała wprawdzie jeszcze względna wolność, ale na uniwersytetach nie było to dobrze widziane. Tam właśnie zaczęłam spisywać moje przeżycia, kiedy wszyscy buntowaliśmy się przeciwko interwencji wojsk Układu Warszawskiego. To było pierwsze

eprasa.pl 35833ab357

doświadczenie międzynarodowego ruchu oporu. W tym czasie my – Czesi i Słowacy – trzymaliśmy się razem. Mimo że nasza wspólna historia nie zawsze układała się idealnie, to wtedy naprawdę trzymaliśmy się razem. To było coś niesamowitego. Byliśmy na pogrzebie Jana Palacha, który stał się spontaniczną demonstracją studentów w wielu miastach kraju, kiedy Rosjanie strzelali do nas ze śmigłowców. Chowaliśmy się wtedy na Placu Wolności w Brnie. Swoją młodość rozpoczynałam od takich właśnie wydarzeń.

A po studiach czym się Pani zajmowała?

Zaczęłam uczyć. Najpierw w liceum w Topolčanach, potem wykładałam w szkole ekonomicznej w Nitrze i tam pracowałam przez 15 lat, w czasach tej najgorszej normalizacji, podczas której na własnej skórze doświadczyliśmy twardości tego reżimu. Po pewnym czasie zaczęli wygrażać nauczycielom, którzy mieli cokolwiek wspólnego z wiarą. Nie wystąpili przeciwko mnie otwarcie, nie wyrzucili mnie ze szkoły, nie mogłam jedynie zostać wychowawczynią klasy, bo mogłabym „zepsuć" dzieci. Zostałam pozbawiona dodatków finansowych, co automatycznie odbiło się na mojej pensji.

O Jánosu Esterházym kiedy pani po raz pierwszy usłyszała?

Podczas beatyfikacji Karola Habsburskiego w roku 2004 w Rzymie odbywały się przyjęcia w różnego rodzaju pałacach habsburskich i w jednym z nich podeszła do mnie córka Esterházyego, Alice. Zaczepiła mnie i zaczęła mi opowiadać o cierpieniach, jakich doświadczył jej ojciec. To był pierwszy raz, kiedy tak mnie poruszył jego los.

On naprawdę poddał się woli Bożej. Napisałam nawet o tym kilka artykułów, na które otrzymałam bardzo negatywne reakcje, w których mi zarzucano, że mam węgierskie korzenie. Przy tym nie miałam nic wspólnego z Węgrami, oprócz dalekiej rodziny. Mimo tego niektórzy historycy wypominali mi, że jestem jego wielbicielką, a jego uważali za irredentystę, za człowieka, który preferował swoje węgierskie pochodzenie. Esterházy Węgry zawierzył w pierwszej kolejności Bogu, a dopiero potem myślał o pozostałych kwestiach. Żył w skomplikowanych czasach i w ten sposób stał się częścią tej niedokończonej historii, która u nas, na Słowacji, nadal zamknięta nie jest. Ma przeciwników nawet ze strony Kościoła, którzy nie uznają nawet tego, że sprzeciwił się wysiedlaniu Żydów. Jednak wiele kwestii, przede wszystkim jego postawa osoby wiernej Jezusowi i Maryi, przewyższa wszystko to, co mogłoby choć w małym stopniu przypominać wytykane mu przez wrogów przewinienia. Jestem przekonana, że przy jego katolicyzmie nie mogło być nic takiego, co świadczyłoby o tym, że został zwiedziony, że zszedł na złą, nacjonalistyczną drogę. Spodobała mi się jego trójnarodowość – matka Polka, on Węgier, mieszkają na Słowacji. Na Słowacji chciał też umrzeć. Rodzina starała się go jakoś wydostać z więzienia, żeby mu uratować życie, ale on powiedział: „Nie, skoro jestem teraz tu, to i tu dokończę". Po prostu zdecydował się na to cierpienie w imię Jezusa. Stąd też się wzięło moje zaangażowanie w proces beatyfikacji.

Jakie pani zdaniem wartości są dziś najważniejsze dla Słowaków, dla nas, Polaków, czy Węgrów?

Obrona życia nienarodzonego to dla mnie najważniejsza walka. Aborcję uznaję za wielką niesprawiedliwość, a nawet ludobójstwo. Bo muszę to nazwać ludobójstwem, zabijaniem tych, którzy nie mają szans się bronić. To jest coś, co ludzkość pcha ku unicestwieniu. Drugą ważną dla mnie kwestią i wartością jest rodzina. To wszystko, co się teraz szerzy, całkowicie mnie deprymuje. To, co powinno być naturalne, co jest darem Bożym, po prostu się przemocą deformuje. To są według mnie te największe problemy, z którymi borykają się wszyscy – nie tylko Polacy i my, lecz także cały świat. O Europie już nie wspomnę.

Dzieje się tak, gdyż do Unii wysyłamy ludzi, którzy nie widzą tego typu problemów. Gdybyśmy tam wysyłali więcej chrześcijan, to liczyłyby się tam właśnie takie wartości.

Jaka będzie przyszłość Unii Europejskiej?

Myślę, że po ciężkich próbach, które przejdziemy, wrócimy w Europie do naszych podstaw. Będziemy musieli wrócić do naszych wartości. Benedykt XVI mówił, że jaką przyszłość będzie miał Kościół, taką przyszłość będzie miała Europa. To będzie wielka próba, która dotknie Europę. Prawdopodobnie nawet nie będziemy zwycięscy w tej walce. Brak wartości i hipokryzja zewsząd nas otaczają. I to jest największe niebezpieczeństwo.

A jak z tym walczyć?

Oczywiście wszystko zaczyna się od nas. Cała destrukcja Europy jest w nas. My możemy z tym walczyć tylko takimi środkami, jakie mamy do dyspozycji. Powinniśmy zatem w naszych rodzinach starać się, by nasze dzieci otrzymywały od nas właściwy obraz zarówno Kościoła, jak i związanych z nim wartości. Nie powinniśmy się bać. Musimy mieć odwagę. Odzywać się. Dać się usłyszeć. Tak jak Ukraińcy. My swoją walkę w 1968 r. przegraliśmy, ale Ukraińcy swojej nie przegrali. Oni walczą, co świadczy o tym, że są jakieś wyższe wartości, o które toczą bój. Świadczy o tym to, że na szali stawiają własne życie. W naszym przypadku to jest niemożliwe. My, również na Słowacji, jesteśmy społeczeństwem konsumpcyjnym. Komunizm zabił w nas jakiekolwiek wyższe wartości. Nie działają tu mechanizmy, które nas mogą zbuntować przeciwko złu. To jest z jednej strony efekt reżimu komunistycznego, ale z drugiej skutek postępu cywilizacyjnego, konsumpcyjnego sposobu życia, to że nie potrafimy się poświęcić. Powinniśmy prowadzić swoje życie tak, byśmy potrafili się poświęcać, i nie bali się nazywać siebie chrześcijanami. Zatem należy znaleźć równowagę, również w politycznych kwestiach, i osobom o innych wartościach okazać szacunek. Możemy z nimi dyskutować, ale musimy być pewni swoich argumentów i nie stracić swojej tożsamości.

Myślę, że nie będzie nadużyciem, gdy powiem, że potrzebujemy też takich postaci jak János Esterházy, o którym rozmawialiśmy, czy Wacław Felczak, jako pewnych drogowskazów dla obecnie żyjących. Chciałbym zatem zapytać, czy pani zdaniem jest na Słowacji jakaś osoba, która może uchodzić za taki wzór i taki drogowskaz dla współcześnie żyjących?

To jest najtrudniejsze z pytań przez pana zadanych. Przyznać trzeba, że osób, które mogłyby nas inspirować do odważnych czynów, powinniśmy szukać w Kościele. Ale tam też trudno dziś takie osoby znaleźć. Z każdej strony docierają do nas jakieś informacje, do tego stopnia, że trudno znaleźć jakiś punkt orientacyjny. A te wybitne postaci nam po prostu nie wyrosły, niestety. My o nie cały czas się modlimy.

Dagmar Babčanova *– słowacka filolożka, dyplomatka, publicystka, ambasador Słowacji w Watykanie w latach 2002–2007.*

ARTYKUŁ SPONSOROWANY

eprasa.pl 35833ab357

Sprawdzian z nieudolności

Łukasz Warzecha

Przyszedł czas na praktyczne wypróbowanie testu Warzechy. Ta próba może być dla Prawa i Sprawiedliwości bardzo bolesna

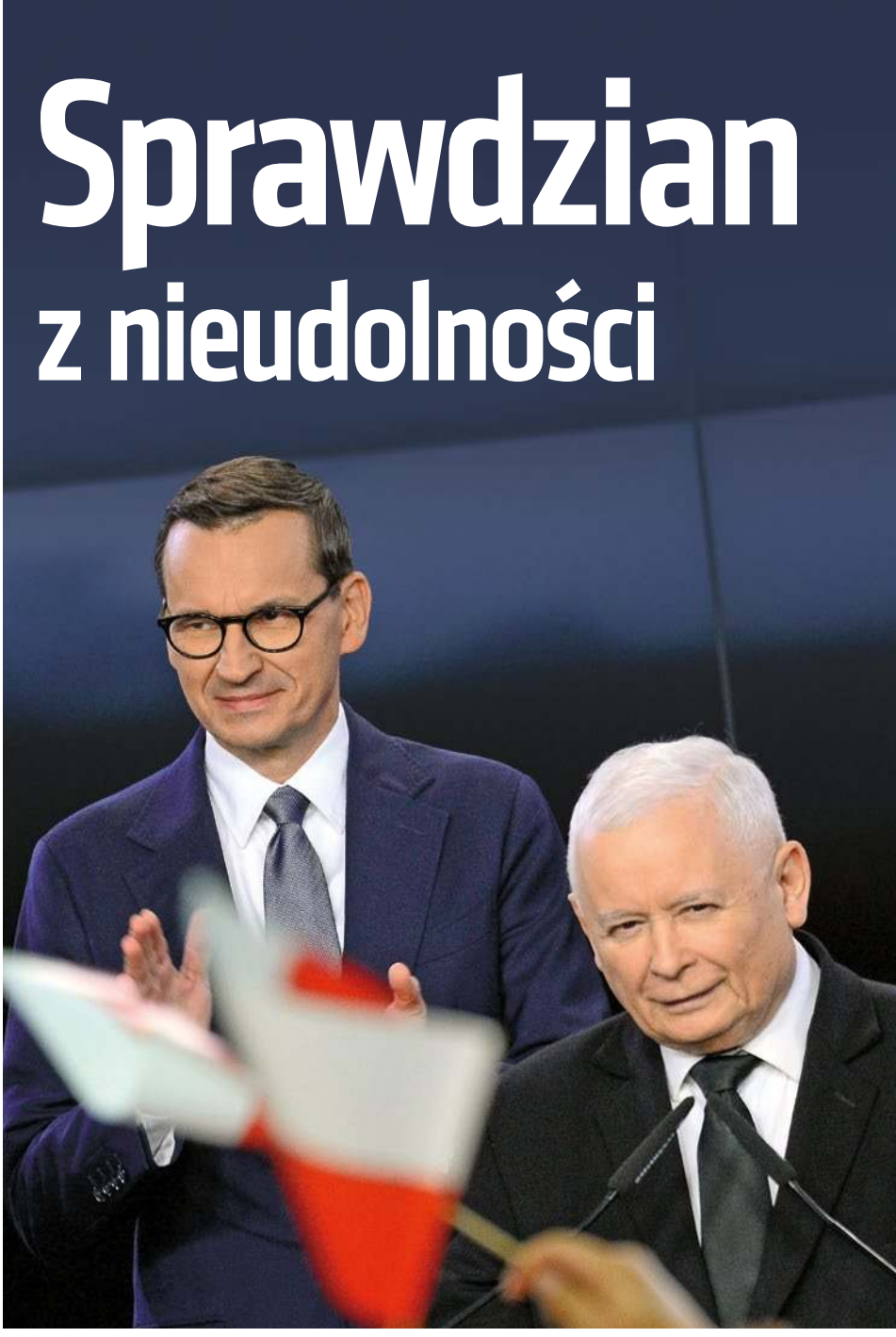

FOT. FOTOKIBIT/EAST NEWS

Czym jest test Warzechy? Dwie kadencje PiS można podzielić na kilka okresów. Najłagodniejszy i pozwalający jeszcze żywić pewne złudzenia co do głębokiej naprawy państwa był okres pierwszy, pokrywający się mniej więcej z premierostwem Beaty Szydło. Jednak trzeba pamiętać, że już u początku rządów PiS mieliśmy manewry wokół Trybunału Konstytucyjnego, których kulminacyjnym momentem było nocne zaprzysiężenie czterech sędziów przez pana prezydenta w grudniu 2015 r. Było to następstwo wyboru nadmiarowych sędziów przez ustępujący Sejm poprzedniej kadencji. Zamiast jednak naprawić sytuację, PiS postanowił pójść tą samą drogą, tylko dalej.

Można by powiedzieć, że pozory wyważenia czy umiarkowania PiS porzucił całkowicie w swojej drugiej kadencji, lecz z drugiej strony to w pierwszej miał całkowitą kontrolę nad parlamentem, posiadając wygodną większość również w Senacie. To sprzyjało z kolei przepychaniu różnych rozwiązań i regulacji w stachanowskim wręcz tempie i bez zwracania jakiejkolwiek uwagi na głosy krytyki, choćby płynące ze strony konserwatywnej.

Obserwując, jak partia Jarosława Kaczyńskiego coraz częściej i bardziej bezwzględnie używa różnego rodzaju trików oraz kruczków, aby forsować wygodne dla siebie rozwiązania i dopasowywać działanie instytucji do własnych potrzeb, stworzyłem pojęcie testu Warzechy. Sprawa jest prosta: przed podjęciem decyzji należy zadać sobie pytanie, jak rządzący odnaleźliby się w danych okolicznościach na miejscu opozycji. Jak dzisiaj widać, takiego pytania raczej nikt sobie w PiS nie zadawał, a nawet przeciwnie – musiało panować przekonanie, że formacja Jarosława Kaczyńskiego będzie rządziła wiecznie.

Modelowym tego przykładem są losy tzw. pakietu demokratycznego – projektu, który chyba mało kto już dzisiaj pamięta, a który PiS z wielką pompą zgłaszał w latach 2010 i 2011, czyli gdy był w opozycji. Zapowiadał oczywiście, że pakiet demokratyczny wprowadzi w życie natychmiast po objęciu władzy.

Pakiet zakładał m.in. możliwość zadawania przez opozycję pytań szefowi rządu, możliwość wprowadzenia jednego własnego punktu obrad w każdym posiedzeniu Sejmu (co byłoby ograniczeniem wszechwładzy marszałka Sejmu, wybieranego zawsze przez większość), a także, co bardzo ważne, likwidację „zamrażarki", a więc możliwości przetrzymywania projektu przez marszałka bez końca, aż do upływu kadencji Sejmu, gdy nieuchwalone projekty przepadają. Projekt pakietu, a jakże, PiS złożył faktycznie po objęciu rządów w 2015 r., po czym… umieścił go we wspomnianej „zamrażarce" i od 2016 r. nikt już o nim więcej nie słyszał. Niewykluczone, że dzisiaj, gdy PiS najpewniej znów znajdzie się w opozy-

eprasa.pl 35833ab357

cji, ktoś tam przypomni sobie o tym nieuchwalonym projekcie i nawet za nim zapłacze.

Nieuchwalenie kiedyś pakietu demokratycznego to nic w porównaniu z tym, co może spotkać PiS w innych dziedzinach. Powie ktoś, że odwet opozycji nie będzie taki prosty, bo przecież jest prezydent, który może swoim wetem zablokować wszelkie zmiany ustawowe. Blok trzech ugrupowań paktu senackiego z 248 głosami nie jest w stanie weta odrzucić, ponieważ do tego potrzeba, przy pełnej obsadzie sali sejmowej, aż 276 głosów. To prawda. Dlatego duża część zapowiadanych przez opozycję reform najpewniej nie będzie mogła zostać zrealizowana tą drogą, co nie znaczy, że nie ma innej.

KOMISJA DO SPRAW ROSYJSKICH WPŁYWÓW

Przy czym wcale nie musi być tak, że Andrzej Duda postanowi blokować absolutnie każdą ustawę. Za wcześnie jest teraz, żeby wyciągać daleko idące wnioski co do postawy, jaką głowa państwa przyjmie podczas kohabitacji, jednak o ile faktycznie pan prezydent liczy na poparcie rządu przy poszukiwaniu dla siebie międzynarodowej posady po zakończeniu drugiej kadencji, o tyle nie może iść z nową władzą na udry. Zarazem można przyjąć, że rząd trójkoalicji, jakkolwiek oficjalnie zapewne będzie z prezydentem pozostawał w ostrym sporze, za kulisami będzie przecież rozumiał, że i Andrzej Duda ma do odegrania pewną rolę, z której wyjść nie może, a przeto będzie musiał stawiać weto w najważniejszych ideowo lub politycznie kwestiach. Ba, w niektórych przypadkach może to być nawet dla władzy wygodne – pan prezydent pokaże wyborcom PiS, że broni dawnej linii, a rządzący będą mieli wytłumaczenie, dlaczego niektórych rozwiązań nie zrealizowali. „Cóż, chcieliśmy, ale Andrzej Duda nam nie dał". I wilk syty, i owca cała.

Można wstępnie wytypować, których spraw prezydenckie weto będzie niemal na pewno dotyczyć. Będzie to zatem zapewne większość – ale niekoniecznie wszystkie – zmian w wymiarze sprawiedliwości, choć nawet tutaj być może nowa władza zaproponuje rozwiązania uwzględniające interes Andrzeja Dudy, a wtedy może się okazać, że weta jednak nie ma. Można zakładać natomiast, że pojawiłoby się ono w razie próby likwidacji komisji do spraw rosyjskich wpływów.

I tu może nas jednak czekać zaskoczenie, a to dlatego, że komisja była modelowym oblaniem testu Warzechy i łatwo będzie można wykorzystać ją przeciwko jej własnym twórcom. Ponieważ pomiędzy obiema głównymi siłami od dawna trwa absurdalna rywalizacja o to, kto jest bardziej antyrosyjski i kto komu bardziej przypnie łatkę sojusznika Moskwy, przeto cała konstrukcja oraz ostatecznie skład komisji zostały podporządkowane narracji o tym, że Donald Tusk to sojusznik Putina. PiS nie pomogły jednak ani komisja, która przed wyborami nie zrobiła nic, ani serial „Reset" autorstwa Michała Rachonia i prof. Sławomira Cenckiewicza. Nowa władza od początku uznawała komisję za poroniony pomysł, choć koncentrowała się na jej antytuskowym wymiarze, podczas gdy zastrzeżeń można było mieć o wiele więcej (pisałem o tym obszernie w „Do Rzeczy"). Co zatem może zrobić trójkoalicja po przejęciu władzy? Gdyby chciała być konsekwentna, powinna zgłosić projekt ustawy likwidującej komisję. Prezydent zaś, gdyby był konsekwentny, powinien taki projekt odrzucić. Może jednak wolałby go podpisać? Bo nowa władza może komisji wcale nie likwidować, tylko zmienić jej skład. Pozwala jej na to art. 10 ustawy o komisji, który określa, że członkostwo w niej ustaje m.in. wskutek odwołania, a „w przypadku wygaśnięcia członkostwa w Komisji wyboru uzupełniającego dokonuje Sejm". Nic zatem prostszego, jak odwołać wszystkich członków komisji i powołać własnych, po czym zacząć przed nią wzywać wszystkich najważniejszych polityków PiS, z Jarosławem Kaczyńskim, Antonim Macierewiczem i Mateuszem Morawieckim na czele.

Kolejnym celem nowej władzy stanie się prokuratura. Jak postąpi pan prezydent? Opozycja zapowiadała, że uniezależni prokuratora generalnego od polityków, czyli wróci do rozwiązania, które obowiązywało w latach 2010–2015, gdy prokuratorem generalnym – jak dotąd jedynym niezależnym – był Andrzej Seremet. PiS z kolei przeciwko takiemu rozwiązaniu gorąco protestował i zmienił ten system szybko po dojściu do władzy, łącząc ponownie stanowiska ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Andrzej Duda powinien zatem sprzeciwić się zmianie takiego stanu rzeczy. Tyle że taki sprzeciw oznaczałby, iż prokuratorem generalnym zostałby polityk powołany na wniosek Donalda Tuska. A wyobraźmy sobie, że faktycznie następcą Zbigniewa Ziobry zostałby, mający osobiste powody do szczególnej dociekliwości, Krzysztof Brejza… Może więc pan prezydent jednak nie będzie stawiał oporu wobec zmian w systemie, zwłaszcza jeśli projekt ustawy da mu istotną rolę w powołaniu względnie niezależnego prokuratora generalnego?

Z drugiej strony mało kto wie, że PiS wsadził do ustawy o prokuraturze zapis gwarantujący mu zachowanie znaczących wpływów. Otóż prokuratora krajowego i pozostałych zastępców prokuratora generalnego można powołać jedynie po zasięgnięciu opinii prezydenta, a odwołać – wyłącznie za jego zgodą (Prawo o prokuraturze, uchwalone jeszcze w 2016 r.). Dodatkowo nowelizacja z sierpnia tego roku znacząco powiększyła kompetencje prokuratora krajowego. Jeśli więc nowa władza wystąpi z propozycją zmian, to niemal na pewno zmieni również sposób powoływania i odwoływania oraz pozycję prokuratora krajowego i jego zastępców. Dziś tę pierwszą funkcję pełni Dariusz Barski, człowiek Zbigniewa Ziobry. Andrzej Duda może zatem stanąć przed dylematem: albo pogodzi się z utratą wpływów przez PiS, ale jednocześnie sprawi, że prokuratura nie będzie podlegała bezpośrednio politycznym poleceniom przeciwników jego obozu (a może i zyska jakiś wpływ na powołanie prokuratora generalnego po nowemu), albo zablokuje zmiany, ale wówczas na czele prokuratury stanie polityk wytypowany przez Donalda Tuska.

BEZ ZGODY ANDRZEJA DUDY

Są natomiast sprawy, do których zgoda prezydenta potrzebna nie będzie. Do takich należy choćby wykorzystywanie potężnego aparatu inwigilacji i wszystkich służb, które PiS w te kompetencje wyposażył. A warto zwrócić uwagę, że w swoich programach żadna z partii obejmujących władzę nie zajęła się odwróceniem tendencji do ograniczania prywatności obywateli i sprawą uprawnień do inwigilacji. Tymczasem PiS wyposażył w nowe uprawnienia m.in. Służbę Ochrony Państwa oraz Służbę Celno-Skarbową. Jednocześnie utworzony ustawą z początku 2016 r. system kontroli nad częścią

eprasa.pl 35833ab357

mechanizmu inwigilacji jest całkowicie fikcyjny. Sprowadza się do następczej, zbiorczej sądowej kontroli przypadków pozyskania przez służby rejestrów połączeń. PiS zadbał o takie usprawnienie tego procesu, że dziś uprawnione instytucje mają do tych danych dostęp bezpośredni. Liczba takich działań w 2021 r. była niemal identyczna jak 10 lat wcześniej, kiedy z tego powodu PiS ostro krytykował Platformę, i wynosiła ponad 1,8 mln. Do tego trzeba dodać aż 10 tys. przypadków wystąpienia przez policję o kontrolę operacyjną (a więc m.in. podsłuch – poziom wyżej niż dane teleinformatyczne) w 2020 r. Narzędzia są gotowe, stworzył je PiS.

Łatwo będzie też z wieloma instytucjami, które PiS masowo powoływał, często umieszczając w nazwie słowo „narodowy". Wiele z nich istnieje na podstawie ministerialnych zarządzeń i mogą zniknąć na drugi dzień po zmianie na stanowisku szefa resortu. Tak jest chociażby z Instytutem Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego, kierowanym przez prof. Jana Żaryna. Dlaczego instytutu nie powołano specjalną ustawą? To proste: taka instytucja, funkcjonująca na podstawie ustawy, staje się bardziej niezależna, a tu nie chodziło o niezależność, lecz wręcz przeciwnie – o maksymalne uzależnienie. Polska Fundacja Narodowa istnieje z kolei na podstawie ustawy o fundacjach, a powołał ją cały zestaw spółek z udziałem Skarbu Państwa. Losy PFN zależą zatem od fundatorów, a ci mogą wycofać swój udział z dnia na dzień. Na tych przykładach widać, jak wkrótce zemści się niechęć i niezdolność PiS do tworzenia instytucji niezależnych.

Przejmując władzę, PiS szybko przejął też media publiczne, które z czasem stały się po prostu mediami rządowymi. To ich betonowa, prymitywna propaganda mogła się w dużej mierze przyczynić do porażki PiS w wyborach. Przejęcie mediów stało się łatwe za sprawą utworzenia Rady Mediów Narodowych, której kompetencje w części nakładają się na kompetencje Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. KRRiT jest jednak organem konstytucyjnym w przeciwieństwie do RMN. Członkowie tej pierwszej wybierani są po dwóch przez prezydenta i Sejm, a jeden przez Senat na sześcioletnią kadencję, podczas której są nieodwoływalni poza specjalnymi przypadkami określonymi w ustawie. Dlatego PiS przeniósł kompetencje do powoływania szefostwa mediów publicznych na RMN, której trzech członków wybiera Sejm, a dwóch – prezydent. Taki system został skrojony pod ominięcie w tym procesie opozycji. Kadencja także jest sześcioletnia, a członkowie RMN niemal nieodwoływalni.

W obu przypadkach kadencja członków tych organów kończy się w 2028 r. Trudno sobie jednak wyobrazić, żeby nowa władza tolerowała przynajmniej przez kolejne dwa lata – czyli do momentu ewentualnej zmiany prezydenta, a więc odblokowania zmian ustawowych – trwanie dotychczasowego układu. Jest niemal pewne, że trójkoalicja sięgnie po wybieg prawny, żeby zmienić władze Telewizji Polskiej i Polskiego Radia. O jednej z takich możliwości mówi się najczęściej. To odwołanie się do wyroku Trybunału Konstytucyjnego z 2016 r., który orzekł o niekonstytucyjności zakresu kompetencji RMN. Nie wdając się w detale, zdaniem części prawników, sięgając po ten wyrok, można doprowadzić do odwołania dotychczasowych władz TVP i PR przez organ właścicielski, którym jest Skarb Państwa, a w ich miejsce posadzić nowe zarządy lub w ostateczności ustanowić kuratora. Czy nie byłoby to pójście na rympał? Oczywiście. Ale dokładnie takie metody stosował w wielu sytuacjach sam PiS, w ten sposób je niejako legitymizując. W przypadku TVP zaś ich użycie nie wywoła zapewne oburzenia większości obywateli, bo media rządowe zapracowały sobie pilnie na opinię tak skrajnie upartyjnionych, że nawet najwięksi legaliści, bynajmniej nieuwielbiający Donalda Tuska i jego sojuszników, mogą przyklasnąć zmianom.

Na PiS zemści się niechęć do tworzenia instytucji niezależnych. Nie przetrwają politycznego trzęsienia ziemi

Nie zapominajmy też, że to większość sejmowa uchwala budżet, a w nim – pieniądze dla poszczególnych instytucji. W przypadku ustawy budżetowej prezydent nie ma zaś prawa weta. Tam, gdzie nie da się członków danej instytucji odwołać, można ją zatem dość skutecznie „zagłodzić" i zapewne po taki sposób sięgnie nowa władza choćby w przypadku RMN.

Znacznie prościej będzie z mediami de facto państwowymi, choć pozornie prywatnymi, czyli z koncernem Polska Press, będącym własnością Orlenu. Tam sprawa będzie banalna: wymiana prezesa spółki paliwowej oznacza, że kierownictwo należących do niej mediów da się zmienić w ciągu nawet paru dni. Dzisiaj politycy koalicji najpewniej wkrótce rządzącej sygnalizują, że być może lepiej byłoby się Polska Press pozbyć. Ponieważ jednak zakup był podyktowany względami politycznymi, ciężko będzie nawet odzyskać wyłożone przez Orlen pieniądze, o jakimkolwiek zysku nie mówiąc. Biznes prasowy jest dzisiaj bardzo trudny. Bardziej prawdopodobny wydaje się więc scenariusz, w którym następuje szybka wymiana kierownictwa koncernu medialnego, szczególnie że sprzyjających nowej władzy chętnych na powrót z ośmioletniego wygnania na margines aktywności dziennikarskiej nie brakuje.

Dziedziny, w których nowi rządzący chcieliby wprowadzić zmiany, można zatem podzielić na kilka grup. Pierwsza to te obszary, gdzie faktycznie nie da się wiele zrobić bez zmiany ustawy. Rządzący mogą starać się zastosować tu sposób wzięty z podręczników wojskowej taktyki i niejako obejść instytucje obsadzone i zabetonowane przez odchodzącą władzę, zarazem odcinając im finansowe zasilanie. Druga grupa to miejsca, gdzie można kontrolę zyskać poprzez wykorzystanie prawnych trików: rozporządzeń, dawnych wyroków TK czy innych twórczych rozwiązań. Trzecia to sfery, gdzie żadnego problemu nie będzie. Wystarczy zmiana zarządzenia ministra albo decyzja właścicielska. We wszystkich przypadkach PiS będzie mógł mieć pretensję tylko do siebie.

A jeżeli przy okazji dokonywanych zmian ze strony polityków formacji rządzącej przez ostatnie osiem lat będą dochodzić płacz i jeremiady, to można będzie tylko wzruszyć ramionami i zacytować Molière'a: „Sam tego chciałeś, Grzegorzu Dyndało".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 35833ab357

TANI PARKING

WYGODNY DOJAZD

DARMOWY BUS

LOTNISKO WARSZAWA-RADOM

KOMFORT NA STARCIE

MODNY LOT Z RADOMIA DO PARYŻA

LEĆ NA LOTNISKO RDO.WAW.PL

SPRAWDŹ LOT.COM

POLSKIE LINIE LOTNICZE LOT

A STAR ALLIANCE MEMBER

eprasa.pl 35833ab357

FOT. ADOBE STOCK

Wielkie czystki po PiS

Zuzanna Dąbrowska

Wygłodniała i sfrustrowana ośmioma latami w opozycji polityczno-sędziowsko-medialna grupa planuje „czyszczenie" państwa. Padają zapowiedzi „odszczurzania", stawiania przed Trybunałem Stanu oraz wsadzania do więzień. Przekonuje się Polaków, że kraj jest na skraju zapaści, więc ekstraordynaryjne środki są konieczne

Rozliczenie nie może być oczywiście wstępem do odwetu. Nikomu, kto uczciwie i przyzwoicie zachowywał się przez te osiem lat, nawet jeśli pracował w PiS-owskiej spółce czy głosował na PiS, krzywda się nie stanie. Nikt pracy nie straci, dlatego że głosował na PiS. Ale odpowiadać będą, a niektórzy pójdą siedzieć, za to, że zorganizowali system zorganizowanej kradzieży pieniędzy i [...] polityki łamania konstytucji, łamania praworządności – powiedział w sierpniu lider PO Donald Tusk. Teraz jest kandydatem opozycji na premiera. Wkrótce może mieć w rękach narzędzia, by słowo zmienić w czyn. Zwłaszcza że już w maju 2022 r. zapowiedział „zrobienie porządków żelazną miotłą".

Liczne wypowiedzi medialne przedstawicieli przyszłego obozu władzy dają nam obraz tego, jak owo „porządkowanie" ma wyglądać. Obejmie, to pewne, spółki Skarbu Państwa. O tym można przeczytać w programie PO: „Zwolnimy wszystkich członków rad nadzorczych i zarządów. Przeprowadzimy nowy nabór w transparentnych konkursach, w których decydować będą kompetencje, a nie znajomości rodzinne i partyjne".

To wersja „soft". Wersję „hard" przedstawił europoseł KO, były prezes NBP Marek Belka. „Od razu trzeba [...] rozpocząć powolny, ale konsekwentny proces edukacji ekonomicznej społeczeństwa. To jest sprawa, o której nigdy nie pamiętaliśmy właściwie od czasów Jacka Kuronia, a teraz trzeba to zrobić. Jak najszybciej trzeba dokonać zmian w spółkach państwowych i pozbyć się tych wszystkich tzw. szwagrów" – wskazał Belka w jednym z wywiadów. Pytany, „jak to zrobić mądrze", zaproponował „odszczurzanie". „Mądrze w tym przypadku oznacza szybko. Wyborcy partii demokratycznych nie będą tolerować w spółkach Skarbu Państwa ludzi, którzy byli nominatami politycznymi. Nie będziemy dzielić włosa na czworo i zastanawiać się, kiedy będziemy mieli odpowiednią liczbę fachowców

eprasa.pl 35833ab357

służby cywilnej, zdolnych do przejęcia urzędów. Należy zrobić szybkie odszczurzanie" – stwierdza.

Zastrzega, że „odpolitycznienie SSP" to priorytet, jednak „trzeba wprowadzić konkursy, wzmocnić służbę cywilną, to wszystko trzeba zrobić, ale nie można trzymać Obajtka, aż znajdziemy nowego kandydata po dwóch latach. Po prostu nie".

TRYBUNAŁ STANU DLA KAŻDEGO

Choć prawo stoi po jego stronie, to – zgodnie z deklaracjami Tuska – powody do niepokoju może mieć prezes Narodowego Banku Polskiego. – Adam Glapiński jest nielegalny. Nie będzie ani dnia dłużej prezesem NBP. Nie trzeba będzie ustawy – mówił latem ubiegłego roku lider Platformy Obywatelskiej. Szerokim echem odbiły się też słowa wiceszefa PO Tomasza Siemoniaka (wymienianego wśród potencjalnych kandydatów na stanowisko szefa MON). – Donald Tusk, a za nim wieczorem pan Tomasz Siemoniak w telewizji TVN24 byli uprzejmi powiedzieć, że po wyborach, jeśli wygrają, wyprowadzą prezesa NBP. Siemoniak był uprzejmy – by na prośbę zdziwionego redaktora – uzupełnić, o co chodzi. Cytuję: „Przyjdą silni ludzie i wyprowadzą prezesa" – mówił Glapiński podczas konferencji prasowej. Politycy Platformy przekonywali, że doszło do nadinterpretacji, jednak trudno nie odnieść wrażenia, że intencję prezes NBP odczytał właściwie.

Jedną z najczęściej stosowanych gróźb jest postawienie przed Trybunałem Stanu. Współprzewodniczący Nowej Lewicy Włodzimierz Czarzasty jeszcze przed wyborami zapowiadał postawienie przed TS premiera Mateusza Morawieckiego, byłej premier Beaty Szydło i szefa Ministerstwa Aktywów Państwowych Jacka Sasina. Teraz taka zapowiedź miała zostać sformułowana w formie ultimatum pod adresem prezydenta – podczas powyborczych konsultacji opozycji z Andrzejem Dudą. Szymon Hołownia z Polski 2050 zapowiadał Trybunał Stanu dla członków Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji – „za wielomiesięczne zwlekanie z rozpatrzeniem wniosku o przedłużenie koncesji TVN24". Były prezenter TVN chciał też TS dla prezesa banku centralnego.

Postawienie przed Trybunałem Stanu najważniejszych polityków rządu zawarto w „100 konkretach" PO. Partia chce Trybunału Stanu dla: Andrzeja Dudy („za odmowę przyjęcia ślubowania od trzech sędziów TK, zastosowanie prawa łaski wobec nieprawomocnie skazanych byłych ministrów PiS Mariusza Kamińskiego, Macieja Wąsika i dwóch innych funkcjonariuszy CBA"), Mateusza Morawieckiego („za wydanie decyzji Poczcie Polskiej przeprowadzenia nielegalnych »wyborów kopertowych«"), Jacka Sasina („za bezprawne wydanie 70 mln zł na wybory kopertowe"), Zbigniewa Ziobry („za wykorzystywanie do celów partyjnych środków finansowych z Funduszu Sprawiedliwości"), Adama Glapińskiego („za zniszczenie niezależności Narodowego Banku Polskiego"), przewodniczącego KRRiT Macieja Świrskiego oraz ministra kultury i dziedzictwa narodowego Piotra Glińskiego („za zniszczenie mediów publicznych").

To nie koniec szafowania wizją TS. Tusk zapowiadał Trybunał Stanu dla każdego, kto ponosi odpowiedzialność za brak środków z KPO. Z kolei Borys Budka mówił, że taki los powinien spotkać prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego, m.in. „za to, że w czasie pandemii kobiety musiały wyjść na ulice, by bronić swoich elementarnych praw". – Za to wszystko jest już nie tylko Kodeks karny, lecz także Trybunał Stanu. Mogę zapewnić, że już nikt nigdy nie popełni drugi raz tego błędu, by nie rozliczyć Kaczyńskiego za łamanie polskiej konstytucji i polskiego Kodeksu karnego – przekonywał Budka.

WIELKIE „ROZLICZANIE"

Rozliczanie PiS obejmie też środowisko sędziów i prokuratorów. Szczególnie podekscytowana tą wizją wydaje się być prokurator Ewa Wrzosek z Prokuratury Rejonowej Warszawa-Mokotów. To gwiazda „Gazety Wyborczej", wobec której pojawiły się wątpliwości dotyczące możliwego przekazywania poufnych informacji, tak aby pomóc prezydentowi Warszawy. „To mówicie, że po ośmiu latach Zbigniewa Ziobry prawna weryfikacja wszystkich prokuratorów, skutkująca potencjalną możliwością usunięcia z zawodu ok. 30 proc. tych, którzy poszli na służbę Ziobry, to za dużo i niehumanitarne?" – pyta retorycznie we wpisie na portalu X. Następnie przekonuje, że ona i jej podobni wcale nie chcą zemsty: „Jeśli przez osiem lat umyślnie, z najniższych pobudek, dla własnych korzyści uczestniczysz w demolowaniu państwa i niszczysz ludzi – nie krzycz, że rozliczenia to zemsta. To elementarna odpowiedzialność za to, co zrobiłeś, i przestroga, by nikt inny, nigdy nie poszedł twoim śladem".

O usuwaniu sędziów mówi też senator Krzysztof Kwiatkowski. Wszystko w imię odblokowania KPO. – Najważniejszym symbolem tego, co robił minister Ziobro, jest ściganie czy dyscyplinowanie sędziów. Minister Ziobro powołał tych swoich politycznych nominatów, którzy ścigali sędziów Juszczyszyna, Gąciarka czy Tuleyę tylko za to, jak orzekali – dodał. – Trzeba te osoby odwołać i powołać tych, którzy z jednej strony będą reprezentować środowisko sędziowskie, a z drugiej strony społeczeństwo. Ale na pewno nie mogą być to reprezentanci polityków. Tę decyzję można podjąć w pięć minut – odwołać politycznych i powołać tych, którzy będą stać na straży niezależności sądów i niezawisłości sędziowskiej – przekonuje senator.

Skoro o wymiarze sprawiedliwości mowa, to mściciele nie mają zamiaru ominąć Trybunału Konstytucyjnego. Urabianie opinii publicznej, mające na celu zdyskredytowanie tej instytucji i jej szefowej, trwało od wielu miesięcy. Jak mantrę powtarzano określenie „Trybunał Konstytucyjny Julii Przyłębskiej". Wirtualna Polska podaje, że jednym z pierwszych działań dotyczących TK ma być usunięcie trzech tzw. dublerów z Trybunału Konstytucyjnego. Chodzi o Mariusza Muszyńskiego, Justyna Piskorskiego oraz Jarosława Wyrembaka. Szef Stowarzyszenia Sędziów Polskich „Iustitia" Krystian Markiewicz stwierdził, że „oni nie są sędziami". – Trzeba to powiedzieć wprost, że zostali wybrani w sposób nielegalny. W związku z tym Sejm, który dokonał tego wyboru, powinien stwierdzić swój błąd i powiedzieć: oni nie są sędziami, ponieważ sędziami są ci, którzy zostali niemal dziewięć lat temu prawidłowo wybrani na swoje stanowisko – mówił.

Do roli naczelnego „czyściciela" po PiS od dawna przygotowywał się Roman Giertych. Na stole jest pomysł zrobienia z niego prokuratora generalnego. Co ciekawe, nawet Anna Maria Żukowska z Lewicy, która wielokrotnie odcinała się od postaci byłego szefa LPR, dziś twierdzi, że to właściwa osoba na to stanowisko. „Roman Giertych nadawałby się na prokuratora generalnego. Jeśli chce dopaść

eprasa.pl 35833ab357

PiS i stawiać im akty oskarżenia, to jest wymarzona funkcja" – stwierdziła. Doprecyzowała, że „to jest funkcja, w której by zrealizował te marzenia, które głosił, determinację do rozliczania PiS".

Sam Giertych zapewnia, że podporządkuje się Tuskowi. – Nie mogę być w komisji do spraw bezprawnej inwigilacji np. za pomocą systemu Pegasus, bo sam byłem obiektem tej inwigilacji. Nie mogę być w komisji badającej bezprawne działania służb i prokuratury, bo sam byłem ofiarą takich działań – tłumaczy. – Nie sądzę, żeby Tusk chciał, żebym wchodził do jakiejś tego rodzaju komisji, ale zrobię to, co on mi każe. Na pewno pracy nie zabraknie. Mamy do czynienia z ogromem spraw, setkami poszkodowanych przez tę władzę ludzi. Będę pilnował, by wszyscy oni doczekali się sprawiedliwości, a winni łamania prawa i grabieży Polski zostali ukarani. To jest moje zobowiązanie – zapowiedział.

W sieci można znaleźć jednak zdecydowanie ostrzejsze wypowiedzi. – Będziemy was szukać po całej ziemi. Nigdzie się nie ukryjecie. Nigdzie nie znajdziecie schronienia, nigdzie nie uzyskacie azylu. Będziemy was szukać i was znajdziemy. Za te przestępstwa, które popełniacie z bardzo niskich pobudek, z bardzo wysoką szkodliwością społeczną, odpowiecie w majestacie prawa przed niezawisłym sądem i spodziewam się, że każdy z was, który uczestniczy w grupie stosującej zastraszenia, przez wiele lat będzie musiał za to odpokutować […]. Dopadniemy was – tak mówił do osób, które miały nękać bliskich jego i polityków PO.

Zostało to jednak szybko podchwycone jako deklaracja rozliczania PiS, czemu Giertych nie zaprzeczył. Mecenas ustawia się już w pozycji szeryfa. „Pierwszemu agentowi CBA, który przyjdzie do mojej kancelarii, opowie wszystko o podsłuchiwaniu opozycji, złoży zawiadomienie oraz opowie wszystko mediom, obiecuję, że zrobię wszystko, żeby jego odpowiedzialność karna za udział w tej zbrodni nie skończyła się dla niego więzieniem" – zapowiedział w mediach społecznościowych, komentując rewelacje Pawła Wojtunika dotyczące rzekomego inwigilowania opozycji.

Giertych jest w swoim antypisizmie tak zajadły, że marzy mu się obalanie pomników. „A może wraz z wyborami samorządowymi zorganizujemy w Warszawie referendum, czy chcemy tutaj pomniki i ulice Lecha Kaczyńskiego?" – pyta na portalu X, organizując sondę, w której można opowiedzieć się „za" usunięciem pomnika byłego prezydenta z placu Piłsudskiego lub „przeciw" niemu.

Rozliczenia mają nie ominąć Kościoła katolickiego. Na celowniku jest przede wszystkim dyrektor Radia Maryja, o. Tadeusz Rydzyk. – Wszystkie publiczne pieniądze, które w ostatnich latach płynęły szerokim strumieniem do Torunia, zostaną sprawdzone i rozliczone – zapowiada poseł KO Dariusz Joński. Nie wyklucza konfiskaty mienia. – To, ile będziemy mogli z tych pieniędzy odzyskać, okaże się, gdy już to dokładnie wszystko sprawdzimy i policzymy. Bierzemy także pod uwagę konfiskatę mienia. O tym oczywiście będzie decydował sąd – zastrzega Joński.

Niechęć do redemptorysty z Torunia nie pojawiła się teraz. W 2007 r. rząd Tuska próbował zablokować 15 mln zł na odwierty geotermalne. – Nie będzie takiej instytucji w Polsce, prywatnej, państwowej, samorządowej, kościelnej, która będzie działała obok prawa, czyli niezgodnie z regułami – mówił wówczas szef PO. Niedawno zaś prawdopodobny przyszły premier stwierdził, że „trzeba wyleczyć państwo z chorobliwej zależności od takich ludzi jak ks. Rydzyk, bo to państwo jest winne temu, że daje Rydzykowi".

ANTYPISOWSCY ULTRASI

Nie tylko politycy, lecz także duża część dziennikarzy czekają na rewolucję w TVP. Ci pierwsi dlatego, aby ją sobie podporządkować. Ci drudzy, w dużej mierze przed 2015 r. pracujący w mediach publicznych, pewnie liczą na możliwość powrotu. A także poczucie moralnej wyższości nad kolegami, którzy będą teraz z pracy wyrzucani.

Media rozpisują się o rzekomym „planie opozycji". Ma on zakładać postawienie spółek wchodzących w skład mediów publicznych w stan likwidacji. To pozwoliłoby uniknąć weta ze strony Rady Mediów Narodowych, zdominowanej przez polityków Prawa i Sprawiedliwości. W sytuacji takiej do TVP oraz Polskiego Radia weszliby komisarze. Właściwe zmiany w mediach publicznych zostałyby potem wprowadzone na mocy ustaw. Tutaj pomysłem ma być odebranie Radzie władzy nad TVP i radiem i ponowne przekazanie jej Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji.

Były prezes TVP Juliusz Braun pytany o inny pomysł, czyli „wzięcie TVP głodem", odpowiada, że to „radykalne, ale w pełni zgodne z prawem". „Godzina zero nastąpi w chwili powołania rządu, nie wcześniej. Ale wówczas można znaleźć rozwiązania zgodne z prawem, korzystając choćby z uprawnień walnego zgromadzenia spółki. Może trzeba będzie »jechać po bandzie«, ale nie »poza bandą«" – przyznaje Braun. W język nie gryzie się profesor UW Maciej Górecki. O przyszłości najbardziej rozpoznawalnych dziennikarzy TVP socjolog pisze tak: „Więzienie i konfiskata majątku w całości".

Mnożeniu zapowiedzi rozliczania kibicują antypisowscy ultrasi. Na czele Tomasz Lis, który dywaguje nad delegalizacją PiS. „Mam wątpliwości co do delegalizacji PiS. Wiem tylko, że to nie powinna być decyzja polityczna. Jeśli sąd stwierdzi, że są nie preteksty, ale podstawy do delegalizacji, to po prostu powinien taką decyzję podjąć" – podpowiada publicysta. Były naczelny „Newsweeka" wspiera każdą zapowiedź przyszłej koalicji. „CBA, która miała być agencją antykorupcyjną, stała się policją polityczną PiS. Albo opcja zero, albo weryfikacja funkcjonariuszy, albo powołanie nowej służby. Tak czy owak nowotworową narośl na państwie trzeba usunąć" – napisał.

Lis nie kryje głębokiej satysfakcji z wyniku wyborów: „Zdobywając władzę, PiS-owcy każdy głos niezadowolenia z tego faktu komentowali właściwym sobie, wyrafinowanym: »Słychać wycie? Znakomicie«. Teraz sami już drugi tydzień wyją i skomlą. I znakomicie". „Czyszczeniu" państwa kibicuje też prof. Wojciech Sadurski. W Radiu TOK FM mówił, że „oponentami są Kaczyński, Morawiecki, Duda itp., a nie pani Mariola z Łomży czy pan Waldek z Mławy, którzy głosowali na PiS. Dla tych pierwszych – żadnego pobłażania ani polityki miłości. Dla tych drugich – zrozumienie pobudek". Mimo prób niuansowania wydaje się, że mściciele nie będą mieć skrupułów. „Trzeba rozliczyć poprzednie rządy. Rozliczenie powinno być bezwzględne. Jeżeli my ich nie rozliczymy, to ludzie nam tego nie wybaczą" – stwierdził poseł elekt Michał Kołodziejczak.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 35833ab357

Pojednanie przez reedukację

Piotr Semka

Pojednanie wymaga jakiegoś wzajemnego szacunku, a nie ochoczych zapowiedzi, że komuś wypierze się mózg

Publicystyczni patroni obozu lewicowo-liberalnego nasycili się już radością z wyników wyborów. Jest szansa na stworzenie przez opozycję nowej rządowej większości. Były już gratulacje dla wyborców stojących do godz. 2 w kolejkach. Zabrzmiały już gromkie wiwaty, że Polska jest trendsetterem liberalnej rekonkwisty w Europie Środkowej. Usłyszeliśmy gromkie zachwyty, że Warszawa to nie Budapeszt. Dysydenci z Mińska i proeuropejscy ukraińscy publicyści zdążyli już pogratulować Donaldowi Tuskowi „poszerzenia przestrzeni wolności”.

Teraz czas na łaskawe pochylenie się nad przegranymi. A to niemała trzódka – 7 mln 600 tys. wyborców PiS. Jak zasypać podziały między Polakami? Z próbą odpowiedzi poleca się Jacek Żakowski. Na łamach „Gazety Wyborczej” pyta: „Spuściliśmy im łomot i co dalej?”. Ten styl godny lidera kibolskiej bojówki bardzo wyraźnie raduje publicystę „GW”. Żakowski pisze: „Klęska autorytarnych populistów otwiera drogę do zbudowania w Polsce dobrego społeczeństwa i dobrego państwa, które są warunkiem stabilnej demokracji”.

ZŁOTE RADY PUBLICYSTÓW

Na drodze do tego dzieła stoi jednak wspomniane już 7,5 mln Polaków, którzy tkwią w mroku. Co z nimi zrobić? Żakowski się martwi: „Nie da się zbudować stabilnej demokracji, mając trwale zrewoltowaną jedną trzecią wyborców”. Jaka na to rada? Publicysta „GW” orzeka: „Rozliczenia są ważne. Odbudowanie aparatu państwa i pozycji Polski jest ważne. Kluczowa będzie jednak strategia przeciągania do obozu demokratycznego tych, którzy w niedzielę poparli autorytarny populizm. Wszystkich nie przekonamy, ale dopiero gdy w kolejnych wyborach uda się autorytarną prawicę sprowadzić poniżej 20 proc. głosów, będziemy mogli uznać, że nasza demokracja znowu jest względnie bezpieczna”.

Ten sam temat podejmuje inny publicysta obozu liberalnego, Jarosław Makowski. „Coraz wyraźniej rysują się w Polsce dwa sposoby rządzenia i budowania narodowej wspólnoty: PiS rządzi przez podział. Nowa większość musi rządzić przez łączenie”. Makowski narzeka, i słusznie, że trwanie w „nienawistnym uścisku” jest fundamentalnie niebezpieczne dla naszego państwa. Jak pisze: „Naród, który jest podzielony, jest łatwym celem dla zewnętrznych przeciwników”.

Czy w imię tego nadrzędnego założenia Makowski proponuje, by powstrzymać retorykę masowych czystek i sprzątania po starej ekipie? Bynajmniej. Proponuje hasło: gruba kreska nie tym razem. I pisze: „Rozliczenie pisowskich rządów winno iść dwutorowo: trzeba zastosować prawo i sprawiedliwość wobec pisowskich decydentów, którzy łamali prawo i przekraczali reguły demokratyczne […]. Inaczej trzeba zachować się wobec [...] elektoratu PiS. A więc ludzi głosujących na partię Kaczyńskiego, a którzy są naszymi sąsiadami, znajomymi, kolegami z pracy. Tu należy zastosować wyrozumiałość i czułość, gdyż elektorat PiS w dużym stopniu stał się ofiarą pisowskiej propagandy. Sączony jad i kłamstwa wobec opozycji przez osiem lat, ba, piętnowanie przez pracowników medialnych opłacanych przez PiS – budowały w elektoracie tej partii fałszywy obraz całych grup społecznych. PiS [...] dzięki tej fabryce nienawiści, jaką są ich media, dla niepoznaki nazywane publicznymi, tworzył wśród dużej części Polaków całkowicie wypaczony obraz rzeczywistości. Jestem przekonany, że zlikwidowanie tej fabryki nienawiści, jaką jest TVP PiS, zmieni postrzeganie świata dużej części ich odbiorców”. Makowski podsumowuje: „Sklejanie polskiej wspólnoty, która została pokiereszowana głupimi podziałami – nie będzie ani łatwe ani szybkie. Ale jest to warte cierpliwości i konsekwencji”.

Jak można wywnioskować z tych złotych rad Jacka Żakowskiego i Jarosława Makowskiego, zamierzają oni zamienić Polskę w jeden wielki obóz reedukacyjny. Sprawa jest dla nich bardzo prosta. Ileś milionów wyborców wprowadzono w błąd, więc trzeba wprowadzić monopol medialny, który perswazyjnie wykaże zaczadzonym, że na wiele spraw patrzyli w błędny sposób. Żadne tam powstrzymywanie się od czystek, żadne tam budowanie pluralizmu medialnego, po prostu powrót do rządów światłych, którzy dziczy kudłatej tłumaczą, że błądziła. Żakowski jest bardziej realistyczny i przyjmuje, że trzeba reedukować jedynie ok. 15 proc. wyborców PiS, a resztę można zostawić w charakterze ściśle kontrolowanego marginesu. Makowski jest o wiele bardziej optymistyczny – uważa, że proces reedukacji będzie długi i będzie wymagał cierpliwości,

eprasa.pl 35833ab357

ale wyleczy z niewłaściwych poglądów zasadniczo wszystkich.

DZIECI WOLNOŚCI KONTRA SŁUDZY REŻIMU

W optyce Jarosława Makowskiego ok. 8 mln Polaków zagłosowało na PiS tylko dlatego, że zostało okłamanych przez telewizję z Woronicza. Tak jakby nie było TVN, Polsatu, dziesiątków tygodników i dzienników liberalnych, do których wyborcy PiS w każdej chwili mogli sięgnąć, aby dowiedzieć się tego, co Żakowski i Makowski uważają za prawdę objawioną. Obu autorom nie przychodzi na myśl, że wyborcy partii Jarosława Kaczyńskiego kierowali się własnym osądem. Jedni uważali, że PiS dobrze radzi sobie z gospodarką i bezpieczeństwem kraju, inni uznawali, że rządzącą partię trzeba poprzeć z racji korzystnych świadczeń społecznych, a jeszcze inni mogli uznawać, że może PiS nie jest bez wad, ale poradzi sobie z problemami lepiej niż opozycja. Owi wyborcy nie traktowali Polski jako kraju znajdującego się pod autokratycznym reżimem, ale uważali, że panuje normalna demokracja, taka sama jak w innych krajach europejskich.

We wszystkich kwestiach spornych ogłoszono, że nie ma żadnego pola do kompromisu. Jest tylko walka aż do zwycięstwa

Sporo wyborców uważało wreszcie, że owe dwie kadencje PiS to dowód na równouprawnienie partii polityka, którego od początku lat 90. obsadzano w roli lidera sił antypaństwowych. Uprzywilejowanie zdobyte przez lewicę solidarnościową w porozumieniu ze światłą częścią obozu PZPR pozwoliło na stworzenie modelu państwa, w którym dojście do władzy najpierw Porozumienia Centrum, a potem PiS arbitralnie uznano za niedopuszczalne. Jak się okazało, potem ten sam sposób myślenia zaczęła przejawiać Unia Europejska, która ograniczyła wybór polityczny jedynie do zakresu poglądów między lewicą a obozem liberalnym z dekoracją w postaci byłych partii konserwatywnych, całkowicie przemodelowanych w liberalnym stylu, jak np. CDU w Niemczech czy francuskie partie postgaulistowskie.

Równolegle do tej politycznej urawniłowki rozpoczęły się zmiany w mediach, które także wykluczały możliwość docierania do nich partii uznanych za populistyczne. Z tego powodu nawet ugrupowania, które wygrywały wybory – jak to zdarzało się we Włoszech Lidze Mateo Salviniego czy np. w Austrii wolnościowcom – nie miały żadnych szans na uczciwe prezentowanie ich w większości mediów. W Niemczech druga siła pod względem sondażowym, partia AfD, odgrodzona jest od mediów prywatnych i publicznych grubą ścianą. W wypadku dominacji obozu lewicowo-liberalnego w Polsce po 1989 r. doszła do tego jeszcze przewaga w środowisku sądowniczym.

Ten monopol wielu wyborców irytował i był dowodem upośledzenia systemu demokratycznego w Polsce. W 2015 r. wydawało się, że jednoznaczny werdykt społeczny siłą rzeczy wywalczy uznanie dla pluralizmu politycznego w Polsce. Okazało się, że obóz liberalno-lewicowy zareagował dokładnie na odwrót. Nie tylko nie uznał, że PiS jest taką samą partią jak wszystkie inne, które wcześniej sprawowały władzę, lecz także pchnął partie opozycji do kampanii z użyciem ulicy i zagranicy.

We wszystkich kwestiach spornych ogłoszono, że nie ma żadnego pola do

eprasa.pl 35833ab357

RYS. TZ KREDEK

Łamanie prawa będzie się odbywało pod dumnym hasłem przywracania normalności, choć będzie dokładnie czymś na odwrót – monopolem jednych i lekceważeniem wrażliwości drugich

kompromisu. Jest tylko walka aż do zwycięstwa. Kto dziś pamięta, że w czerwcu 2016 r. Jarosław Kaczyński zaproponował wyjście ze sporu wokół Trybunału Konstytucyjnego poprzez kompromis, który zobowiązywał obie strony do przegłosowania nowego kształtu TK, w którym potencjał kandydatów i PiS i opozycji byłby zbliżony? Propozycje te gromko odrzucono pod hasłem obrony status quo ante.

Teraz, po ośmiu latach twardej opozycji, ta metoda przynosić będzie korzyści Tuskowi, Hołowni czy Czarzastemu. Nie tylko nie dojdzie do zrównoważenia się wpływów, lecz także w ramach reedukacji społecznej usprawiedliwiany będzie ponowny monopol jednej części społeczeństwa przy lekceważeniu wrażliwości drugiej części. Co więcej, łamanie prawa będzie się odbywało pod dumnym hasłem przywracania normalności, choć będzie dokładnie czymś na odwrót – monopolem jednych i lekceważeniem wrażliwości drugich. A pod parawanem powrotu do standardów demokratycznych budowany będzie system, który za pomocą półperswazji, półaksamitnej represji będzie miał zapewnić, że już nigdy prawica tożsamościowa nie będzie miała szansy na sukces wyborczy.

CZEGO NIE DA SIĘ PRZEMALOWAĆ NA RÓŻOWO

Entuzjastyczne manifesty koryfeuszy liberalno-lewicowego ładu wróżą powrót stabilizacji i braku podziałów. Taki stan jest oczywiście możliwy tylko za cenę całkowitego zglajchszaltowania mediów i opinii publicznej. Będzie musiało tak być, jeśli opozycja zechce wyciszyć realnie istniejące spory, które miały wpływ na ostrość dyskusji Polaków w ciągu ostatnich ośmiu lat. Bo iluzją jest, że kwestia dalszej federalizacji Unii Europejskiej nie będzie wywoływała sprzeciwu choćby w części populacji Polaków. Za pozornie koncyliacyjnymi deklaracjami Jacka Żakowskiego i Jarosława Makowskiego kryje się przekonanie, że nastąpi powrót do „światłej” koalicji większościowej, która przeprowadzi powoli akceptację społeczną dla tworzenia federacji europejskiej.

Co więcej, w obozie sympatyków PO są wręcz głosy wskazujące, że wygrana nad PiS to wspaniała okazja, aby ten marsz do federacyjnej unii jak najbardziej przyspieszyć i uczynić go nieodwracalnym. Wszystkim tym, którzy nie podzielają takich pomysłów, publicyści liberalni proponują przejście reedukacji. Tego, by potraktować poważnie ich pogląd jako równoważny w sporze demokratycznym, nie uznają za możliwe ani Żakowski, ani Makowski.

Kolejną kwestią, która będzie forsowana na zasadzie terapii mającej wybić z głów nieodpowiednich idei, może być tzw. obudowa telewizji publicznej. Wielu Polaków mogła nie zachwycać forma przekazu TVP, ale uważali ją za element równowagi medialnej. To temat na osobną dyskusję, w jakim stopniu PiS zmarnował szansę na budowę silnych mediów po prawej stronie, które nie byłyby ściśle uzależnione od życzeń rządzącej partii. Ale to, czego będziemy świadkami, można wyobrazić sobie jako powrót do telewizji z epoki Jana Dworaka, kiedy to dominował przekaz proplatformerski z maleńkimi listkami figowymi w postaci jednego programu prowadzonego przez osoby kojarzone z prawicą czy dwóch. Docelowo będzie to powrót do sytuacji z lat 2007–2015, kiedy to media publiczne de facto były platformerskie.

Ani Tusk, ani Hołownia, ani Czarzasty nie zrezygnują z wiernopoddańczej linii wobec zamierzeń Paryża i Berlina

Te dwie kwestie – niechęć dużej części Polaków do oddawania kompetencji Unii Europejskiej i kwestia liberalno-lewicowego monopolu medialnego – będą psuły robotę głosicielom pojednania narodowego. Ani Tusk, ani Hołownia, ani Czarzasty nie zrezygnują z wiernopoddańczej linii wobec zamierzeń Paryża i Berlina w kwestii federalizacji Unii ani nie wyrzekną się działań na rzecz monopolizacji rynku medialnego. A to będzie negliżować fasadowość haseł o pojednaniu. Pojednanie wymaga jakiegoś wzajemnego szacunku, a nie ochoczych zapowiedzi, że komuś wypierze się mózg. Przed prawicą bardzo trudny okres walki z tendencjami do budowania monopolu politycznego, medialnego i ekonomicznego. Zobaczymy, jak sobie poradzi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 35833ab357

Czy tak egzotyczna koalicja może być trwała? Na zdjęciu: Włodzimierz Czarzasty, Szymon Hołownia, Donald Tusk i Władysław Kosiniak-Kamysz

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Rząd na pół kadencji

Rafał A. Ziemkiewicz

Nie uważam za wykluczone, że Donald Tusk podejmie desperacką próbę doprowadzenia do wcześniejszych wyborów i „zgubienia" w nich kłopotliwych koalicjantów

Sławny chiński strateg, Mistrz Sun, uczył, że od nas samych zależy tylko to, czy nie ulegniemy przeciwnikowi – to, czy zdołamy go pokonać, zależy od niego. Tę samą zasadę głoszą znane mi podręczniki marketingu politycznego: wyborów się nie wygrywa, wybory się przegrywa – jeśli rządzący nie popełnia błędów i rządzeni są z niego zadowoleni, to opozycja nie przekona wyborców, by wymienili dobre na lepsze.

Proponowałbym już teraz zastanowić się, pod takim właśnie kątem, nad perspektywami prącej do władzy koalicji KO, Trzeciej Drogi i Lewicy, sił politycznych, z których każda też przecież jest koalicją – w pierwszym wypadku aż dziewięciu partii i ruchów. Truizmem będzie stwierdzenie, że wszystkich tych podmiotów nie łączyło nigdy nic poza plemienną nienawiścią do PiS i jego wyborców oraz chęcią uzyskania razem arytmetycznej przewagi nad Zjednoczoną Prawicą. Do powszechnie znanych faktów należy też to, że między połączonymi taktycznym sojuszem ugrupowaniami istnieją różnice w sprawach zasadniczych i fundamentalnych dla ich aktywistów oraz partyjnych elektoratów. Weźmy choćby odmienny stosunek do kwestii obyczajowych PSL i Lewicy – pierwsze publiczne połajanki i deklaracje każdej ze stron „nie ustąpimy ani kroku" zaczęły się między nimi już nazajutrz po przeliczeniu głosów. A sprawa, mówiąc hasłowo, akceptacji dla aborcji nie jest ani jedyną, ani najistotniejszą z takich różnic.

Spróbujmy spojrzeć pod tym kątem w przyszłość: na jakie wewnętrzne konflikty skazany jest szykujący się do objęcia władzy anty-PiS, jakie błędy może popełnić, czym rozczarować i zrazić do siebie wyborców i ile czasu może mu to zająć.

DYLEMAT PSL

Przede wszystkim marzenie odepchniętych osiem lat temu od znaczenia „elit" o powrocie spełniło się w sytuacji diametralnie zmienionej. „Pierwszy" Tusk, ten z 2007 r., załapał się na historyczną koniunkturę nieporównywalną chyba z żadnym innym okresem w naszej historii – dość wspomnieć, że w ciągu czterech pierwszych lat rządów dotacje unijne, otwarte w uzupełnieniu do nich linie kredytowe oraz zarobki przysyłane przez Polaków pracujących za granicą rodzinom dały mu piąty, dodatkowy PKB. Ten zalew pieniędzy umożliwił Tuskowi „rządzenie bez rządzenia" – wszystkie kosztowne, systemowe patologie postkomunizmu pozostały nietknięte, nie podejmowano żadnych strategicznych decyzji, zastępując je „bajpasami" i pozorując propagandowymi akcjami w rodzaju „rewolucji legislacyjnej" czy „szukania przez resorty 20 mld cięć". Priorytetem premiera, który został zrealizowany, było uniknąć jakichkolwiek konfliktów z silnymi grupami interesu, utrzymać wysoką popularność i przenieść się na synekurę w UE.

Tym razem Tusk stanie na czele rządu, który musi się zmierzyć z historycznym wyzwaniem – centralizacją Unii Europejskiej, określaną jako budowa „stanów zjednoczonych Europy", co jest tylko PR-owskim budowaniem pozytywnych skojarzeń, bo w istocie wznoszona konstrukcja więcej ma wspólnego z byłym ZSRS niż z USA. Wszystko to w zmienionej przez wojnę sytuacji geopolitycznej i przy zagrożeniu dalszym rozszerzaniem się „pełnoskalowego" konfliktu zbrojnego.

Można spodziewać się, że Lewica – od zawsze wyznająca zasadę, że Polaków

eprasa.pl 35833ab357

zmusić do postępu można, tylko opierając się na siłach zewnętrznych – do wyrzeczenia się suwerenności podchodzić będzie entuzjastycznie. Podobnie będzie z partią Donalda Tuska – co najgorsze, on sam będzie mógł przy tym szermować argumentem, niestety prawdziwym, że oddając kolejne kompetencje państwa, wykonuje tylko to, co już był wcześniej podpisał Komisji Europejskiej Mateusz Morawiecki. Zachowanie w fundamentalnej dla Polski sprawie Szymona Hołowni i jego partii jest na ten moment zagadką i tu jednak należy się obawiać, że będą oni utrzymywać się w paśmie wyznaczanej przez lewicowo-liberalne media poprawności.

Dla PSL jednak zgoda na centralizację oznacza polityczne samobójstwo w oczach własnego elektoratu i całkowite oddanie go opozycyjnemu PiS. Ludowcy mają już swoje doświadczenie z wyborów europarlamentarnych, gdzie obecność na jednej antypisowskiej liście razem ze skrajną lewicą omal nie wyrzuciła ich na margines polityki. A przecież wtedy chodziło tylko o symbole – teraz zaś trzeba będzie się zmierzyć z unijną agendą, praktycznie w każdym punkcie uderzającą w interesy wsi i rolnictwa. Alternatywą dla zapłacenia za udział w koalicji np. utratą na rzecz PiS części samorządów, a w perspektywie trwałego przesunięcia tradycjonalistycznego elektoratu ku opozycji jest demonstracyjne odgrywanie w koalicji roli „hamulcowego", pilnującego polskich interesów.

„RZĄD OCALENIA NARODOWEGO"

To nie będzie się mogło podobać Donaldowi Tuskowi, którego plany, jakiekolwiek by konkretnie były, wymagają utrzymania życzliwości i protektoratu europejskich elit. Tym bardziej że o ile obecnie, zaraz po wyborach, koalicja z PiS jest dla PSL psychologicznie nie do przyjęcia, o tyle – w miarę, jak zaczną Polacy odczuwać konkretne skutki „ratowania planety" i „pogłębiania integracji" pod niemiecko-brukselskie dyktando – wolta w kierunku „rządu ocalenia narodowego" będzie się stawać coraz bardziej wytłumaczalna.

Tym bardziej że pomiędzy tak różnymi podmiotami i bez nacisku Brukseli ujawniać się będą coraz to nowe napięcia. Tusk, który nie przywykł niczego z nikim konsultować (przynajmniej z nikim tu, w kraju), chciał, według pierwszych przecieków, stworzyć kolejny „rząd autorski". Tym razem jednak stoi na czele koalicji, nawet jego własna partia jest formalnie, jak już wspominaliśmy, połączeniem aż dziewięciu podmiotów, wprawdzie na ten moment całkowicie spacyfikowanych, ale potencjalnie zdolnych do zgłaszania w korzystnym dla siebie momencie roszczeń. Politycy obu ugrupowań Trzeciej Drogi ostatecznie znaleźli się w Sejmie dzięki propagandowemu zwrotowi Tuska i jego mediów na ostatniej prostej kampanii, nie zapomną jednak łatwo wcześniejszej nagonki, którą w ramach budowania „jednej listy" Tuska próbowano ich zwasalizować w obrębie KO albo zepchnąć pod próg wyborczy. Będą więc raczej domagać się od większego koalicjanta gwarancji i respektowania zasady „z ręki do ręki". Skutkiem tego jest, że już na etapie wstępnych uzgodnień zarzucono wszelką myśl o redukcji gargantuicznie rozdętego rządu PiS, z jego 17 ministrami i ponad 100 wiceministrami; przeciwnie, dla zaspokojenia oczekiwań wszystkich koalicjantów liczby te mają jeszcze bardziej wzrosnąć, w pierwszym ruchu przez dzielenie dotychczasowych resortów – ale pamiętając, z jaką łatwością tworzył Tusk swego czasu całe quasi-ministerstwa dla politycznej korupcji, by przyciągnąć Julię Piterę albo Bartłomieja Arłukowicza, możliwości są tu znacznie większe. Mateusz Morawiecki, by radzić sobie z tym chaosem, stworzył unikalny system rządu wewnętrznego, opartego na rozbudowanej kancelarii premiera i osobistych powiązaniach – tego systemu Tusk nie zdoła odtworzyć w prosty, mechaniczny sposób.

Tego nie da się zrobić inaczej niż metodami gangsterskimi, ale mając za sobą organa unijne, Tusk może sobie na wiele pozwolić

Brak sprawnego mechanizmu rządzenia nie od razu wyjdzie na jaw, na jakiś czas zapewne wystarczy też do odwracania uwagi „igrzysk", które rozpoczęła nowa ekipa już nazajutrz po wyborach, produkując narracje o rzekomej dziurze budżetowej, pięciodniowych podsłuchach czy mieleniu dokumentów. Zapewne „rozliczenia" pozwolą zająć uwagę publiczności przez jakiś czas – ale nie zdołają zastąpić radzenia sobie z problemami, a tych „zielony ład" i „kamienie milowe" będą generować coraz więcej.

GANGSTERSKIE METODY

Z opisanych wyżej powodów wcale nie uważam za wykluczone, że Donald Tusk podejmie desperacką próbę doprowadzenia do wcześniejszych wyborów i „zgubienia" w nich kłopotliwych koalicjantów. Zapowiadany wariant: „Ostatecznie będzie jedna lista i będzie to lista KO" miałby wtedy szansę urzeczywistnienia, znikłaby perspektywa odwrócenia przez PSL sojuszy, jak również problem z prezydenckimi aspiracjami Szymona Hołowni. Pretekstem do przyśpieszenia wyborów mogłoby być nieuchwalenie przez nowy Sejm budżetu, co może Tusk usprawiedliwiać z jednej strony rzekomym fatalnym stanem finansów państwa i niemożnością realizacji budżetu przygotowanego przez Morawieckiego („wypuszczenie" z tą narracją Izabeli Leszczyny wydaje się próbą sondowania, jak daleko można się tu posunąć) oraz obstrukcją prezydenta, który jakoby odebrał nowej koalicji czas niezbędny na zapoznanie się z „prawdziwym" stanem państwowej kasy i przygotowanie „realnego" budżetu.

Takie pokerowe zagranie wymagałoby wcześniejszego uzyskania przez Tuska „bezpieczeństwa informacyjnego", czyli odzyskania całkowitej kontroli nad mediami państwowymi. Tego nie da się zrobić inaczej niż metodami gangsterskimi, ale mając za sobą organa unijne, Tusk może sobie na wiele pozwolić. Sięgnięcie po sztuczki w rodzaju postawienia TVP w stan upadłości decyzją ministra zmusiłoby PiS do sięgania po radykalne metody walki politycznej i w efekcie rozgrzałoby znowu do czerwoności plemienną polaryzację. Na tej zaś, czego nie trzeba już chyba udowadniać, zależy w jednakowej mierze zarówno Tuskowi, jak i Kaczyńskiemu.

Na co ostatecznie zdecyduje się Tusk, nie można być w tym momencie pewnym – niewątpliwe wydaje się tylko to, że to po jego stronie boiska znalazła się piłka i PiS oraz prezydentowi nie pozostaje w tej chwili nic innego niż czekać na jakieś błędy i mieć nadzieję, że zaczną je wkrótce popełniać zarówno on, jak i jego koalicjanci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 35833ab357

Z Władysławem Teofilem Bartoszewskim, politykiem Polskiego Stronnictwa Ludowego, posłem Trzeciej Drogi
rozmawia Ryszard Gromadzki

Rząd PiS i PSL to political fiction

RYSZARD GROMADZKI: Czy spekulacje na temat możliwej koalicji Polskiego Stronnictwa Ludowego ze Zjednoczoną Prawicą należy traktować wyłącznie w kategoriach political fiction czy to prawdopodobny scenariusz?

WŁADYSŁAW TEOFIL BARTOSZEWSKI: To wariant kompletnie nieprawdopodobny. To całkowite political fiction. To jest myślenie życzeniowe.

Życzeniowe ze strony PiS?

Oczywiście. Proszę pamiętać, że do wyborów szliśmy jako „trzecia droga", a nasze hasło brzmiało: „Głosujcie na Trzecią Drogę, bo inaczej będziecie mieli trzecią kadencję PiS". Ponad 3 mln 100 tys. ludzi zagłosowało na Trzecią Drogę, 14,4 proc. wszystkich, którzy wzięli udział w wyborach 15 października. Nie ma takiej możliwości, żebyśmy teraz się od nich odwrócili i powiedzieli, że tak naprawdę to my teraz wolimy być z PiS. Jest zero szans na realizację takiego scenariusza.

Dlaczego Władysław Kosiniak-Kamysz nie chce być premierem?

W tych wyborach po stronie opozycyjnej najwięcej głosów i mandatów zdobyła Koalicja Obywatelska, a jej szef, Donald Tusk, osiągnął najlepszy wynik kiedykolwiek uzyskany przez kandydata na posła, czyli ponad 500 tys. głosów. W tej sytuacji naturalne jest, że to Donald Tusk będzie premierem.

Ale nie byłoby tej większości, gdyby nie zaskakująco dobry wynik Trzeciej Drogi. W tym układzie PSL ma wszystkie atuty w ręku, żeby licytować jak najwyżej.

To prawda. Dlatego w czasie negocjacji, które się toczą, Trzecia Droga powinna uzyskać godną reprezentację w Sejmie i w rządzie.

Co to znaczy „godną reprezentację", panie pośle? Jakie resorty w nowym rządzie chce objąć PSL?

To jest wyłącznie w gestii prezesa PSL, Władysława Kosiniaka-Kamysza. Nie będę spekulował, o czym prezes rozmawia z Donaldem Tuskiem, Szymonem Hołownią i Włodzimierzem Czarzastym.

Wśród priorytetów nowego rządu, które zapowiada Donald Tusk, ma być liberalizacja prawa aborcyjnego i legalizacja tzw. związków partnerskich. PSL podpisze się pod taką agendą światopoglądową?

Władysław Kosiniak-Kamysz jasno zadeklarował, że sprawy światopoglądowe nie powinny być zawarte w umowie koalicyjnej, którą chcemy zawrzeć. To samo mówił Szymon Hołownia. Jeśli chodzi o sprawę przerywania ciąży, to zarówno PSL, jak i Polska 2050 chcą ogłoszenia referendum w tej sprawie.

Różnice światopoglądowe mogą poróżnić nową koalicję? Wygląda na to, że w tym obszarze z Lewicą dzieli was bardzo dużo?

Trzeba pamiętać, że, po pierwsze, w nowej koalicji Lewica będzie dysponowała znacznie mniejszą liczbą posłów niż pozostałe ugrupowania. Po drugie, w Polsce jest cały katalog naprawdę ważnych spraw do załatwienia, w których się zgadzamy. Na pewno nie będziemy stawiali kwestii światopoglądowych na ostrzu noża.

A co z rozliczeniami ekipy PiS? Jak one miałyby według pana wyglądać? Donald Tusk i inni politycy partii koalicyjnych mówią o tym nieustannie.

Zobaczymy. W grę wchodzi powołanie sejmowej komisji śledczej, która zbadałaby wiele działań, naszym zdaniem bezprawnych; rozliczyłaby afery, których było całe mnóstwo. Przyjrzałaby się, jak funkcjonowało państwo PiS w ciągu ostatnich ośmiu lat. To musi być przeprowadzone zgodnie z prawem. Pilną sprawą jest oddzielenie urzędu

eprasa.pl 35833ab357

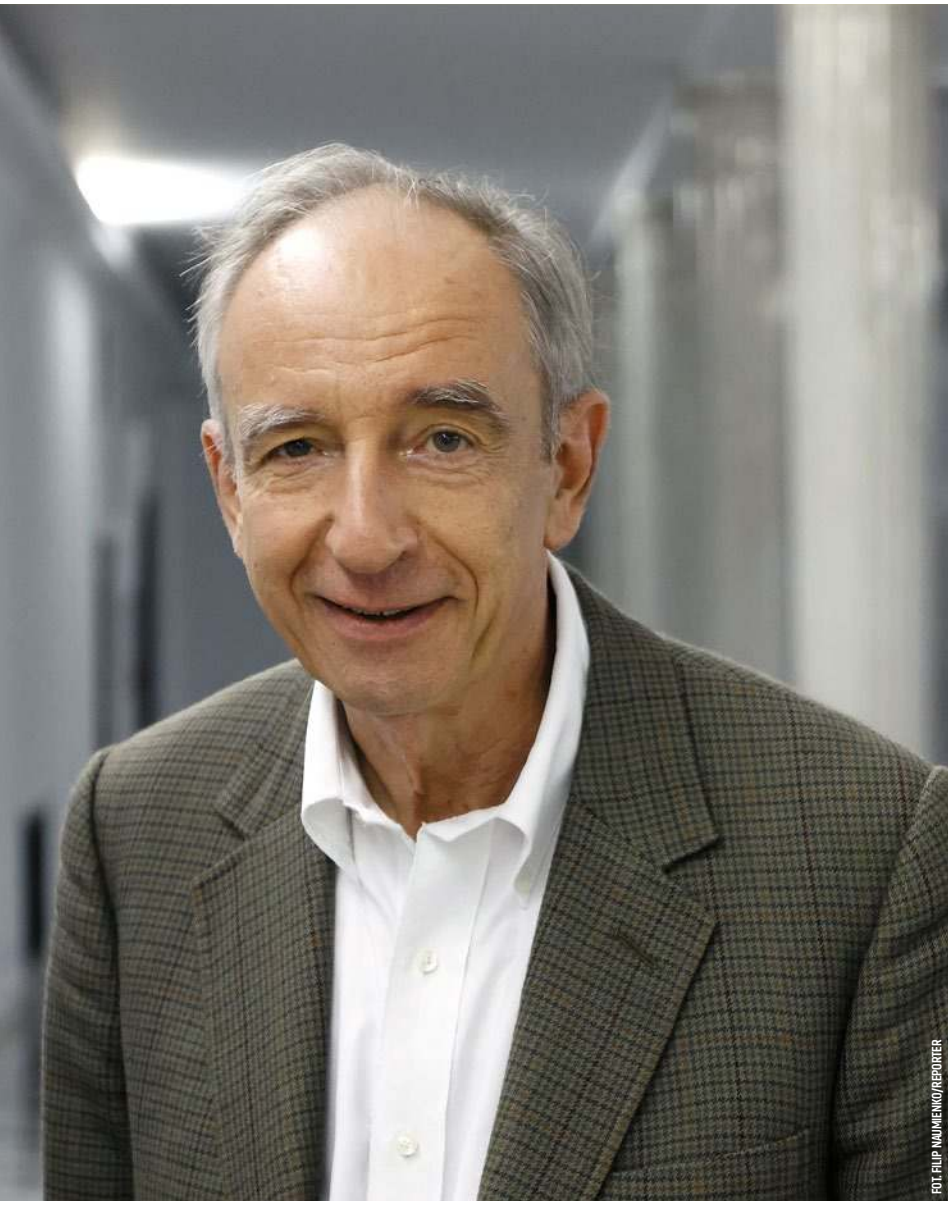

FOT. FILIP NAUMIENKO/REPORTER

ministra sprawiedliwości od funkcji prokuratora generalnego. Jeżeli będą ku temu powody, to prokuratura powinna wszcząć śledztwa w sprawach takich jak afera Pegasusa, afera respiratorowa, elektrowni w Ostrołęce i innych. Jeśli zebrany w śledztwie materiał będzie kwalifikował się do skierowania tych spraw do sądów, to niech sądy się nimi zajmą. Nawoływania do tego, żeby postawić całą władzę, polityków Prawa i Sprawiedliwości, którzy ją sprawowali, przed Trybunałem Stanu, są niezbyt rozsądne. Ten trybunał działa od 102 lat i w tym czasie skazał dwie osoby, w tym jedną za nielegalny handel alkoholem. To niepoważne.

Przekonuje pan, że rozliczenie władzy PiS musi opierać się na prawie, a nie na ślepym odwecie. Nie wszyscy politycy związani z dotychczasową opozycją są tak subtelni. Były premier Marek Belka, mówiąc o rozliczaniu ekipy PiS, użył określenia „odszczurzanie". Takie określenia raczej nie pomagają w sklejaniu polskiej wspólnoty.

Na tym właśnie polegał sukces Trzeciej Drogi, którą jeszcze niedawno wszyscy spisywali na straty, wieszcząc, że nie przekroczy progu wyborczego. A jednak ludzie zagłosowali za normalnością, za dialogiem, za jakimś porozumieniem. Owszem, ludzie, którzy łamali prawo, powinni być ukarani. Ale z tego nie wynika absolutnie, żebyśmy występowali przeciw wyborcom Trzeciej Drogi, którzy kiedyś głosowali na PiS. Ludzie chcą powrotu do normalności. Nie jesteśmy za tym, żeby Polska była podzielona na dwa zwalczające się plemiona, bo widzimy, do czego doprowadziło to w Stanach Zjednoczonych.

Co się stanie z mediami publicznymi? Liderzy nowej sejmowej większości nie ukrywają, że TVP i Polskie Radio czeka wielka czystka.

Jestem za tym, żeby Telewizja Polska, telewizja publiczna, nadal istniała. Tyle że jako telewizja publiczna, a nie telewizja jednej partii. Wszyscy wiemy, jak zachowywała się TVP w ostatnich latach, obserwowaliśmy np. „Wiadomości", wiemy, jaki przekaz był tam forsowany. To musi się zmienić. To oczywiste. Jak to będzie zrobione? Zobaczymy. Jasne jest, że telewizja publiczna ma być telewizją dla wszystkich Polaków, a nie medium monopartyjnym.

Rada Mediów Narodowych zostanie zlikwidowana?

Moim zdaniem, choć to nie ja decyduję, to instytucja do natychmiastowej likwidacji. Pozostawić należy Krajową Radę Radiofonii i Telewizji, której prerogatywą zawsze było regulowanie rynku medialnego.

Opozycja szła do wyborów pod hasłem normalizacji stosunków z Unią Europejską, a szerzej – generalnej zmiany w polskiej polityce zagranicznej. Czy ta normalizacja wiązała się będzie z bezkrytyczną zgodą na wszystko, czego zażąda od Polski Bruksela?

W tym obszarze należy oczekiwać drastycznych zmian, dlatego że Polska w ciągu ostatnich ośmiu lat nie prowadziła żadnej polityki zagranicznej. Proszę wskazać mi cele polityki zagranicznej, które Polska chciała osiągnąć? Jeśli nie mamy celów, to nie mamy strategii, żeby te cele wypracować. Jeśli brakuje nam strategii, to działania taktyczne i dyplomatyczne są tylko pozorne. Mieliśmy okazję, żeby na poziomie taktycznym pewne rzeczy pozałatwiać, ale działo się to bez żadnego strategicznego planu. Mówienie wszystkim o tym, że musimy być w dobrych stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi i z Unią Europejską, to są trywia, to nie jest polityka. W Unii Europejskiej powinniśmy odgrywać znaczącą rolę, bo jesteśmy w niej piątym co do

eprasa.pl 35833ab357

wielkości państwem. Powinniśmy siedzieć przy jednym stole z Niemcami, Francuzami, Włochami i Hiszpanami i decydować o kierunku zmian. Ale kiedy my obrażamy się na wszystkie państwa po kolei, jeżeli premier Morawiecki nie jest w stanie zebrać mniejszości blokującej w kwestii paktu migracyjnego, z wyjątkiem Węgier, tylko cztery państwa się wstrzymały, a wszyscy inni głosowali przeciwko – to co to za polityka zagraniczna? Są sprawy, które Polska musi wywalczyć sobie w Brukseli, i żeby to wywalczyć, musimy mieć sojuszników, aliantów. Kiedy kłócimy się ze wszystkimi, to trudno później ich pozyskać. Trzeba przywrócić Polsce rolę, która nam się należy w Unii Europejskiej, i oczywiście jednocześnie podtrzymywać bardzo dobre stosunki ze Stanami Zjednoczonymi, bo to podstawa naszego bezpieczeństwa. Konieczne jest nowe otwarcie. Po pierwsze, należy odkręcić „deformę" systemu sprawiedliwości, którą krytykował nawet prezes PiS, Jarosław Kaczyński, mówiąc, że to się nie udało. No nie udało się. Trzeba zacząć to odkręcać, bo to warunek konieczny, żebyśmy mogli uzyskać pieniądze z Krajowego Planu Odbudowy, na które wszyscy Polacy czekają.

Mówi pan, że Polska powinna być wśród pięciu rozgrywających Unii Europejskiej, a równocześnie sama Unia gwałtownie przyspiesza działania legislacyjne, których celem ma być zmiana traktatów. Ich konsekwencją będzie postanie europejskiego superpaństwa pod auspicjami Niemiec i radykalne ograniczenie prerogatyw państw narodowych.

Zlikwidowanie weta w sprawach podstawowych, czyli np. w obszarze polityki zagranicznej czy polityki obronnej, jest możliwe wyłącznie poprzez zmianę traktatów. W tej chwili, licząc szybko, 13 państw Unii Europejskiej – prawie połowa – jest przeciwnych takim zmianom. To jest nie do przeprowadzenia. A nasze podejście, przynajmniej moje podejście, w tej materii jest takie, że jeżeli Niemcy, które są krajem forsującym taki pomysł, mówią, że powinniśmy dokonać reformy zarządzania Unią Europejską, to ja się z tym zgadzam, ponieważ w wielu sprawach trudno jest osiągnąć jednomyślność ze strony 27 krajów. A będzie to jeszcze trudniejsze, jeśli po przyjęciu do Unii krajów Bałkanów Zachodnich liczba członków Wspólnoty wzrośnie do 30.

Jesteśmy wszyscy przeciwko przymusowej relokacji

To wymaga refleksji, jak usprawnić proces zarządzania Unią. Jednak koncepcja, że Polska pozbawi się prawa weta w polityce zagranicznej, kiedy polityka zagraniczna czy gospodarcza Niemiec w ostatnich dwudziestu kilku latach była katastrofalna, a niewiele lepsza była polityka Francji, która również stawiała na współpracę z Rosją Putina, może bez tego komponentu energetycznego, które miały Niemcy, nie wchodzi w grę. Nie mogę zgodzić się na to, żeby Polska oddała politykę zagraniczną, żebysmy pozbyli się możliwości rozstrzygania w tym obszarze, kiedy mamy, jeśli chodzi o kwestię rosyjską, wraz państwami bałtyckimi, Czechami czy ze Słowakami, dużo lepsze rozeznanie niż Niemcy czy Francja.

Myśmy już po inwazji Rosji na Ukrainę w 2014 r. ostrzegali Francję i Niemcy, do czego doprowadzi ich polityka. Nikt się z tym nie liczył. Nie widzę możliwości oddania prerogatyw przez Polskę w tak newralgicznej kwestii. Jeśli chodzi o sprawy obronności, to jeśli zwiększymy liczebność naszych wojsk, a przede wszystkim wyposażymy je w uzbrojenie, które teraz zaczęło napływać, to będziemy w lepszej sytuacji militarnej, niż są w tej chwili Niemcy. Trudno sobie w tej sytuacji wyobrazić, żeby Niemcy dyktowali nam politykę obronną, bo to my jesteśmy na linii frontu, a nie oni.

Wydaje się, że inny pogląd w tej sprawie ma typowany na przyszłego ministra obrony Tomasz Siemoniak. Jego zdaniem plan 300-tysięcznej armii, który forsował rząd Zjednoczonej Prawicy, od początku był nierealistyczny. Według Siemoniaka Polskę stać na armię 150-tysięczną. Czy takie postawienie sprawy nie odbiera Polsce militarnej podmiotowości?

Czytałem wypowiedź pana Siemoniaka. Ale jeśli pan doliczy do tych 150 tys. Wojska Obrony Terytorialnej i inne formacje, to finalnie wychodzi te same 300 tys. Moim zdaniem rzeczą podstawową, która nie spotka się z pozytywnym odbiorem opinii publicznej, również ze strony prawej, żeby było jasne, jest założenie, żebyśmy mieli bardzo liczną armię rezerwową. Finowie na 5 mln mieszkańców mają 22 tys. żołnierzy zawodowych i prawie 900 tys. ludzi w armii rezerwowej, którzy potrafią strzelać i właściwie zachować się w czasie wojny. To gwarantuje im bezpieczeństwo. Podobny system mają Szwajcaria i Izrael. Chciałbym, żebyśmy w Polsce mieli liczną, dobrze wyszkoloną armię rezerwową do szybkiego użycia w razie potrzeby. Pamiętajmy, że utrzymywanie bardzo dużej armii zawodowej jest niezwykle kosztowne. Każdy powinien przejść podstawowe szkolenie wojskowe, a zapału do tego w ostatnich miesiącach pomimo wojny na Ukrainie i zachęt ze strony ministra Błaszczaka nie było widać. Moim zdaniem jest niewytłumaczalne, że w Polsce jest tylu ludzi, którzy nigdy w życiu nie mieli w ręku karabinu czy pistoletu i nie potrafią strzelać. Jeśli jest się państwem przyfrontowym, jak Polska, to bardzo niedobra sytuacja. Nie twierdzę, żeby przywrócić pobór powszechny, bo to bardzo w społeczeństwie niepopularne, albo dość zwariowane szkolenie wojskowe, które istniało w szkołach i na uczelniach wyższych za komuny. Jednak moim zdaniem budowanie ogromnej armii zawodowej jest nieracjonalne.

Ceną zgody Brukseli na odblokowanie pieniędzy z KPO dla Polski będzie zgoda na relokację migrantów do Polski?

Absolutnie nie. Jesteśmy wszyscy przeciwko przymusowej relokacji. Notabene cały czas używa się określenia „migranci", podczas gdy mowa jest o relokacji ludzi, którzy już uzyskali azyl w jednym z państw Unii Europejskiej. To nie jest tożsame z migrantami szturmującymi włoską wyspę Lampedusę. Nie będziemy się zgadzać na żadną relokację z bardzo prostego powodu. Polska przyjęła przy minimalnym wsparciu ze strony Unii Europejskiej miliony uchodźców z Ukrainy czy uciekających z Białorusi i w tej chwili mamy w Polsce ok. miliona uchodźców. Bez korzystania ze środków unijnych udało nam się ich u nas osiedlić, zapewnić im pracę i opiekę zdrowotną. Nie będziemy w tej sytuacji przyjmować żadnych dodatkowych migrantów. My już swoją solidarność z Europą udowodniliśmy.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 35833ab357

Czy wybory są ważne

FOT. ADOBE STOCK

Bartosz Lewandowski

Skoro według środowiska żądającego rozliczeń o ważności wyborów decydują „niesędziowie" z Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, to do potwierdzenia ważności nie dojdzie

Po wyborach pewni możemy być jednego: odbyły się, rząd ich nie fałszował, nie dorzucał kart wyborczych, a wbrew narracji środowisk liberalno-lewicowych w poniedziałkowy ranek nie słyszeliśmy stukotu gąsienic czołgów zwiastujących stan wojenny. Kwestia ważności wyborów i rozpoznanie wnoszonych ewentualnie protestów wyborczych oraz protestów przeciwko ważności referendum leży w gestii Sądu Najwyższego. A konkretnie Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych tego sądu, która, w ocenie przedstawicieli ugrupowań politycznych zamierzających formułować nowy rząd i rozliczać Zjednoczoną Prawicę, w ogóle sądem nie jest. I tutaj pojawia się problem natury logicznej i prawnej.

Zgodnie z obowiązującymi przepisami kodeksu wyborczego Sąd Najwyższy na podstawie sprawozdania z wyborów przedstawionego przez Państwową Komisję Wyborczą oraz opinii wydanych w wyniku rozpoznania protestów rozstrzyga o ważności wyborów i referendum, przeciwko któremu wniesiono protesty. W tym przedmiocie uchwałę podejmuje w pełnym składzie Izba Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, nie później niż w 90. dniu po dniu wyborów i odpowiednio 60. dniu w przypadku referendum.

Działalność Sądu Najwyższego reguluje ustawa z 8 grudnia 2017 r. Wtedy właśnie powołano Izbę Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, której przekazano rozstrzyganie w przedmiocie protestów wyborczych i przeciwko ważności referendum. Zastąpiła przy tym wcześniejszą Izbę Pracy, Ubezpieczeń Społecznych i Spraw Publicznych.

eprasa.pl 35833ab357

Sama data jej uchwalenia już zwiastuje kłopoty. Ustawa uchwalona została przez większość sejmową, która aktualnie ma utracić możliwość rządzenia. Istnieje zatem domniemanie – w oczach części środowisk politycznych – że doszło do tego z oczywistym pogwałceniem konstytucji z 1997 r. Problem jest jeszcze większy. Z tego samego dnia jest ustawa zmieniająca ustawę o Krajowej Radzie Sądownictwa, która w art. 9a powierzyła Sejmowi wybór członków KRS będących reprezentantami środowiska sędziowskiego (Sądu Najwyższego, sądów powszechnych, sądów administracyjnych oraz sądów wojskowych). A to stało się obiektem niesłychanej liczby zarzutów dotyczących łamania ustawy zasadniczej, a w konsekwencji nielegalnego powoływania sędziów.

Niektórzy z sędziów przychylili się do apelów Stowarzyszenia Iustitia i uchylali orzeczenia na podstawie tego, że sąd był obsadzony przez osobę, która nie może orzekać

Warto przypomnieć, że konstytucja w art. 187 ust. 1 pkt 2 stanowi jedynie, że członkowie KRS są wybierani spośród sędziów. Ustrojodawca nie wskazał jednak, kto ma wybierać tych sędziów. Zatem z konstytucji wynika, kto może być wybrany członkiem KRS, ale nie jest określone, jak wybrać sędziów – członków KRS do tej Rady. Te kwestie zostały przekazane do uregulowania w ustawie (wprost – art. 187 ust. 4 Konstytucji). I zasadniczo kwestię swobody w wyborze potwierdził Trybunał Konstytucyjny w wyroku z 20 czerwca 2017 r. w sprawie o sygn. K 5/17, który został wydany jeszcze przed zmianami w ustroju KRS.

„NIELEGALNA" KRS I „NIELEGALNI" SĘDZIOWIE

Pomimo tego środowiska politycznej opozycji wobec ówczesnej większości parlamentarnej uznały zmiany prawne za niezgodne z konstytucją. Wspierane przez część środowiska prawniczego zaczęły formułować następującą tezę: skoro KRS został ukształtowany „nielegalnie", to wszyscy kandydaci, którzy są opiniowani przez KRS, są „nielegalni", a ci, których powołał Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej na wniosek KRS w zakresie swojej prerogatywy na urząd sędziego zgodnie z art. 179 ustawy zasadniczej, też są „nielegalni". Wobec sędziów powołanych przez prezydenta pojawiły się w medialnym obiegu sformułowania „neosędziowie", „niesędziowie", „niby-sędziowie", „przebierańcy w togach" i wiele innych. Poszły za tym czyny. Zaczęto odnotowywać mało uprzejme zachowanie ze strony opozycyjnych prawników, którzy nie wstawali na sali rozpraw, gdy sąd się do nich zwracał, a co jest przejawem szacunku (a wręcz obowiązku). Dochodziło też do głośnego w środowisku prawniczym obrażania członków składu orzekającego czy formułowania wniosków o wyłączenie sędziów z uwagi na wadliwość ich powołań.

Niektórzy z sędziów przychylili się do apelów zarządu Stowarzyszenia Sędziów Polskich Iustitia i uchylali swoim kolegom czy koleżankom z zawodu orzeczenia na podstawie tego, że sąd był obsadzony przez osobę, która nie może orzekać. Głośne było m.in. uchylenie tymczasowego aresztowania i umorzenie postępowania wobec prokuratora Andrzeja Z., który był oskarżony przez prokuraturę o przyjęcie korzyści majątkowej ok. 1 mln zł. Przyczyną było twierdzenie, że Izba Dyscyplinarna Sądu Najwyższego nieskutecznie uchyliła mu immunitet. Przy tym brak było w mediach informacji, aby umorzenie postępowania z tej samej przyczyny dotyczyło sprawy sędziego Sądu Rejonowego w Bydgoszczy Jakuba K., oskarżonego o zgwałcenie i naruszenie nietykalności cielesnej swojej koleżanki sędzi. No cóż, być może zabrakło odwagi, ponieważ zdecydowanie umorzenie postępowania byłoby dotkliwe dla samej pokrzywdzonej. I tak trochę mało zręczne.

Co więcej, w mediach pojawiały się co jakiś czas informacje o kwestionowaniu przez niektórych sędziów statusu innych sędziów, a robiło się naprawdę niesmacznie, gdy dotykało to osoby, które orzekały w sądownictwie od wielu lat, ale odważyły się ubiegać o awans przed KRS ukształtowaną po 2017 r. Wspomnieć należy, że zarzuty w równym stopniu dotyczyły sędziów z najniższych szczebli sądów w Polsce, co np. obecnej I prezes Sądu Najwyższego prof. Małgorzaty Manowskiej czy awansowanego niedawno wieloletniego orzecznika z Sądu Apelacyjnego w Warszawie Zbigniewa Kapińskiego, który został sędzią i prezesem Izby Karnej Sądu Najwyższego. Członkom środowiska prawniczego zarówno tych, jak i wielu innych „neosędziów" nie trzeba przedstawiać – to wieloletni naukowcy, sędziowie i autorzy książek, z których korzysta prawie każdy prawnik wykonujący zawód. Robiło się jeszcze bardziej nieswojo, gdy status „neosędziów" kwestionowali ich koledzy i koleżanki, którzy sami przeszli konkurs w KRS uznany przez Trybunał Konstytucyjny w wyroku z 27 maja 2008 r. (sygn. SK 57/06) za niekonstytucyjny z uwagi na brak możliwości zaskarżenia do Sądu Najwyższego uchwał niekorzystnych dla kandydatów.

FOT. ADOBE STOCK

ZIMNY PRYSZNIC DLA ASESORÓW

Zarzuty nie ominęły również najmłodszych sędziów, którzy ukończyli wieloletnią i bardzo wymagającą aplikację sędziowską w Krajowej Szkole Sądownictwa i Prokuratury w Krakowie. W momencie zakończenia nauki i zdania egzaminu sędziowskiego, co jest już samo w sobie nie lada wyzwaniem, ubiegali się oni o asesurę, a zatem wykonywali obowiązki sędziego przez

eprasa.pl 35833ab357

pewien okres niejako „na próbę". Tych na miły początek czekał nie lada zimny prysznic ze strony „starej" KRS, która w październiku 2017 r. sprzeciwiła się nominacjom wręczonym przez ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobrę 265 osobom. Przyczynami miały być braki formalne (rzekomy brak zaświadczeń psychologicznych czy kwestie obliczania terminów aplikacji sędziowskiej), jednakże raczej nikt w środowisku prawniczym nie wątpił, że chodziło o uderzenie w resort sprawiedliwości. Stanowisko KRS było niezrozumiałe, ponieważ dotyczyło młodych i świetnie wykształconych prawników, którzy zostali postawieni w bardzo trudnej sytuacji, a w ówczesnym czasie w sądownictwie do zapełnienia było ok. 800 wakatów. Krytyka sposobu działania KRS spowodowała, że KRS uchylił swoje poprzednie uchwały, a ówczesny rzecznik KRS sędzia Waldemar Żurek stwierdził, że asesorzy za sytuację, w której się znaleźli, „nie ponoszą winy". To jeszcze nie koniec. Asesorzy w oczach wielu przedstawicieli opozycji byli absolwentami upolitycznionej „szkółki Ziobry", którzy szturmują miejsca przeznaczone dla prawdziwych i niezawisłych sędziów. Sęk w tym, że absolwenci rozpoczynali edukację w momencie, w którym ministrem sprawiedliwości był Jarosław Gowin, a kontynuowali za kolejnych ministrów, z Borysem Budką włącznie.

Dalej było jeszcze trudniej. Gdy skończył się okres asesury, ci z młodych prawników, którzy pozytywnie wykazali się w pracy sędziego, „na próbę" przechodzili przez „neo-KRS". I tutaj pojawiały się kolejne problemy. No bo wiadomo – nie mogą zostać prawdziwymi sędziami, bo przechodzili „upolityczniony" konkurs. Czyli sędziami nie są. I jak to mało uprzejmie ujął znany ze swoich egzotycznych interpretacji prawniczych dr hab. Mikołaj Małecki z Katedry Prawa Karnego UJ: „Osoba powołana na urząd sędziego po wadliwej procedurze przed niekonstytucyjną neo-KRS nigdy nie stała się sędzią. Dlatego pod tym względem nie różni się niczym od konia: ani koń, ani ona nie zostają sędziami. Dokładnie taki z niej »sędzia«, jak z konia przebranego w togę".

Mimo stanowczego wniosku sprawa nie jest taka prosta. Sędziów powołuje na czas nieoznaczony prezydent na wniosek KRS (art. 179 Konstytucji). To prerogatywa głowy państwa. Naczelny Sąd Administracyjny dokładnie wyjaśniał, jaki jest charakter aktu powołania i jaki ma wpływ na sanację ewentualnej nieprawidłowości proceduralnej w toku procedury przed KRS. I tak np. w uzasadnieniu wyroku z 4 listopada 2021 r. o sygn. III FSK 3626/21 NSA wskazał: jeśli sędzia sądu administracyjnego bądź asesor sądowy został powołany do sprawowania urzędu przez Prezydenta RP, to jest on sędzią Rzeczypospolitej Polskiej, nawet jeśli procedura poprzedzająca jego powołanie mogła być dotknięta wadami. Wpisywało się to w orzecznictwo NSA, który odmawiał wyłączania „neosędziów" od orzekania (zob. np. postanowienie z 5 lutego 2020 r., sygn. akt I OSK 1394/18). NSA wskazał zatem, że nawet gdyby uznać, iż procedura przed KRS jest wadliwa, nie zmienia to tego, że w momencie powołania kandydat staje się sędzią. Co ciekawe, część mediów wspierających rząd ZP zwróciła uwagę, że wykładnia dokonana przez NSA nie obejmuje awansu na sędziego sądu okręgowego przez Igora Tuleyę. Akt powołania wręczał mu bowiem Bronisław Komorowski nie jako prezydent, ale jako marszałek Sejmu p.o. zmarłej głowy państwa. I ponownie zrobiło się niezręcznie.

Skoro „przebierańcy w togach" muszą stwierdzić ważność wyborów, to de facto trzeba zalegalizować akt ich powołania na sędziów, oni sami „przebierańcami" nie są

Niemal natychmiast po dniu ogłoszenia wyników wyborów słychać było o czasach rozliczeń. Pojawiły się pomysły składania sędziów z urzędów (co jest jawnie sprzeczne z konstytucją), dokonania weryfikacji sędziów przez komisję czy unieważniania wydawanych przez nich orzeczeń. W sieci pojawił się apel Forum Współpracy Sędziów o rozliczanie tych, którzy mieli „sprzeniewierzyć się rocie ślubowania sędziowskiego", i o natychmiastowe ukształtowanie KRS w zgodzie z ustawą zasadniczą oraz z „zasadami wyrażonymi w traktatach UE". Co ciekawe, przegląd podpisów wskazuje, że apel podpisali nie tylko znani przeciwnicy zmian prawnych po 2015 r., lecz także sędziowie, którzy w odczuciu części swoich kolegów i koleżanek sami są „przebierańcami w togach". I nie wiadomo, czy podpis złożyli z autentycznej chęci poparcia czy może ze zwykłego strachu przed „żelazną miotłą".

A zatem co ze stwierdzeniem ważności wyborów? Pojawia się pewien problem natury logicznej, który środowisko żądające rozliczeń prowadzi do wzajemnie wykluczających się konkluzji. Bo skoro o ważności wyborów decydują „niesędziowie" z Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, to do potwierdzenia ważności nie dojdzie. W oczach przedstawicieli zwycięskiego środowiska politycznego to sytuacja niedopuszczalna. A skoro „przebierańcy w togach" muszą stwierdzić ważność wyborów, to de facto trzeba zalegalizować akt ich powołania na sędziów, oni sami „przebierańcami" nie są i całą wieloletnią narrację należy wyrzucić do kosza.

Niełatwe to zadanie już na samym początku drogi do objęcia władzy. A ja sądzę, że czeka nas jeszcze dużo ciekawych prawniczych fikołków w najbliższym czasie…

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest adwokatem, pracownikiem Collegium Intermarium.

eprasa.pl 35833ab357

Odnowiony w ubiegłym roku grobowiec, w którym pochowano Leona Bilińskiego, jednego z pierwszych ministrów skarbu II RP

FOT. KANCELARIA PREZESA RADY MINISTRÓW (X3)

Z Wojciechem Labudą, pełnomocnikiem premiera do spraw ochrony miejsc pamięci
rozmawia Radosław Wojtas

To często praca wręcz detektywistyczna

RADOSŁAW WOJTAS: Być może nawet skromne, ale na pewno zadbane, uporządkowane, ze świeżymi kwiatami – tak moglibyśmy wyobrażać sobie miejsca spoczynku byłych premierów i ministrów II RP czy rządu na uchodźstwie, postaci często nieprzeciętnych i zasłużonych. A jak jest w rzeczywistości?

WOJCIECH LABUDA: Rzeczywistość jest niestety dużo smutniejsza. Przez 30 lat powstało w tym obszarze bardzo wiele zaniedbań i mamy wiele do nadrobienia. A przecież chodzi o zmarłych członków rządu II RP i rządu na uchodźstwie, a więc postaci często wybitne, ludzi, którzy nie obejmowali swoich stanowisk z przypadku. Byli to naukowcy, działacze społeczni, wojskowi, obrońcy ojczyzny w wojnie polsko-bolszewickiej, legioniści, osoby prowadzące pracę u podstaw… Najczęściej naprawdę wybitne postaci, choć oczywiście zdarzały się i bardziej przeciętne życiorysy, jednak należące do zdecydowanej mniejszości.

I państwo polskie o nich zapomniało?

Zostali zapomniani, mimo że budowali II Rzeczpospolitą, mimo że, tworząc rząd na uchodźstwie, trwali przez pół wieku na straży idei niepodległości. Ludzie wychowani w etosie pracy dla Polski, a mimo tego zapomniano o nich i o miejscach ich spoczynku. Co potwierdza statystyka z ostatniego dwa i pół roku naszych działań, odkąd premier Mateusz Morawiecki zlecił zadanie objęcia opieką grobów wszystkich premierów i ministrów II RP oraz rządu na uchodźstwie. Okazało się bowiem, że po pierwsze, my o tych postaciach często nic czy też prawie nic nie wiemy; po drugie, często nie znamy miejsc ich pochówku. Ostatnie dwa i pół roku to było nie tylko odnawianie miejsc pochówków zasłużonych członków rządów, lecz także poszukiwanie samych grobów oraz informacji biograficznych. Często jest to praca wręcz detektywistyczna, wymagająca wyruszenia w teren, nawiązania kontaktu z rodzinami, naukowcami, organizacjami społecznymi. To ogromne wyzwanie, któremu sprostaliśmy. Jesteśmy bowiem w momencie, w którym na ok. 320 miejsc pochówków brakuje nam informacji o lokalizacji czterech z nich: premiera (!) rządu na uchodźstwie w latach 1970–1972 Zygmunta Muchniewskiego (1896–1979), ministra komunikacji w latach 1925–1926 Adama Chądzyńskiego (1882–1963), ministra aprowizacji w 1921 r. Jana Michalskiego (1875–po 1936) oraz ministra robót publicznych w 1922 r. Władysława Ziemińskiego (1865–~1939).

Jeśli chodzi o wspomniany brak informacji o życiorysach, to czy wiele było białych plam? No i czy udało się je wypełnić?

Jeśli chodzi o II RP, to życiorysy te były w miarę znane. Więcej było tych białych plam w przypadku rządu na uchodźstwie. I wciąż jeszcze one są, jak choćby wspomniane nieodnalezione groby. Wiele udało się jednak ustalić. I tu warto wspomnieć o tym, że życiorysy premierów i ministrów II RP zostały opracowane przez zespół kilkunastu historyków i wydane przez Instytut De Republica w formie książki „Premierzy i ministrowie Rzeczypospolitej Polskiej 1918–1939", a w przygotowaniu jest tom dotyczący rządu na uchodźstwie. Powstała też strona internetowa polskierzady.gov.pl, na której udostępnia-

eprasa.pl 35833ab357

my biogramy, zdjęcia, a także lokalizacje grobów. Książka w wersji elektronicznej jest dostępna bezpłatnie na portalu Biblioteki Narodowej Polona.pl.

Wspominam o tym, bo to niezwykle ważne w kontekście trudno dostępnych źródeł. Proszę zauważyć, że choćby tak podstawowe i powszechne dziś źródło informacji, jakim jest Wikipedia, o niektórych postaciach milczy, a o innych ledwie wzmiankuje. I podkreślę raz jeszcze – to nie są osoby, które pełniły swe funkcje z przypadku. Powinny być szerzej znane.

Tym bardziej że niektóre życiorysy to gotowe scenariusze na dobrą książkę czy film.

Tak jest. Weźmy np. premiera Tomasza Arciszewskiego (1877–1955). Rewolucjonista, który razem z Piłsudskim w 1908 r. dokonywał napadu na pociąg pod Bezdanami, który w II RP był ministrem poczt i telegrafów. Działacz społeczny, założyciel Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. Wreszcie – mimo podeszłego już wieku – działacz konspiracyjny w czasie drugiej wojny światowej. Wskutek spektakularnej akcji „Most III" przerzucono go za granicę. Został premierem rządu na uchodźstwie w dramatycznym czasie, gdy rząd ten tracił międzynarodowe uznanie. I tak wybitna postać, pochowana na najważniejszym londyńskim cmentarzu Brompton, spoczywa w grobie, który zdecydowanie wymaga renowacji.

To także przypadek Leona Bilińskiego, jednego z pierwszych ministrów skarbu II RP, wcześniej ministra skarbu Austro-Węgier, zarządzającego austriackimi kolejami, namiestnika Bośni i Hercegowiny w czasie, kiedy zaczynała się pierwsza wojna światowa…

Który – mówiąc pół żartem, pół serio i parafrazując pewien znany tytuł – „rozpętał pierwszą wojnę światową".

W 1914 r. pełnił funkcję namiestnika Bośni i Hercegowiny. Odpowiadał za bezpieczeństwo, również bezpieczeństwo arcyksięcia Ferdynanda, zastrzelonego w zamachu w Sarajewie. Jak wiemy, wydarzenie to stało się pretekstem do wybuchu pierwszej wojny światowej, która dla Polski ostatecznie okazała się szczęśliwa, bo otworzyła drogę do odzyskania niepodległości. Można więc powiedzieć, że pośrednio wywołał wojnę. Są tacy, którzy może trochę pół żartem, ale może jednak pół serio zastanawiają się, czy Leon Biliński nie zaniedbał spraw bezpieczeństwa celowo i tym samym przyczynił się do skutecznej realizacji zamachu.

Miejsce spoczynku Leona Janta-Połczyńskiego, ministra w pięciu rządach II RP. Na górze przed renowacją, na dole po renowacji

Ale wracając do meritum, pochowano go w czeskich Cieplicach blisko granicy czesko-niemieckiej w grobowcu, który do ubiegłego roku przedstawiał opłakany stan, a wiedza o tym, że spoczywa w nim minister polskiego rządu, wcale nie była tak łatwo dostępna. W zeszłym roku grób odnowiono ze środków kancelarii premiera.

Ile grobów ministrów i premierów z okresu, o którym rozmawiamy, wymagało lub wymaga interwencji polskiego państwa?

Dwie trzecie miejsc pochówków wymagały jakichś prac remontowych. Mówię „wymagały", gdyż przez ostatnie dwa i pół roku sytuacja się zmieniła. W ubiegłym roku wyremontowano ok. 80 obiektów, w tym roku kolejne 80, a może zbliżymy się do 100 odnowionych bądź stworzonych na nowo miejsc pamięci, bo czasem musimy je stawiać na nowo. Ale to, że z ogólnej liczby ponad 300 obiektów prac naprawczych wymagało ponad 200, świadczy, jak duży był stan zaniedbania, z jak dużymi wyzwaniami musieliśmy się mierzyć i cały czas się mierzymy, bo przecież projekt jest w toku.

Zaniedbania nie dotyczą wyłącznie grobów poza granicami Polski.

Niestety, wiele takich przypadków jest również w Polsce. W zeszłym roku przeprowadziliśmy wartą 1,8 mln zł renowację grobów na Starych Powązkach w Warszawie. Opieką objęto łącznie 53 miejsca spoczynku, wyremontowano je, a w jednym przypadku, Władysława Sołtana (1870–1943), ministra spraw wewnętrznych i wojewody warszawskiego w latach 20., przywrócono tablicę w katakumbach, która była tam przed wojną, lecz w trakcie drugiej wojny światowej katakumby zostały zniszczone.

A co w sytuacji osób, które grobów nie mają, ale ich życiorysy domagają się upamiętnienia?

eprasa.pl 35833ab357

Rzeczywiście są i takie przypadki. Wówczas staramy się upamiętnić je inaczej. Taką postacią jest Ksawery Prauss (1874–1925), minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego pierwszych lat II RP, wybitny działacz oświatowy i społeczny, taternik, jeden z tych, którzy inicjowali ochronę przyrody w Tatrach. Zmarł w roku 1925, jednak ponoć ze względu na swoją działalność socjalistyczną, lewicową oraz ateizm nie wyrażono zgody na pochówek na cmentarzu katolickim na Powązkach. Urna z jego prochami przechowywana była w bibliotece Polskiej Partii Socjalistycznej w jednej z warszawskich kamienic, która została niestety zniszczona w 1939 r. w wyniku niemieckich nalotów. I tym samym nie mamy dziś nawet prochów Ksawerego Praussa. Nie jest też w żaden sposób upamiętniony. W tym roku to się zmieni, od grudnia będzie miał swoją tablicę w Muzeum Tatrzańskim w Zakopanem.

Wielu bohaterów naszej rozmowy pochowanych zostało poza granicami Polski. Zdarza się, że w ramach koordynowanych przez pana działań szczątki tych osób wracają do kraju.

Nie brakuje przypadków, kiedy to historia czy też indywidualne losy sprawiały, że postaci, o których rozmawiamy, znajdowały się poza granicami Polski i tam dokonywały swojego żywota. Najczęściej byli to ministrowie II RP, nierzadko walczący z bolszewikami w 1920 r., którzy po drugiej wojnie światowej nie mogli wrócić do kraju, choć chcieli. Często osoby te wyrażały wolę, że chciałyby powrócić do wolnej Polski, choćby po śmierci, często takie jest życzenie rodzin. Decyzją i kierunkową wolą pana premiera jest, by po szczegółowej analizie życiorysów, zasług szczątki tych osób w sposób uroczysty przenosić do Polski. W takich przypadkach to nie jest tylko sam pogrzeb, lecz także liczne wydarzenia wokół, jak konferencje czy wystawy, by i w taki sposób przywracać pamięć o tych ludziach.

Do Polski wróciły m.in. szczątki Eustachego Sapiehy i jego rodziny. To także osoba, której życiorys mógłby posłużyć jako inspiracja dla filmowców.

Postać z wybitnego rodu, jednego z najbardziej zasłużonych w historii Polski. Gałąź Sapiehów, z której pochodził, miała swoje gniazdo rodowe na terenie dzisiejszej Białorusi. Eustachy Sapieha miał tytuł książęcy, ogromny majątek i duży dorobek w pracy społecznej oraz niepodległościowej. Tekę ministra spraw zagranicznych objął w bardzo trudnym momencie, bo w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Po 1939 r. znalazł się u bolszewików na cenzurowanym, cały jego majątek przejął ZSRS. Minister Eustachy Sapieha trafił na Łubiankę, był więziony i przesłuchiwany przez NKWD, nawet skazany na śmierć i ostatecznie uwięziony w Gułagu. Na mocy porozumień Sikorski-Majski opuścił ZSRS razem z Armią Andersa. Z grupą Polaków, którą opiekował się z ramienia PCK, trafił do Kenii. Tam już został i tam ściągnął swoją rodzinę. Człowiek, który kiedyś był na szczycie w hierarchii społecznej, zaczynał zupełnie od zera. Jego syn, także Eustachy, spisał bardzo barwne wspomnienia, które zostały wydane pt. „Tak było: Niedemokratyczne wspomnienia"; na marginesie – bardzo polecam tę lekturę. Na szczęście dzięki dużej pracowitości rodzina wyszła na prostą. W Kenii do dziś mieszkają wnuczki ministra. W tym roku została spełniona wola rodziny i szczątki Eustachego Sapiehy, jego małżonki i kilkorga innych członków rodziny wróciły do Polski, do jedynego w obecnych jej granicach miejsca związanego z tą linią Sapiehów – do kaplicy w Boćkach na Podlasiu. Tak zakończyła się trwająca pół wieku wędrówka ministra Sapiehy.

Wyremontowane, odnowione i co dalej? Czy państwo polskie bierze te miejsca pod opiekę? Czy pamięta o nich choćby przy takich okazjach, jak zbliżający się 1 listopada?

Prowadzimy działania miękkie informujące o tym, gdzie zasłużone osoby są pochowane. Na stronie polskierzady.gov.pl udostępniamy mapę miejsc pamięci, więc każdy, kto w nadchodzących dniach chciałby zapalić znicz w takim miejscu w swojej okolicy, z łatwością je znajdzie. Część grobów znajduje się na zabytkowych cmentarzach lub sama jest zabytkiem albo ma status grobu wojennego i wtedy naturalnie podlega mechanizmowi opieki przez państwo. Wiele grobów ma jednak status prywatny, a wtedy państwo ma ograniczone możliwości ich ochrony. Jest jednak gotowy projekt nowej Ustawy o cmentarzach i chowaniu zmarłych, która zakłada możliwość obejmowania instytucjonalną opieką grobów osób zasłużonych dla Rzeczypospolitej, np. na polu kultury, nauki, techniki czy właśnie służby publicznej. Po pierwsze, państwo mogłoby finansować opiekę nad takimi grobami, a po drugie, mogłoby wyrazić sprzeciw wobec planów likwidacji grobów. Spotykamy się bowiem z sytuacjami, że groby nie są opłacone lub są w tak fatalnym stanie, że istnieje ryzyko ich likwidacji.

Takie przypadki już się zdarzały.

Tak. Zidentyfikowaliśmy dwa takie przypadki. Pierwszy z nich dotyczy ministra Bolesława Grodzieckiego pochowanego w Niemczech w 1960 r. To akurat przykład jednego z ciemniejszych życiorysów. Z informacji, które pozyskaliśmy z IPN, wynika, że już w listopadzie 1939 r., a więc tuż po klęsce wrześniowej, zaproponował Niemcom współpracę i „normalizację stosunków polsko-niemieckich" – czego nie można określić inaczej niż kolaboracją. Pod koniec wojny miał wyjechać do Niemiec, gdzie 29 lat po śmierci, w 1989 r., w Wiesbaden jego grób zlikwidowano. Mamy również przypadek prof. Wacława Makowskiego, marszałka Sejmu i wicemarszałka Senatu, ministra sprawiedliwości w latach 20., jednego z twórców kodeksu karnego w II RP, który zmarł w Rumunii w 1942 r. Pochowano go w Bukareszcie, jego grób zlikwidowano w latach 60. Zależy nam, aby i jego upamiętnić w odpowiedni sposób.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wojciech Labuda – pełnomocnik prezesa Rady Ministrów do spraw reformy regulacji administracyjnych związanych z ruchem naturalnym ludności i ochrony miejsc pamięci od 2021 r. Odpowiedzialny za przygotowanie projektu nowej ustawy o cmentarzach i chowaniu zmarłych oraz założeń innych zmian legislacyjnych w sferze tzw. prawa funeralnego, a także za wiele projektów związanych z upamiętnieniem zasłużonych postaci w historii Polski, w tym sprowadzenie do Polski szczątków prezydentów RP na uchodźstwie w 2022 r. oraz opiekę nad grobami ministrów II RP i rządów na uchodźstwie.

eprasa.pl 35833ab357

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!

tygodnik.dorzeczy.pl/dodatki-specjalne

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

Fundusz Sprawiedliwości

funduszsprawiedliwosci.gov.pl

Ministerstwo Sprawiedliwości

eprasa.pl 35833ab357

Nasze drogie rodzicielstwo

FOT. ADOBE STOCK

Łukasz Zboralski

Pensje opiekunek do dzieci biją historyczne szczyty. To dla młodych rodziców ciężar trudny do udźwignięcia

Roczny chłopiec poszukuje doświadczonej i opiekuńczej niani. Komorów pod Warszawą. Godziny pracy: 8–17 lub 9–18. Od grudnia. Wynagrodzenie 4500 zł netto do lekkiej negocjacji".

„Szukamy doświadczonej niani do noworodka na cały etat. Współpraca długoterminowa. Praca od poniedziałku do piątku, godziny 8–16. Wynagrodzenie do 35zł/h, do 5600 zł/miesięcznie. Warszawa".

„Od grudnia/stycznia poszukujemy niani dla noworodka. Wymagania: doświadczenie w opiece nad noworodkami potwierdzone referencjami od poprzednich pracodawców; doświadczenie w opiece nad dziećmi potwierdzone referencjami powyżej 3 lat; wysoki poziom kultury osobistej; dyskrecja; znajomość języka angielskiego w stopniu komunikatywnym (swobodna komunikacja); ukończony kurs pierwszej pomocy przedmedycznej dla dzieci; dyspozycyjność i elastyczność (podróże). Praca bez zamieszkania w Warszawie, w innych krajach z zamieszkaniem. Rodzina oferuje długoletnią współpracę i atrakcyjne warunki zatrudnienia (pensja od 6000 zł netto, w zależności od kwalifikacji kandydatki)".

To tylko kilka ogłoszeń ze stolicy i okolic metropolii, które obrazują, na jak wysokie pensje w Polsce mogą dziś liczyć opiekunki do dzieci. Stawka 30–40 zł za godzinę jest już właściwie normą.

Wolny rynek ukształtował się tak, że zaczyna stanowić poważny kłopot dla młodych rodziców – a przecież to zwykle ludzie dopiero rozpędzający swoje kariery zawodowe, więc ci, którzy nie osiągają jeszcze najwyższych zarobków.

KOBIETY W PRACY, NIANIE W DOMU

Tę tendencję widać było już kilka lat temu – zarobki opiekunek do dzieci gwałtownie rosły i zauważono to w raporcie „Rynek niań w Polsce w 2018 roku" (opublikowanym przez Niania.pl). Wzrost średniej płacy niań o 1,65 zł rok do roku do średniej kwoty 12,73 zł za godzinę

eprasa.pl 35833ab357

był największym wzrostem od 2013 r. Ówczesna stawka godzinowa opiekunki była o prawie 3 zł wyższa od minimalnej stawki godzinowej.

Wówczas stawka za godzinę dla niani w Warszawie wynosiła niecałe 19 zł i dublowała minimalną stawkę godzinową w Polsce. Właściwie mamy do czynienia z tym samym – stawka 40 zł za godzinę pracy to obecnie także prawie dwukrotność minimalnej stawki godzinowej wynoszącej 23,5 zł.

Przy rosnących płacach Polaków znacznie wzrosły więc i koszty prywatnej opieki dla dzieci. Wzrosły też one jeszcze z kilku innych ważnych powodów. Trudno nie uznać, że jednym z głównych czynników wpływających na rynek opiekunek do dzieci w Polsce jest rosnące zatrudnienie matek. Kobiety coraz częściej pracują na pełen etat, przez co ktoś musi je zastąpić w opiece dla dzieci, zwłaszcza w wieku przedszkolnym i młodszych.

Znaczenie ma też coraz bardziej profesjonalizujący się rynek opieki nad dziećmi. To już nie czasy, w których wystarczyło mieć kogoś, kto umie z dzieckiem się pobawić i je nakarmić. Rodzice coraz bardziej cenią sobie wykształcenie opiekunek. Zapracowani młodzi ludzie mają poczucie, że czas spędzony z dzieckiem w domu nie powinien być „zmarnowany". Oczekują więc, że potomek nie tylko będzie nakarmiony, bezpieczny, lecz także że w czasie pobytu z nianią może się rozwijać i uczyć. Stąd w ofertach pracy nierzadko stawiane są dziś konkretne wymogi, np. znajomość systemu dydaktycznego Montessori.

To wszystko z kolei ma też swoją cenę. Dlatego w podwarszawskim Konstancinie rodzina mająca wysokie wymagania wobec przyszłej opiekunki, w zasadzie guwernantki (łącznie z zamieszkaniem przy rodzinie i zajmowaniem się także kuchnią), zaoferowała niedawno w internetowym ogłoszeniu wynagrodzenie w kwocie 12 tys. zł.

Są i inne przyczyny. Branża opiekunek w pandemii – jak wiele innych – nie miała łatwego czasu. To rodzice zostali w domach z dziećmi. Popyt na takie usługi spadł dramatycznie. Według parentingowych portali usługi opieki wieczornej lub nocnej – gdy rodzice próbowali wykroić w życiu chwilę tylko dla siebie – po tym upadku nie podniósł się właściwie do dziś. Po lockdownach rodzice przechodzący na pracę zdalną szukali też opiekunek w innych warunkach. Nianie musiały zajmować się dziećmi, gdy rodzice pracowali w domu. Bycie pod stałą obserwacją to zajęcie trudniejsze. Kto się więc na nie godził (i godzi), mógł żądać więcej.

Według resortu rodziny i polityki społecznej 44,6 proc. gmin nie zapewnia dziś opieki dla dzieci do lat trzech

„500+" TU NIE POMOŻE

Owszem, wynagrodzenia dla opiekunek są nadal zapewne zróżnicowane pod względem rejonów Polski (Warszawa i Wrocław w poprzednich raportach były najdroższymi dla rodziców pod tym względem). Istnieje też zróżnicowanie ze względu na wykształcenie. Osoby, które opiekują się dziećmi w domach prywatnych rodzin, często otrzymują wynagrodzenie na poziomie minimalnej krajowej. Opiekunki z wykształceniem pedagogicznym lub specjalistycznym doświadczeniem w pracy z dziećmi mogą oczekiwać wyższych zarobków. Ich wynagrodzenie może wynosić od 3–5 tys. zł netto, w zależności od umiejętności, doświadczenia. To kwoty nawet wyższe od tych, które otrzymują dziś pracownicy żłobków czy przedszkoli.

Problem w tym, że – jak to w kraju wciąż się rozwijającym – w Polsce nadal mamy do czynienia z migracją z mniejszych ośrodków do większych. A nieco trudniejszy okres w gospodarce skłania ludzi do wyjazdów. Jak wynika z raportu „Migracje zarobkowe Polaków", przygotowanego w tym roku przez Gi Group, wyjazd do pracy za granicę rozważa 17 proc. ludzi, a niezdecydowanych jest aż 24 proc. To głównie mieszkańcy wsi i małych miast. Spora grupa z tej puli może decydować się ostatecznie na migrację wewnątrz kraju, co jest dla Polski rozwiązaniem lepszym.

Ceny opieki nad dziećmi są jednak w tej wewnętrznej migracji jedną z kolejnych – po cenach zakupu czy wynajmu nieruchomości – barier związanych z przemieszczaniem się do dużych miast w poszukiwaniu lepiej płatnej pracy. Pracujący zawodowo młodzi ludzie jedną pensję przeznaczać będą musieli na dach nad głową. A narodziny dziecka znacznie podniosą skalę wydatków. Powrót mamy do pracy będzie możliwy często tylko przy zastąpieniu jej przez opiekunkę. To z kolei, przy obecnych cenach opieki, może wydawać się coraz mniej racjonalnym posunięciem. Bo jeśli matka ma zostawiać dziecko z kimś obcym i jedocześnie pracować tylko po to, by pokryć koszt takiego zastępstwa, to zdecydowanie lepiej dla dziecka i mamy jest spędzić po prostu ten czas razem.

To z kolei może oznaczać odpływ kobiet z rynku pracy, który jest może bardziej elastyczny dla młodych matek (praca zdalna na pewno stworzyła tu wiele możliwości, o których kilka lat temu nikt nie marzył), ale wciąż nie jest tak dobra jak np. w Skandynawii.

Przy obecnej skali kosztów życia w Polsce rządowy program „500+" (a może wkrótce „800+", w zależności od tego, jaki ostatecznie uformuje się nowy rząd) jest wciąż pomocą dla rodziców dzieci, ale w zderzeniu choćby z wydatkami na nianię okazuje się prawie nie mieć znaczenia. Urlop rodzicielski wydłużył się nad Wisłą w tym roku do 287 dni. Czyli rodzice mogą być z dzieckiem krócej niż trwa rok jego życia. Dla przykładu: w Szwecji urlop rodzicielski to 480 dni, a poza tym czasem rodzice mogą zredukować czas pracy o 25 proc. (z o tyle mniejszym wynagrodzeniem) aż do ukończenia przez dziecko ósmego roku życia.

Wciąż niezrealizowanym dużym wyzwaniem jest spora liczba gmin w kraju, w których brak jakiejkolwiek zinstytucjonalizowanej opieki dla dzieci w zbyt młodym wieku, aby je posłać do przedszkoli. Takich samorządów – według informacji Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej – jest dziś aż 1105, czyli 44,6 proc. wszystkich gmin. W dodatku nawet tam, gdzie są publiczne żłobki, rodzice i tak muszą jakieś częściowe opłaty za nie ponosić.

Samo utworzenie żłobków czy więcej narzędzi pomagających rodzicom w opiece prawdopodobnie nie odwrócą niekorzystnego demograficznego trendu w Polsce. Za to na pewno obecne bariery też temu zjawisku nie przeciwdziałają.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 35833ab357

Robert De Niro (z lewej) i Leonardo DiCaprio FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Nienasycenie

Piotr Gociek

„Czas krwawego księżyca" to opowieść o chciwości bez granic. Martin Scorsese raz jeszcze mówi Ameryce: oto jak okrwawione są ręce, które cię zbudowały

Łagodne wzgórza, zielona trwa, niezliczone stada bydła, czyste niebo, majestatyczne słońce. Hrabstwo Osage jest rajem. Ale hałaśliwym. Bo w miastach „ulice roiły się od kowbojów, łowców posagów, przemytników alkoholu, wróżbitów, znachorów, osób wyjętych spod prawa, marshalów, finansistów z Nowego Jorku i potentatów naftowych. Automobile pędziły końskimi traktami, smród paliwa tłumił zapach prerii" – opisywał David Grann.

W tym raju kryje się ropa, a gorączka, która wybucha – bo każdy chce się wzbogacić – nie osiąga rozmiarów tej złotej z Klondike tylko z jednego powodu. Tu nikt nie może wykroić sobie działeczki i kopać na własną rękę. Ziemia należy do Indian i to oni czerpią zyski z jej wydobywania. Przez chwilę wydaje się, że Osage County jest i rajem i utopią: Indianie paradują w strojach elegantszych niż biali, nikomu nie przeszkadzają mieszane małżeństwa zawierane z zachowaniem ceremoniału chrześcijańskiego i pogańskiego, biali biedacy są kierowcami bogatych indiańskich panienek, a starsi plemienia, siedząc pod ścianami domów, ze stoickim spokojem obserwują szaleństwa młodych – np. wyścigi automobilów.

WĄŻ W RAJU

Jednak w każdym raju mieszka wąż. Ten, którego widzimy w „Czasie krwawego księżyca", to William King Hale, ważna figura w hrabstwie. Człowiek na pozór przyjazny i troskliwy, a tak naprawdę bezwzględny gracz, który pociąga za wszystkie sznurki i nie cofnie się przed niczym. Rolę Hale'a zagrał Robert De Niro, tworząc nie wiem czy nie najbardziej przerażającą kreację w swojej karierze. Nie dzięki ekspresji, lecz minimalizmowi: zimno obserwujący wszystkich przez szkła okularów Hale robi wrażenie gada – zaiste, jest to wąż w raju.

Raj z bliska okazuje się także miejscem tylko pozornie spokojnym, w rzeczywistości wszystkim kierują tu prawa, które nakładają na Indian niewidzialne kajdany. To biali muszą być strażnikami ich fortun, a wszystko to w połączeniu z zasadami dziedziczenia ziemi sprawia, że inaczej patrzymy na fenomen mieszanych małżeństw. Może to tylko kolejna droga do bogactwa? A jakże, ileż razy to widzieliśmy w historii: tam, gdzie bandzior nic nie wskóra pistoletem, wysyła się prawnika? Ale w hrabstwie Osage za sprawą Williama Kinga Hale'a krwawe żniwo zbiorą i kule, i paragrafy.

eprasa.pl 35833ab357

Jednym z instrumentów w bogatym arsenale Hale'a jest niejaki Ernest Burkhart, jego bratanek, czyli Leonardo DiCaprio, tym razem wcielający się w osobnika niebyt lotnego. Czyta z otwartymi ustami, przesuwając palcem po linijkach, kwalifikacje zawodowe – żadne prócz umiejętności strzelania i prowadzenia samochodu. Wrócił niedawno z wielkiej wojny, ale przesłużył ją jako kucharz. Hale zaoferuje mu wszystko to, czego samotny nieudacznik może pragnąć: własne miejsce pod słońcem, pracę, rodzinę, akceptację. Wszystko ma jednak swoją cenę.

Film Martina Scorsese „Czas krwawego księżyca" („Killers of the Flower Moon") inspirowany jest głośnym reportażem wspomnianego Davida Granna, pod tym samym tytułem. Scorsese i Eric Roth (scenarzysta), trzymając się mniej więcej faktów i klimatu książkowego oryginału, poprzesuwali akcenty. Książka Granna była nie tylko opowieścią o zapomnianej zbrodni, lecz także – zgodnie z podtytułem – o narodzinach FBI. Aby nie była to opowieść o grupie białych w garniturach, próbujących rozwikłać zagadkę morderstw w hrabstwie Osage, twórca „Taksówkarza" skoncentrował się na nieszczęsnym Burkharcie i jego relacjach z wujem oraz żoną – Indianką imieniem Mollie, którą fenomenalnie zagrała Lily Gladstone. Zabieg ten sprawił, że „Czas krwawego księżyca" nie stał się kolejną opowieścią o sukcesach Biura, ale wzbudził protesty rdzennych mieszkańców hrabstwa Osage i szerzej – amerykańskiej społeczności indiańskiej. Docenili oni to, że ktoś przypomniał o morderstwach dokonanych na przodkach, ale zarzucili Scorsesemu, że uczłowiecza, usprawiedliwia sprawców. Rzeczywiście można oglądać tę historię jako opowieść o rozterkach moralnych Ernesta Burkharta, ale… prawda jest taka, że także on nie jest postacią, z którą mielibyśmy ochotę szczególnie sympatyzować.

Raj, wąż, kuszenie, grzech – cała ta symbolika jest oczywista w dziele filmowca tak zanurzonego w katolicyzmie jak Scorsese. Ku czemu jednak nas ów moralitet prowadzi? Zatrute jabłko to chciwość, a nawet więcej – chciwość bez granic; chciwość, która okazuje się nienasyceniem. Oto odpowiedź Scorsesego na zawołanie Gordona Gekko z „Wall Street" Olivera Stone'a: „Chciwość jest dobra!". Zajmował się tym problemem także w „Wilku z Wall Street". Do tych dwóch tytułów dodałbym jeszcze jeden film Scorsesego, „Gangi Nowego Jorku", z promującym go hasłem, które było jednocześnie tytułem piosenki U2: „Oto ręce, które zbudowały Amerykę". Z jednej strony była to opowieść wpisująca się w historię emancypacji pogardzanych mniejszości, którymi przecież byli kiedyś w Ameryce Włosi czy Irlandczycy, a drugiej strony Scorsese przypominał, że kto wspina się po drabinie społecznej, ten zostawia krwawe odciski dłoni na szczeblach. Przemoc była drogą awansu dla bohaterów jego gangsterskiej trylogii, bohater „Wściekłego byka" zdobył sławę i pieniądze, bo przemoc stosował i sprzedawał, ale w granicach prawa (jako bokser na ringu). Na pytanie, dlaczego powstrzymał się od moralnej oceny bohaterów „Chłopców z ferajny", wychowany w Little Italy reżyser odpowiadał: „Bo pokazuję ich takimi, jakich ich widziałem, gdy sam miałem osiem lat". A w jego dzielnicy wszyscy marzyli o tym, by być gangsterami. Ocenę brudnej wspólnoty sprawców w „Czasie krwawego księżyca" też zostawia Scorsese widzom. Tym różni się sztuka od propagandy, tym różni się przypowieść od produkcyjniaka na zamówienie.

Gdzie są granice chciwości? Gdzie pragnienie posiadania czegoś swojego – i tęsknota za czymś więcej – zamienia się z naturalnej potrzeby w chorobę, a potem z choroby w zbrodnię? Czy przeklęci jesteśmy w chwili, gdy mówimy „chcę więcej", czy wtedy, gdy zmieniamy to w „mój apetyt nie ma granic"? Wracamy do trwającej w ostatnich dekadach w kinie i polityce dyskusji o tym, co jest przyczyną rozmaitych wynaturzeń współczesnego kapitalizmu – jego zwyrodnienie, porzucenie zdrowych korzeni i przekształcenie w turbokapitalizm? Czy może grzechy kapitalizmu wynikają z samej jego natury?

MÓZG KLUBU ZBRODNI

Jest ciekawych pytań i smutnych obserwacji u Scorsesego więcej. W pewnym momencie odkrywamy, że William King Hale jest postacią przerażającą poprzez swój spokój i upór. To nie jest oszalały ideolog rasizmu, który miota obelgi i pragnie czystek. Mózg klubu zbrodni z hrabstwa Osage ma naturę buchaltera, swoją operację przygotowuje metodycznie, bez emocji, rozstawiając pionki na odpowiednich polach, kreśląc znaczki w odpowiednich rubrykach, perswadując spokojnie przyszłym współsprawcom, że robią tylko rzeczy oczywiste, naturalne i wynikające jedynie z ich własnej, trzeźwej oceny sytuacji. Może tylko z tego powodu współczuć możemy niektórym jego wspólnikom, takim jak Ernest Burkhart. Nie dostrzegli, jak prostacko ich kuszono?

REŻ. MARTIN SCORSESE „CZAS KRWAWEGO KSIĘŻYCA" USA 2023

„Zwykle, gdy sprawcy ludobójstwa uchodzą przed karzącą ręką sprawiedliwości, ostatecznie rozlicza się z nimi historia, ujawniając ich zbrodnie – pisał David Grann w finalnych partiach swego reportażu. – Niestety, wiele zabójstw Osagów tak dobrze zatuszowano, że obecnie nie jest to już możliwe. W większości wypadków rodziny ofiar nigdy nie zaznały spokoju". To nieprawda, że sprawiedliwość przychodzi nieuchronnie, zbyt wiele ofiar w historii zamordowano po dwakroć: raz odbierając im życie, drugi raz – zabijając pamięć. O tym też mówi Scorsese w „Czasie krwawego księżyca".

Dzieje się tak nie tylko dlatego, że sprawcy są tak przemyślni, a zmowa milczenia tak powszechna. Akcja filmu rozgrywa się w latach 20. XX stulecia; era nowoczesności, czyli także mass mediów, zaczyna się rozpędzać, sensacje miesiąca stają się sensacjami tygodnia, dnia, godziny. Coraz to nowe krzywdy i ofiary domagają się uwagi, o dawnych nikt nie chce pamiętać. A wszyscy chcą żyć wygodnie, normalnie, bez wątpliwości. Taką utopię sprzedawał też swoim kamratom William King Hale – wszystko będzie dobrze, trzeba jeszcze tylko zrobić to. I to. I tamto. Prawdziwą i mroczną zagadką ludzkiej duszy jest w tej historii nie to, kto zabił tak wielu Indian z plemienia Osage ani to, jak plan zrodził się w głowie Hale'a, lecz to, dlaczego tak wielu – i tak łatwo – udało mu się do tego planu przekonać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 35833ab357

Raspail i huzarzy

Marek Jurek

Jean Raspail zmarł w roku 2020 i choć daty tej nie mógł przewidzieć, pisząc kluczowe opowiadanie „Huzarów", to szkicował w nim wizję świata po swojej śmierci. Totalną rewolucję (czy jak ją nazwał – „transformację") powodującą zniszczenie (dziś może byśmy powiedzieli – wykancelowanie) naszej kultury

Jean Raspail FOT. SOPHIE BASSOULS/SYGMA/GETTY IMAGES

Książka musi trafić w swój czas, gdy jej przesłanie wyraża uczucia odbiorców. W wypadku Jeana Raspaila tak z pewnością było z „Pierścieniem Rybaka", który – posiłkując się legendą postawiniońskiego papiestwa – znakomicie oddał samotność tych, którzy przeciwstawiają się kryzysowi Kościoła. Znaczenie jego drugiej najważniejszej książki – „Obozu świętych" – było inne. To rzecz z rodzaju tych, dla których uznanie dojrzewa jak wino. Historycznie można ją porównać do słynnej „mowy o rzekach krwi", w której Enoch Powell niezwykle trafnie, w każdym razie w wymiarze statystycznym, przepowiedział rozwój pozaeuropejskiej imigracji w Wielkiej Brytanii. Pół wieku temu wystąpienia Raspaila czy Powella większość traktowała jako przestrogi może oczywiste, ale nierealne, właśnie dlatego, że oczywiste i niewyobrażalne jednocześnie. Każda kolejna dekada coraz bardziej odsłaniała ich realizm.

Nie te powieści były jednak najbardziej reprezentatywne dla samego Raspaila. „Obóz świętych" czy „Pierścień Rybaka" opisywały ginący świat, w którym jest coraz mniej rzeczy wartych obrony i możliwych do obrony. Zostaje jedynie honor. „Nie mogliśmy zdobyć przyszłości, pozostaje nam umrzeć za przeszłość" – jak mówi jeden z Raspailowskich Pikkendorffów. A jeśli umrzeć nie można, to pozostaje duchowa emigracja. Można sobie znaleźć nową ojczyznę, im bardziej fantastyczną, tym bardziej wartą poświęcenia. Jak Królestwo Patagonii, wykwit rojeń czasów Drugiego Cesarstwa, które od Cesarstwa Meksyku różniło się tym, że to drugie okazało się nierealnym projektem, który jednak był przedmiotem realnej polityki. Królestwo Patagonii było czystą fantazją późnego romantyzmu.

EGZYSTENCJALNA ESCHATOLOGIA

Z pewnością więc przyspieszenie historii, które nastąpiło wraz z wojną na Ukrainie, lektury Raspaila nie ułatwia. Realne nieodległe cierpienia nie nastrajają do romantycznej mizantropii. I trudno dywagować o nieodwracalnej klęsce, gdy trzeba myśleć, by wojna w sąsiednim kraju nie przyniosła realnych nieszczęść naszej Ojczyzny. Takie uczucia towarzyszyły mi w czasie czytania „Huzarów", świeżo opublikowanego zbioru Raspailowskich opowiadań. Trudno bowiem nie irytować się historiami kolejnych bohaterów gotowych oddać życie za swoje urojenia, gdy obok są dziesiątki spraw naprawdę godnych zaangażowania.

A jednak „Huzarzy" to książka, która dobrze pozwala zrozumieć powiązanie między romantycznym eskapizmem a głęboko realistycznymi motywami dzieła Raspaila. Kluczowa jest indywidualna eschatologia. Czym bowiem jest nasz los na tej ziemi, jeśli mamy świadomość, że Bóg ją stworzył dobrą, jeśli ją naprawdę kochamy? Ogniwem życia, które „zdaje sobie sprawę, że jest częścią niekończącego się łańcucha. Przed nim znajduje się zawrotna pustka zaludniona niepewnym swego losu tłumem, będąca we władaniu motłochu. Nasze ogniwo jest ostatnim w łańcuchu – o przyszłości nie wie zgoła nic i czuje niepokój, patrząc, jak tworzą się kolejne ogniwa".

Tak, lęk o tych, których kochamy, i o to, co kochamy, to jedne z najbardziej autentycznych form miłości. To właśnie stanowi istotny sens pracy autora „Pierścienia Rybaka" jako kronikarza spraw przegranych. Nie chodzi o delektowanie się klęską, chodzi o to, by wyrazić – ukrywając towarzyszącą temu rozpacz – tragizm katastrofy, szczególnie takiej, której nikt naprawdę nie zapamięta.

eprasa.pl 35833ab357

Apokalipsy

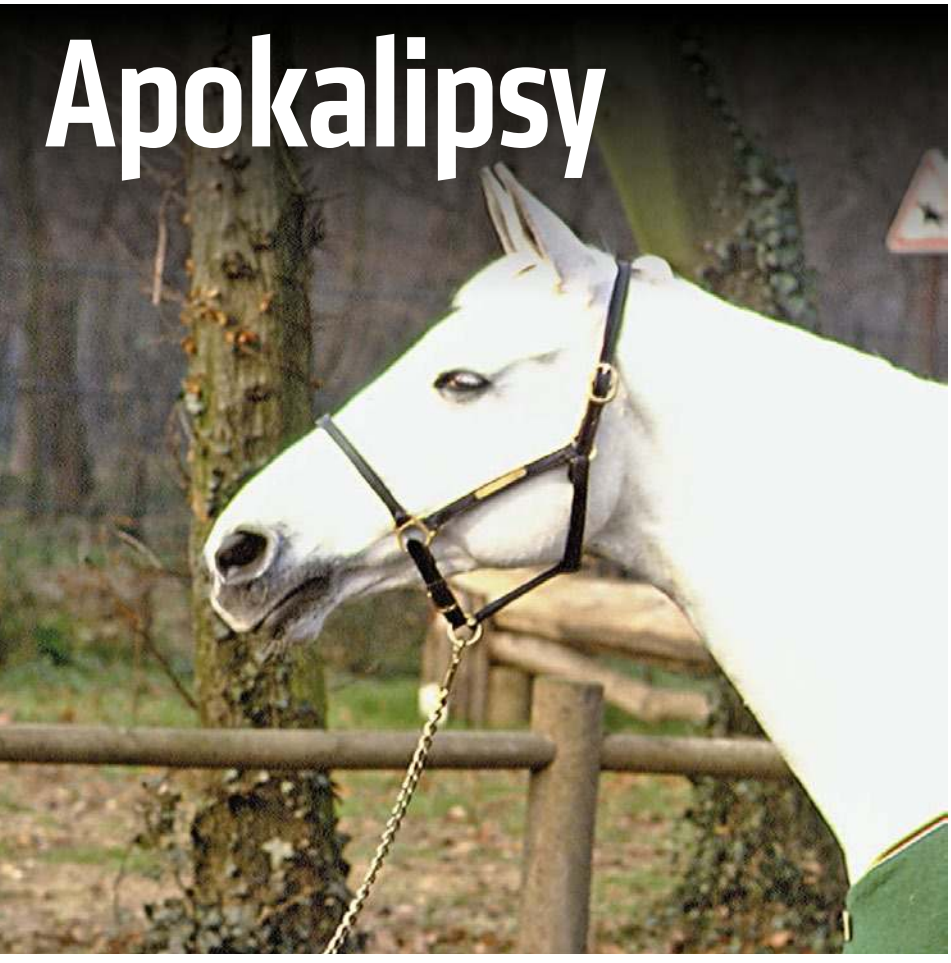

W tym nurcie mieszczą się „Huzarzy z Katlinki", do których nawiązuje tytuł całego zbioru. To opowiadanie bardzo bliskie Mackiewiczowskiej „Kontrze". Opowiada o żołnierzach LVF, Legionu Ochotników Francuskich do Walki z Bolszewizmem, którzy w czasie drugiej wojny światowej walczyli na froncie wschodnim z Armią Czerwoną. Główny bohater, ks. Jérémie Gordes, „nie był", to zastrzeżenie jest istotne, „ofiarą prania mózgu". Był „świadomym ochotnikiem francuskim, pragnącym walczyć z bolszewizmem". Jego zaangażowanie można potępiać, ale było przemyślnym ludzkim aktem, „setki jego francuskich towarzyszy zaś, którzy polegli na szlaku Wielkiej Armii, jemu zawdzięczało fakt, że umarli po chrześcijańsku". Jest jednak nieoczekiwana różnica między „Kontrą" a „Huzarami z Katlinki". Nieoczekiwana, bo realistą w tym zestawieniu okazuje się Raspail. Józef Mackiewicz pozwolił Dymitrowi Kolcowowi przeżyć na uchodźstwie. Ksiądz Gordes z Rosji już nie wrócił, jego pamiętniki to jeszcze jedna rekonstrukcyjna legenda.

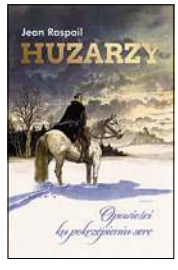

JEAN RASPAIL „HUZARZY. OPOWIEŚCI KU POKRZEPIENIU SERC" DĘBOGÓRA 2021

W OBLICZU KOŃCA

Tej egzystencjalnej eschatologii towarzyszy u Raspaila przemyślany katastrofizm społeczny. Maurras z pewnością potępiłby go, bo nie znosił romantyzmu, widząc w nim zagrażający Francji wykwit mrocznego ducha niemieckich lasów, obcy śródziemnomorskiemu słońcu. Jego polityczną francuską ekspozycję, bonapartyzm, uważał za źródło narodowych nieszczęść. Ale nawet jeśli idąc tym tropem, zarzucilibyśmy autorowi „Huzarów" kapitulację intelektu, zbyt łatwe przyjmowanie postawy straceńczej, musimy uznać racje, dla których rzeczywistość przedstawia w ten sposób.

W kluczowym opowiadaniu „Huzarów" – „Dziwnej wyprawie do afrykańskiej dżungli w roku 2110" – Raspail przywołuje „Wielką Światową Transformację, która miała miejsce w latach 2020–2035", po której „na skutek gigantycznego szoku psychologicznego, o którym nic nam nie wiadomo, wszystkie teksty drukowane oraz zapisy dźwiękowe zostały poddane modyfikacji". Co ciekawe, sam Raspail zmarł właśnie w roku 2020 i choć daty tej nie mógł przewidzieć, to pisząc to opowiadanie, szkicował w nim wizję świata po swojej śmierci. Totalną rewolucję (czy jak ją nazwał „transformację") powodującą zniszczenie (dziś może byśmy powiedzieli – wykancelowanie) naszej kultury. Istotną, choć nie jedyną, w tym rolę przypisywał imigracjonizmowi i imigracji.

W finale „Dziwnej wyprawy" jeden z jej bohaterów tłumaczy czarnemu dygnitarzowi ONZ, w którym nagle przebudził się rasista, że „biali nie są źródłem i motorem naszej światowej cywilizacji, a jedynie inspiratorami, których po prostu wybrał los […], czarni nie są od nikogo gorsi. Na kole fortuny przypadł im tylko gorszy numer. Ot, i wszystko…". Ten ustęp to świetny klucz do zrozumienia „Obozu świętych", począwszy od samego tytułu, którego również biblijne motto nie czyni zrozumialszym. Jak bowiem można nazywać „obozem świętych" Zachód pogrążony w zatruwającej świat dekadencji?

Otóż właśnie Zachód stał się ogniskiem cywilizacji chrześcijańskiej z jej uniwersalizmem i humanizmem. Tak zdecydowała Opatrzność, kierując kroki św. Piotra z Antiochii do Rzymu. Sami z siebie ani Europejczycy nie są lepsi, ani inni nie są gorsi. Różnica zawiera się w tajemnicy wyboru. Jeśli jednak samą jego zasadę, fakt historycznego powołania narodów, społeczności i ludzi potępimy jako „niesprawiedliwość", to nie tylko uwolnimy żywioły nienawiści i zniszczenia, lecz także pogrążymy wszelką, z arbitralnych decyzji „losu" zrodzoną, indywidualność i odrębność. Zachód umiera, a jego upadek nie uczyni świata lepszym. Raspail ostrzega, że nawet pamięć o cywilizacji Zachodu może nie przetrwać. Tu jest rdzeń jego katastrofizmu, w którym jednak mocnym echem stale odbija się wiara de Maistre'a: w samej walce jest nadzieja.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 35833ab357

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Legenda Artura

HBO max

★★★☆☆☆

SEZON 1 „ZIMOWY MONARCHA" („THE WINTER KING")
USA 2023

wyst. Iain De Caestecker, Stuart Campbell, Ellie James

Artur, nieślubny syn króla Uthera Pendragona, powraca z wygnania. Królestwa Brytanii walczą ze sobą, a najsilniejsze z nich – Dumnonia – ustępuje także pod naciskiem inwazji Sasów. Banita Artur, świetny strateg, dzielny szermierz i lider kompanii podobnych mu wojowników, ślubuje chronić małoletniego Mordreda (prawowitego dziedzica tronu), aż ten osiągnie wiek męski. Tymczasem wszelkie omeny wskazują, że ów Mordred pogrąży królestwo we krwi. Z innych wersji tej historii pamiętamy, że będzie także zgubą Artura.

Zostawmy jednak inne wersje, zwłaszcza te naśladujące „Le Morte d'Arthur" sir Thomasa Malory'ego. Bernard Cornwell, autor powieści „Zimowy monarcha" (otwierającej trylogię arturiańską), bawił się swobodnie znanymi motywami, a autorzy serialowej adaptacji czynią to jeszcze swobodniej. Cornwell wybrał historyczny realizm, w sferze domysłów pozostawiając, czy w jego świecie istnieje jakaś magia i co naprawdę widzą druidzi. Serial nie pozostawia wątpliwości, że niektórzy bohaterowie są obdarzeni zdolnościami nadnaturalnymi. Inna sprawa, że częściej ściąga to na ich kłopoty, niż im w czymś pomaga – kto rozmawia z bogami, ten naraża się na to, że go okrutnie okpią.

Bez wątpienia mamy tu dalekie naśladownictwo „Gry o tron" oraz poszukiwanie sukcesu podobnego do tego, który odniosła w ostatnich latach inna seria oparta na prozie Cornwella, czyli „Upadek królestwa". O ile jednak opowieść o rozterkach i czynach Uhtreda z Bebbanburga wciągała natychmiast, o tyle amerykańscy producenci „Zimowego monarchy" nie mogą się zdecydować, czy zapraszają nas na krwawą baśń czy Disneya skrzyżowanego z Coelho. W obsadzie są też błędy, które przeszkadzają w imersji: Merlin jest czarnoskóry, poborca podatków to Hindus itd. Gdzie, jak, jakim cudem w Brytanii V stulecia, nawet tej fantastycznej? A przecież w powieściach Cornwella była postać czarnoskórego wojownika Sagramora, zrodzonego w Numidii, weterana armii rzymskiej. Widać to nie wystarczało szermierzom różnorodności za wszelką cenę. Zamiast kibicować bohaterom, częściej unosimy brwi, mrucząc: „A cóż to?", i nawet całkiem niezła robota aktorska (Eddie Marsan jako Uther, Iain De Caestecker jako Artur, Ellie James w roli Nimue) nie wystarcza, byśmy czuli się przekonani. ©℗

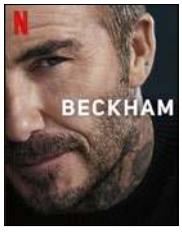

NOWE SERIALE: „BECKHAM"

Czteroodcinkowa seria dokumentalna o karierze Davida Beckhama i jego małżeństwie z Victorią Adams „Posh Spice". Brzmi jak zapowiedź dodatku do brukowca, lecz w istocie opowieść jest fascynująca. Mrowie gwiazd piłki i trenerki wypowiada się przed kamerą, wzruszają opowieści rodziców Davida, imponuje świetny montaż piłkarskich archiwaliów. „Beckham" jest dla fana futbolu tym wszystkim, czym nie potrafił być nudny „Lewandowski nieznany". Ale bądźmy też szczerzy: Beckham jest tylko jeden. ©℗

Piotr Gociek

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *reż. Errol Morris* ***„Tunel z gołębiami:" („The Pigeon Tunnel"),*** *USA 2023* tv
- *sezon 1* ***„Ciała" („Bodies"),*** *Wielka Brytania 2023*
- *sezon 2* ***„Niezwyciężony",*** *USA 2023* prime video

eprasa.pl 35833ab357

Pierwsza miłość

KINO

Familia z Paryża spędza wakacje u przyjaciół w Quebecu, nad jeziorem otoczonym pradawną knieją. Dorośli oczekują od dzieciaków, że nie będą im się plątać pod nogami. W rezultacie puszczonego samopas pierworodnego zbałamuci trochę od niego starsza Chloé. Dziewczyna, obdarzona bujną, makabryczną wyobraźnią, emablowana przez miejscowych młodzieńców, wybierze na powiernika „prawie 14-latka", gdyż jest on mniej od nich natarczywy i egoistyczny. Bastien, typ introwertyka i obserwatora, będzie miał okazję się socjalizować, poznać blaski i cienie funkcjonowania w grupie. Po raz pierwszy w życiu napije się wina, zapali skręta oraz ujrzy nagi damski biust. Erotyczne aspekty nie zdominują jednak tego związku. Równie ważne są wspólne rytuały, takie jak wylegiwanie się w trawie, połączone z oglądaniem obłoków.

Reżyserski debiut Charlotte Le Bon, aktorki zbyt ładnej, by mieć szansę na ciekawą rolę, przynależy do gatunku ochrzczonego przez amerykańską (a więc nieomylną) krytykę mianem art house'u. Nakręcony na taśmie 16 mm odznacza się leniwym tempem i wystudiowanym rozchełstaniem. Miał premierę w Cannes i pisany jest mu raczej festiwalowy żywot. W smaku słodko-gorzki, z wyraźnie wyczuwalną nutą melancholii. Kto zapomniał, jak bolesne bywa czasem życie nastolatka, niech pierwszy rzuci kamieniem. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. CHARLOTTE LE BON
„FALCON LAKE"
FRANCJA/ KANADA 2022

wyst. Joseph Engel, Sara Montpetit, Monia Chokri

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

LUDZIE FELLINIEGO

TVP VOD

Mija 30 lat od śmierci człowieka, którego nazwisko stało się symbolem kina aspirującego do miana sztuki. Umierał rozgoryczony, bo światowa widownia wybrała rozrywkę. Filmy, które kręcił pod koniec życia, dziś określane mianem „poszukujących", wówczas uznano za chybione. „Fellinopolis", zbiór wspomnień byłych współpracowników, nie zaskakuje. O tym, że maestro kochał improwizować, wchodząc na plan, dysponował zaledwie zarysem scenariusza, miał słabość do nader wyrazistych twarzy tudzież pań hojnie obdarzonych przez naturę, wiemy od dawna. Ówczesna technologia nie nadążała za jego wyobraźnią. Od operatora kamery do statystów wszyscy są zauroczeni osobowością Felliniego, który dbał o dobrą atmosferę i pozwalał mówić do siebie po imieniu, choć miał też paskudny zwyczaj telefonować o poranku. Studio nr 5 w Cinecitta było drugim domem Federica, więc w 1993 r. wystawiono tam jego trumnę. ©℗

★★★☆☆☆

REŻ. SILVIA GIULIETTI
„FELLINOPOLIS"
WŁOCHY 2021

WEEKEND BEZ TELEFONU

KINO

O tarapatach wynikłych z korzystania z randkowych aplikacji tudzież źle pojętej miłości do udomowionych czworonogów. W konwencji bliższej czarnej komedii niż dreszczowca. Sigrid (nie da się ukryć, że blondynka) pracuje na kasie, bo nauka ją męczy i nudzi. Los się jednak do niej uśmiecha: poznaje czarującego przystojniaka, który jeździ audi oraz śpi na milionach. Ma tylko jedną wadę: mieszka z kolesiem przebranym za psa. Christian naprawdę dba o Franka. Gotuje mu obiady, myje zęby, a czasem nawet pozwala wziąć kąpiel w wannie. Dziewczyna przechodzi nad tym dziwactwem do porządku dziennego. Bo kto w końcu dał nam prawo, by oceniać bliźniego? Absztyfikant proponuje romantyczny weekend na odludziu, we trójkę. Angielska wersja tytułu („Good Boy") wydaje się bardziej trafiona, lecz za wymyślenie bohaterki, labilnej bardziej niż Izabela Łęcka, Norwegowi należy się nagana z wpisaniem do akt. ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

REŻ. VILJAR BØE
„DOBRY PIESEK!" („MEG, DEG & FRANK")
NORWEGIA 2022

wyst. Gard Løkke, Katrine Lovise Øpstad Fredriksen, Amalie Willoch Njaastad

GRA TYGODNIA: „ASSASSIN'S CREED MIRAGE"

★★★★☆☆

Opisywany jako powrót do korzeni i hołd dla pierwszych Assassinów „Mirage" został dość chłodno przyjęty przez recenzentów. Moim zdaniem niezasłużenie. Mógłbym się zgodzić z tym, że gra jest stosunkowo krótka (dla mnie to akurat zaleta), mógłbym się przyczepić do dość prostej fabuły, ale powrót do esencji serii, do pozostawania w cieniu, skradania się, zabójstw z ukrycia przyniósł mi wiele frajdy. Fantastyczne oddanie klimatu Bagdadu sprawia, że chce się zajrzeć w każdą uliczkę i na każdy dach. Warto dać grze szansę. ©℗ ***Radosław Wojtas***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *akcji, skradanka*
- ***Platforma:*** *XSX, XONE, PS5, PS4, NS, PC*
- ***Producent, wydawca PL:*** *Ubisoft, Cenega S.A.*

eprasa.pl 35833ab357

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Zbrodnie maoizmu

Hitleryzmu i stalinizmu zaznaliśmy w Polsce ponad miarę, szczęśliwie za to ominęła nas inna jeszcze zbrodnicza XX-wieczna ideologia, a mianowicie maoizm. Nie tylko ze względu na jego egzotykę. Na początku lat 60. Związek Sowiecki, którego PRL była satelitą, skłócił się z komunistycznymi Chinami, później – w 1969 r. – doszło nawet nad rzeką Ussuri do zbrojnego konfliktu między niedawnymi sojusznikami, nic też dziwnego, że o Chińskiej Republice Ludowej i przewodniczącym Mao Zedongu mówiono i pisano w Polsce źle, a najczęściej w ogóle. Zupełnie odwrotnie niż w Europie Zachodniej, która wpadła w prochiński amok, a już w trakcie zadekretowanej przez Mao w 1966 r. rewolucji kulturalnej przeżywała orgazm za orgazmem.

Imię chińskiego przywódcy światowe lewactwo umieściło na sztandarach obok Karola Marksa i szczęśliwie zapomnianego filozofa Herberta Marcuse'a. Hasło 3 x Ma (Marks-Mao-Marcuse) usiłowano nawet spopularyzować nad Wisłą, w marcu 1968 r. okazało się jednak, że mamy w Warszawie zupełnie inny klimat niż w Paryżu, a w konfrontacji ze zbrojnym ramieniem PZPR, czyli Golędzinowem, żadna ideologia, a już chińska zwłaszcza, niewiele może wskórać. Jedyny zaś znany polityk uważający się za maoistę, Kazimierz Mijal, od 1966 r. przebywał na emigracji w Albanii, skąd za pośrednictwem Radia Tirana nadawał do kraju śmiertelnie nudne pogadanki o idyllicznym życiu w komunistycznych Chinach i wielkości myśli Mao nazywanego prześlicznie a to Wielkim Przewodnikiem, a to znów Wielkim Wychowawcą. Ambasada Chin w Warszawie rozdawała „czerwone książeczki" z wiekopomnymi myślami swego Sternika, mało kto jednak po nie chodził, obawiając się stojących przed budynkiem strażników socjalistycznego ładu i porządku. Intelektualiści rodzimego chowu też nie zdążyli zapaść na maoistowską chorobę, bo albo nie pozwalała im na to partia, której wiernie służyli, albo szukali dla siebie miejsca na Zachodzie, gdzie właśnie znaleźli się bez prawa powrotu i zupełnie co innego mieli na głowie.

Za to nad Sekwaną i nad innymi zachodnioeropejskimi rzekami zachwyt nad Mao Zedongiem i jego „reformami" (w sumie kosztowały one życie kilkudziesięciu milionów ludzi) osiągał swoje apogeum. W wydanej w 1973 r. pod kierunkiem François Châteleta „Historii filozofii" Mao sąsiaduje z Bergsonem, Heideggerem i, jakże by inaczej, Sartre'em. Ten ostatni po swojej podróży do Chin, jeszcze w latach 50., o rewolucji kulturalnej wyrażał się z najdalej idącą życzliwością, a w rozmowie z Michel-Antoine'em Burnierem ofiary maoistowskich eksperymentów społecznych usprawiedliwiał, stwierdzając stanowczo: „Rewolucyjna władza musi pozbyć się pewnej liczby jednostek, które jej zagrażają, i nie widzę innego sposobu niż śmierć. Z więzienia zawsze można wyjść. Rewolucjoniści z 1793 roku niewątpliwie nie dość zabijali".

W sytuacji, gdy takie autorytety jak Roland Barthes dochodziły do wniosku, że „w nowych Chinach to sam lud jest na swój sposób w każdej chwili własnym teoretykiem", gdy André Malraux nazywał Mao „cesarzem z brązu", a Michel Foucault serio zastanawiał się, czy aby „maoizm nie stawia pytań o znacznej doniosłości historycznej", wydane w 1971 r. „Nowe szaty przewodniczącego Mao" autorstwa Simona Leysa były kamieniem obrazy dla całej „postępowej" inteligencji zgodnie z modą noszącej kołnierzyki à la Mao i wzorowane na chińskich garniturki.

Simon Leys (pseudonim żyjącego i wykładającego w Sydney belgijskiego sinologa Pierre'a Ryckmansa) nie tylko nie odwołał swoich słów zawartych w obrazoburczej książce, lecz także w kolejnych pracach przedstawiał fakty ukazujące bezmiar zbrodni dokonanych w komunistycznych Chinach w imię obłędnej i prostackiej ideologii zafundowanej wielkiemu społeczeństwu o wspaniałej historii i kulturze. Leys pochylał się nad niewinnymi ofiarami maoizmu, a także obawiał się dalekosiężnych skutków rewolucji kulturalnej. Pisał m.in.: „Spowszedniałe plądrowanie, szykany, zemsty, poniżenia, okrucieństwa i bezkarne znęcanie się dzieci nad dorosłymi pod pretekstem »walki klas«, konieczność biernego i obojętnego albo nawet aktywnego uczestnictwa w publicznym donosicielstwie i stawianiu pod pręgierzem sąsiadów, kolegów, przyjaciół, krewnych – wszystkie te doświadczenia musiały odcisnąć piętno na całym społeczeństwie".

W Polsce ukazały się w minionych latach, w przekładach Wiktora Dłuskiego, eseje zmarłego w 2014 r., Simona Leysa: „Szczęście małych rybek" i „Studio nieużyteczności". Niedawno PIW wydał jego szkic o autorze „Roku 1984" („Orwell czyli wstręt do polityki"), a obecnie napisaną przez Pierre'a Boncenne'a intelektualną biografię tego świetnego intelektualisty, znakomitego pisarza, wreszcie – co najważniejsze – odważnego człowieka, nazywającego rzeczy tak, jak na to zasługują. Po imieniu. ©℗

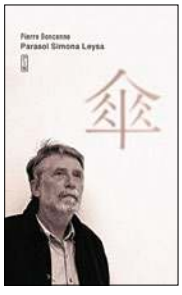

★★★★★

PIERRE BONCENNE „PARASOL SIMONA LEYSA" PIW, WARSZAWA 2023

eprasa.pl 35833ab357

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Koniec świata

Poinformowany w Tokio, że zostanie przyjęty przez cesarza Japonii, Werner Herzog odmówił (cóż za afront!). A o czymże miałbym z cesarzem rozmawiać? Zapytany, z kim w takim razie chciałby się spotkać, odparł bez namysłu: „Z Onodą". Historia tego żołnierza była swego czasu światową sensacją. Hiroo Onoda dostał od swoich dowódców pod koniec wojny rozkaz, by bronił przed Amerykanami wyspy Lubang na Filipinach. Czynił to przez kolejne 30 lat, do roku 1974. Ukryty w dżungli dokonywał aktów sabotażu i symbolicznych ataków, ale przede wszystkim wymykał się tropicielom. I budował w swojej głowie alternatywną rzeczywistość, przekonany, że Japonia wciąż wojuje z Ameryką i tę wojnę wygrywa.

„Zmierzchanie świata" to powieść niemieckiego reżysera, która jest próbą uchwycenia nie tyle losu Onody, ile stanu jego umysłu. Jest rozważaniem na temat prawdy i nieprawdy oraz tego, co z nimi robimy w naszych głowach. Jest literackim odpowiednikiem filmowego snu, w którym nic nie jest pewne. Z epilogu dowiadujemy się, że u kresu życia Onoda wciąż nie był pewien, co w jego życiu było prawdą, a co zmyśleniem. Przynajmniej tak to interpretuje Herzog, który przestrzega na początku opowieści: „Wiele szczegółów się zgadza, wiele nie. Autorowi chodziło o coś innego".

O co? Mieszkańcy krajów podbitych niegdyś przez komunizm rozpoznają bezbłędnie chorobę Onody, który im więcej dowodów widział na przegraną wojnę, tym bardziej był przekonany, że to wszystko kłamstwa. Czyż nie taki był jeden z mechanizmów czerwonego samozniewolenia (brunatnego zresztą też)? Choroba do dziś zbiera żniwo; zastanówmy się nad tymi wszystkimi, którzy zamykając oczy na rzeczywistość, postrzegają ją poprzez produkowane przez media filtry.

Ale jest „Zmierzchanie świata" także sugestywną powieścią o rozpadzie, o końcu rzeczy. Świat Onody rozsypuje się powoli, ubywa towarzyszy broni, pleśń pożera ubrania, rozpadają się buty, znikają wykarczowane kawałki dżungli. W zmaganiu między chaosem a porządkiem zwycięża entropia, Onoda staje się postacią jednocześnie heroiczną, zbrodniczą (iluż ubił Filipińczyków w czasie pokoju – i nigdy za to nie odpowiedział), tragiczną i zagubioną. Symbolem ludzkiego losu po prostu. ©℗

★★★★★☆
WERNER HERZOG „ZMIERZCHANIE ŚWIATA"
PIW 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Codzienność zła w Chinach oczami świadka i reportera. Długa lista zbrodni, niszczenia wolności politycznych i religijnych, szokujących praktyk, o których Zachód zapomina. Rogers – przypomina.

BENEDICT ROGERS „CHIŃSKA SIEĆ ZŁA" ZONA ZERO

Od Dantego do Galileusza. A kto między nimi? Leonardo da Vinci, Michał Anioł, Machiavelli, wpływowy ród Medyceuszy. Lekko napisana opowieść o złotym wieku jednego z najpiękniejszych włoskich miast.

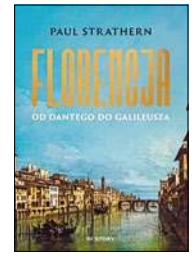

PAUL STRATHERN „FLORENCJA" HISTORY

Pierwszy tom (choć napisany jako trzeci) opus magnum McMurtry'ego, czyli jego tetralogii o Dzikim Zachodzie. Początek przyjaźni, którą znamy z „Na południe od Brazos", najgłośniejszego tomu serii.

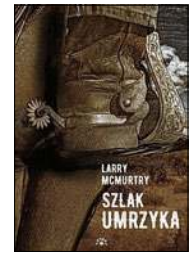

LARRY MCMURTRY „SZLAK UMRZYKA" VESPER

Pierwsza powieść, której akcja osadzona jest w uniwersum gry „Cyberpunk 2077" (były już serial i komiksy). Premiera odbyła się w Polsce, USA i Wielkiej Brytanii, w kolejce stoją wydawcy z kolejnych krajów. ©℗ ***recenzuje Piotr Gociek***

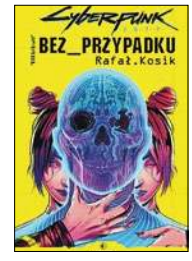

RAFAŁ KOSIK „BEZ PRZYPADKU" POWERGRAPH

KOMIKS TYGODNIA: „SKĄD SIĘ BIERZE WODA SODOWA"

Brakujące ogniwo – dzięki licznym wznowieniom pamiętamy o „Kajku i Kokoszu" Christy, o „Tytusie" Papcia Chmiela, tymczasem surrealistyczne poczucie humoru paru pokoleń Polaków formował też trzeci mistrz: Tadeusz Baranowski. Jego albumy się nie zestarzały, a w tym wydaniu otrzymujemy zestaw trzech. Edycja zbiorcza zawiera też albumy „W pustyni i w paszczy" i „Przepraszamy, remanent". ***Piotr Gociek***

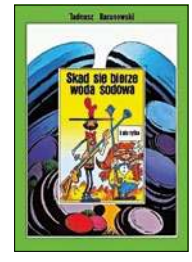

TADEUSZ BARANOWSKI „SKĄD SIĘ BIERZE WODA SODOWA" ONGRYS 2023

eprasa.pl 35833ab357

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Świątynia komiksu i gier

Choć wciąż nie brakuje osób, które z niesłusznym poczuciem wyższości spoglądać będą na komiks i gry wideo, to te dziedziny sztuki osiągnęły lub za chwilę osiągną należny im status w kulturze popularnej, wcale nie niższy od, chociażby, filmu. Otwarte niedawno łódzkie Centrum Komiksu i Narracji Interaktywnej EC1 jest miejscem, które komiks i gry wideo traktuje bardzo serio i które odwiedzić winni także nieprzekonani.

Obok ekspozycji stałych poświęconych komiksowi osobno i grom osobno centrum przedstawiło się nam również wystawą czasową poświęconą Grzegorzowi Rosińskiemu. Dużo prac mniejszych i większych formatów, tych wczesnych i tych późniejszych, a w nie wpleciona opowieść o ich twórcy. Od pierwszych kroków i tworzenia w szafie najbardziej dziś znanego w świecie polskiego rysownika komiksów, poprzez inspiracje westernowe, aż do supergwiazd krajowych (Kapitan Żbik) i międzynarodowych (Thorgal) oraz dzisiejszych aktywności Rosińskiego. ©℗

GDZIE? ***Łódź, Centrum Komiksu i Narracji Interaktywnej EC1***
KIEDY? ***do 31 marca 2024 r.***

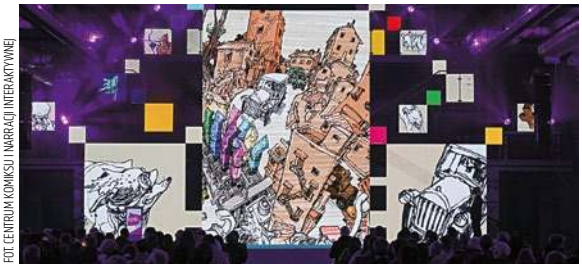

FOT. CENTRUM KOMIKSU I NARRACJI INTERAKTYWNEJ

FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE

GENIUSZ LWOWA

„Zapraszamy w fascynującą podróż przez świat artystycznych skarbów stolicy Galicji, obejmujących malarstwo i rzeźbę od XVII wieku po wiek XX, wśród nich dzieła mistrzów tej miary co Grottger, Malczewski, Matejko czy Siemiradzki, a także mniej znane perły sztuki zachodnioeuropejskiej" – zachęca Zamek Królewski w Warszawie, zapraszając na wystawę „Geniusz Lwowa". Znalazły się na niej eksponaty z kolekcji dwóch najważniejszych muzeów stolicy Litwy – Lwowskiej Narodowej Galerii Sztuki im. Borysa Woźnickiego i Lwowskiego Muzeum Historycznego. ©℗

GDZIE? ***Zamek Królewski w Warszawie***
KIEDY? ***do 14 stycznia 2024 r.***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Niemieckie archiwa

Polscy wydawcy w poszukiwaniu zagubionych skarbów muzycznych coraz śmielej penetrują archiwa zagranicznych stacji radiowych. Wytwórnia GAD Records wyszukała w zachodnioniemieckim oddziale Radia NDR nagrania jednej z najpopularniejszych i najważniejszych grup jazzowych lat 70.

Jazzowe workshopy Radia NDR odbywały się od 1958 r. Zapraszani przez stację muzycy grali, po tygodniu prób, koncert transmitowany na antenie NDR. 3 września 1971 r. wystąpił amerykański Weather Report. Debiutancki album supergrupy, której jądro tworzyli Austriak Joe Zavinul, Amerykanin Wayne Shorter i Czech Miroslava Vitouš, ukazał się zaledwie cztery miesiące wcześniej. W Berlinie skład uzupełniali perkusiści: Amerykanin Alphonse Mouzon i Brazylijczyk Dom Um Romão. Zespół wówczas podążał drogą wytyczoną przez epokowy album „Bitches Brew" Milesa Davisa. W trzech utworach do zespołu dołączyli Anglicy, Alan Skidmore i John Surman, oraz Szwed Rje Thelin. Na repertuar dwugodzinnego koncertu złożyły się kompozycje z pierwszej płyty oraz solowych projektów trzech liderów.

Cztery miesiące później zostanie zarejestrowany album „Live in Tokyo", który przez długi czas będzie dostępny tylko w Japonii. „Live in Berlin" nie tylko nie ustępuje temu wydawnictwu, lecz także jest dłuższy o pół godziny. ©℗

★★★★★☆
WEATHER REPORT
„LIVE IN BERLIN 1971"
GAD

★★★★★☆
TOMASZ STAŃKO QUINTET
„WOODEN MUSIC II"
ASTIGMATIC

Też z archiwum NDR pochodzi hamburski koncert kwintetu Stańki z listopada 1972 r. Druga odsłona „Drewnianej muzyki" jest bardziej „stonowana" od szalonej, free-jazzowej części pierwszej zarejestrowanej cztery miesiące wcześniej. ©℗

★★★★☆☆
JOSHUA REDMAN
„WHERE ARE WE"
BLUE NOTE

Powrót wielkiej damy Redman debiutuje w słynnej wytwórni, i to z pierwszą płytą, na której dominują piosenki. Ciepły głos Gabrielle Cavassa doskonale komponuje się z relaksacyjnym saksofonem lidera. Album jest zapisem muzycznej podróży z rodzinnego Chicago Joshuy dookoła Ameryki. ©℗

eprasa.pl 35833ab357

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

Z PIEKŁA NA WOLNOŚĆ

Polskie ucieczki z niemieckich obozów

Ośmieszone SS – Jak czterech polskich więźniów uciekło z Auschwitz autem komendanta obozu

Upadek palatyna – Sieciech dążył do obalenia rodu Piastów i stworzenia własnej dynastii

Czarna godzina Habsburgów – Bez wojny z 1866 r. nie doszłoby do zjednoczenia Niemiec

Pionierka seksrewolucji – Zazdrość i wierność były, według Aleksandry Kołłontaj, przeżytkami kapitalizmu

Śmierć od tysiąca cięć – Chińska kara lingchi mroziła Europejczykom krew w żyłach

Skąd się wzięła Moskwa – Jak niewielkie księstewko wyzwoliło od Tatarów, a następnie zniewoliło większość ziem ruskich?

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 35833ab357

Krystian Kratiuk

Blask listopadowych ciemności

Pierwsze dni listopada jak w soczewce obrazują różnice kulturowe między Polakami a innymi narodami

Błędny wzrok starszej kobiety wędruje od okna do drzwi szpitalnej sali. Nigdy nie czuła takiego bólu jak dziś, mimo że nowotwór zżerał ją od dłuższego czasu. Teraz jednak trapi ją ból różniący się od dotychczasowego, gdyż kobieta wie, że umrze tej nocy. Takie rzeczy w takim stanie podobno się wie. Czy wie też, że pod drzwiami szpitala stoi trzech jej synów, którym nie pozwolono wejść do środka? Jeden z nich płacze. Drugi się modli. Trzeci krzyczy, bijąc pięścią w drzwi.

Matka umiera w samotności. Urodziła siedmioro dzieci, ale żadne nie trzymało jej wtedy za rękę, żadne nie podtrzymywało na duchu, żadne nie ocierało potu z czoła, nie okazywało tak potrzebnej w tej chwili czułości. Wychowała trzech kapłanów, ale uroniła ostatnią łzę, nie przyjąwszy sakramentu ostatniego namaszczenia. Nie mogła wyspowiadać się, choć bardzo tego potrzebowała. Nie przyjęła Komunii Świętej od miesiąca, mimo że przez całe życie robiła to minimum dwa razy w tygodniu.

To autentyczna historia z roku 2020 z jednego z tych miast w Polsce, w których szpitale zakazały wstępu na oddziały komukolwiek, kto nie stanowi części „niezbędnego personelu medycznego". Rodzina tej kobiety i tak miała szczęście, że ich matka zmarła na raka, a nie na COVID – wtedy bowiem nie mogliby jej zobaczyć nawet po śmierci. Nie mogliby ucałować umęczonych dłoni, wyszeptać pożegnania. Ba, przez pierwsze pandemiczne tygodnie polskie władze śmiały nawet zakazać… udziału w pogrzebach więcej niż pięciu osobom!

Setki tysięcy polskich rodzin zetknęły się z takim nietypowym umieraniem najbliższych w dobie pandemii. Pandemii, która mogła całkowicie przemienić polskie zwyczaje związane zarówno z samą śmiercią, jak i ze stosunkiem do ciał zmarłych. Ale nie zmieniła – zakazała tych zwyczajów na chwilę, były jednak zbyt silne, byśmy mogli je porzucić. Pierwsze dni listopada bieżącego roku znów dają nam refleksję do zastanowienia się, dlaczego tak jest. Co jest wyjątkowego w polskim umieraniu i pamiętaniu o zmarłych?

I dlaczego tak mocno, bardziej niż zamknięcie parków, lasów, restauracji, a nawet kościołów, wstrząsnęło nami covidowe szaleństwo władzy zamykającej cmentarze na pierwsze dni listopada?

PŁOMIENIE POLSKIEGO LISTOPADA

Nie istnieje Polak, który nie potrafiłby sobie przypomnieć pierwszego dnia listopada w swojej ojczyźnie. Oto przed oczyma każdego z nas ukazują się obrazy, które zachwycają, intrygują, przerażają i napełniają nadzieją jednocześnie. Kiedy wstrzymuje się pęd codzienności. Płomienie polskiego listopada ogrzewają dłonie i twarze zarówno dzieci, jak i starców, wzbudzając tęsknotę, wydobywając łzy, a także przywołując uśmiech, a nawet łagodząc ból.

W Krakowie, w którym mieszkam od studiów, moją uwagę jako młodego chłopaka zwróciła scena, która do dziś powtarza się 1 listopada. Pod tutejsze cmentarze oprócz samochodów krakowian i mieszkańców okolic przybywają także meleksy wypełnione zagranicznymi turystami. Nie opuszczają oni wtedy pojazdu, tylko – z nierzadko wręcz rozdziawionymi ustami – obserwują zjawisko opisywane im w tym samym czasie przez przewodnika. Tak, te tłumy naprawdę przychodzą tu wspomnieć zmarłych, naprawdę przychodzą tu modlić się za ich dusze!

Raz w życiu miałem okazję lecieć nad Polską 1 listopada. Pasażerowie z innych krajów z niedowierzaniem śledzili łuny unoszące się nad cmentarzami niczym rozrzucone w ciemności osady ludzkie, do których procesyjnie podążają – sztucznie już rozświetlonymi maszynami – ci, którzy w tych dniach przybywają jedynie na chwilę. Pamiętając jednak, że przyjdzie czas, iż będą musieli zostać na dłużej.

Te łuny unoszą się nad krajem tak często przecież pogrążonym w rozpaczy i beznadziei, w którym w dodatku ten akurat okres roku należy do najbrzydszych i najmniej przyjemnych – i to

eprasa.pl 35833ab357

FOT. ADOBE STOCK

właśnie wtedy rozbłyska tu światło wiary i nadziei. Wiary, że nie wszystek umarli. Nadziei, że ich jeszcze spotkamy. Że dobry Bóg dostrzegł piękno nawet w duszach tych, o których my dobrze wiemy, że zabłądzili nie raz i nie dwa.

Przez ostatnie dziesięciolecia przyzwyczailiśmy się do porzucania własnych tradycji, szczególnie tych opartych na wierze. W pędzie za nowoczesnością rozbrajaliśmy też własną religię, częściowo okrawając ją z sacrum. Ale w kwestii umierania i pamiętania o zmarłych taka rewolucja wciąż nie jest nad Wisłą możliwa. Moment przejścia między życiem a śmiercią nadal stanowi dla nas tajemnicę i świętość. I dlatego wciąż modlimy się za zmarłych, w swej masie robimy to przecież wszyscy, odwiedzając ich groby – bez względu na to, jak często modlimy się w inne dni i jak często, albo czy w ogóle, chodzimy do kościoła.

ŻYWOT WIECZNY

Z religijnego punktu widzenia listopadowe tłumy na polskich cmentarzach stanowią prawdziwe świętych obcowanie. Dobry Ojciec raczył zachować katolicki naród na uboczu zniszczonego, wypranego z wiary świata zachodniego być może właśnie w tym celu – abyśmy dawali świadectwo wiary w świętych obcowanie, grzechów odpuszczenie, ciała zmartwychwstanie i żywot wieczny.

A patrząc na to zjawisko od strony socjologiczno-kulturowej, której rzecz jasna od religii nie da się oddzielić? Według badań World Values Survey w Europie wyłącznie mieszkańcy Bośni i Hercegowiny wierzą w życie po śmierci tak licznie jak Polacy (w Bośni 65,9 proc., w Polsce 64,2 proc. według deklaracji). Wyniki badań w innych krajach Europy są nieporównywalne – w życie pozagrobowe wierzy 58 proc. Irlandczyków, 55 proc. Rumunów, 49 proc. Włochów, 41 proc. Francuzów, 40 proc. Ukraińców, 39 proc. Niemców, Hiszpanów, Portugalczyków czy mieszkańców Skandynawii, 30 proc. Czechów, 25 proc. Bułgarów.

Zapewne również dlatego w Polsce nie wprowadzono jeszcze przepisów legalizujących zabójstwo w formie eutanazji. Badanie przeprowadzone przez szwajcarską Isopublic wskazuje, że wspomagane samobójstwo popierało 60–87 proc. badanych z krajów zachodniej Europy. Liderami byli Niemcy, outsiderami Grecy. Średnia dla tych krajów to ok. 70 proc. poparcia dla eutanazji. W Polsce w tym samym czasie debatę o eutanazji akceptowało zaledwie ok. 50 proc. badanych. Ta statystyka także w pewien sposób obrazuje różnicę między Polakami a innymi narodami w podejściu do śmierci.

KAMIENIE WOŁAĆ BĘDĄ

Jednak i w podejściu do grzebania ciał wciąż pozostajemy przy swojej tradycji. Co prawda, rośnie – do tego rzeczywiście niewątpliwie przyczyniła się pandemia – liczba kremacji, która według danych Instytutu Branży Pogrzebowej i Cmentarnej stanowi dziś nawet ok. 40 proc. pochówków (w Niemczech czy w Wielkiej Brytanii np. jest to niemal 75 proc.), ale jednak prochy tych zmarłych w Polsce wciąż z szacunkiem odprowadzane są na cmentarze. Nie są rozsypywane po górach czy lasach. Nie są też zamieniane w… kamienie. Tak, tak, w wielu krajach na Zachodzie, szczególnie w USA, coraz bardziej modne staje się zmienianie prochów umarłych w pierścionki lub w zwykłe kamienie ogrodowe. To szczególnie wstrząsająca wizja dla właścicieli psów, które takimi kamieniami lubią się przecież w najróżniejszy sposób zainteresować.

Popularność w Stanach Zjednoczonych zdobywa też… kompostowanie zwłok, legalne już w kilku stanach. „Rekompozycja, bo tak oficjalnie nazywa się owa metoda, zakłada rozkład ciała w glebie używanej następnie jako kompost. To rzecz jasna stanowi już swoisty akt ekoreligijny – jego zwolennicy otwarcie promują go jako wyraz „sprawiedliwości społecznej" i właśnie ekologicznego zapału. Mniej dramatyczną, a także idącą z duchem czasu modą jest proponowana przez niektóre amerykańskie cmentarze i miejsca pochówku „przyjazna dla środowiska" opcja „naturalnego cmentarza", gdzie ciała są grzebane bez użycia trumien, umożliwiając po prostu szybszy rozkład i rekultywację obszaru.

A skoro już mowa o zwyczajach rodzących się w Stanach Zjednoczonych, to nie sposób nie zauważyć, że chociaż w Polsce mamy własne tradycje traktowania ciał i dusz zmarłych oraz pamięci o nich, to również te zwyczaje – mimo iż wywołują podziw u innych narodów – próbuje się nam na siłę zamerykanizować. Oto bowiem wielkie media oraz wielkie koncerny handlowe w dniach poprzedzających uroczystości Wszystkich Świętych i Wszystkich Wiernych Zmarłych promują zupełnie nam obce kulturowo, choć w najmłodszych pokoleniach z roku na rok bardziej entuzjastycznie przyjmowane, zabawy typu Halloween. Obrzydliwe truposze pojawiają się tam, gdzie pojawiały się do tej pory informacje o promocyjnej cenie zniczy (które swoją drogą polskim ekologistom także przeszkadzają, gdyż 1 listopada produkują za dużo dwutlenku węgla).

To swoją drogą dość jaskrawy symbol różnicy w traktowaniu ciała ludzkiego po śmierci w polskiej tradycji katolickiej i w zlaicyzowanej nowej, świeckiej tradycji Zachodu. Według nas ciało ludzkie wciąż zasługuje na szacunek, gdyż stanowiło świątynię Ducha Świętego, która niegdyś zmartwychwstanie do życia wiecznego. A według nich ciało nie pozostaje już niczym ponad kompost, a w najlepszym wypadku materiał na zombi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 35833ab357

Pycha, zaślepienie i

Jan Fiedorczuk

Problemy w PiS narastały przez lata, a nieudolna kampania to jedynie zwieńczenie długiego procesu odwracania się od własnych wyborców. Głosów ostrzegawczych formacja Kaczyńskiego jednak nigdy nie chciała słuchać

Po dwóch kadencjach u władzy PiS zaczyna przypominać schyłkową PO z czasów Ewy Kopacz i Bronisława Komorowskiego" – pisałem ponad rok temu w „Do Rzeczy" (nr 33/2022), dodając, że obóz władzy ma ostatnią szansę, aby zmienić swoją strategię, jeżeli liczy na zwycięstwo. Po prawej stronie od dawna padały głosy ostrzegające PiS, że styl rządzenia, jaki formacja obrała w drugiej kadencji, jest dla niej samobójczy. „Prawo i Sprawiedliwość traci już nie tylko społeczny słuch, lecz także instynkt samozachowawczy" – to z kolei słowa Jana Pospieszalskiego sprzed dwóch lat (nr 33/2021). „Coraz gorsze projekty, ignorowanie ostrzeżeń ze wszystkich stron – to nieuchronny mechanizm neosanacji, która sama wyjaławia się z talentów, preferując wodzowskie zarządzanie. Prawica właśnie dotarła do linii, za którą jest już tylko upadek" – tak natomiast pisał Rafał A. Ziemkiewicz półtora roku temu (nr 6/2022).

Takie wypowiedzi można mnożyć, można przywoływać kolejnych publicystów. W naszym tygodniku nieustannie wskazywaliśmy na katastrofalne skutki działań PiS zarówno w polityce zagranicznej (wobec Ukrainy czy Brukseli), jak i wewnętrznej (uderzanie we własny

eprasa.pl 35833ab357

Kierownictwo na Nowogrodzkiej nigdy nie rozważało innego scenariusza niż samodzielna większość w Sejmie

FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

upadek

elektorat np. „piątką dla zwierząt" czy obostrzeniami pandemicznymi). Zjednoczona Prawica zamknęła się jednak we własnej bańce medialnej, dokładnie jak Platforma Obywatelska w 2015 r., i głosów ostrzegawczych nie chciała słuchać. Wygrał partyjny beton, który przekonywał, że wszystkie siły należy zainwestować w straszenie Donaldem Tuskiem, a centrowym wyborcą nie trzeba sobie zaprzątać głowy.

A jeszcze rok, jeszcze dwa lata temu PiS miał szanse na wyborcze zwycięstwo. Nawet jeżeli powtórzenie wyniku z 2019 r. z każdym mijającym miesiącem było coraz mniej prawdopodobne, to biorąc pod uwagę degrengoladę po stronie opozycji oraz bezprecedensowe wsparcie państwowego aparatu, jakim cieszył się obóz władzy, to w zasięgu formacji Kaczyńskiego nadal były trzy następujące scenariusze:

1) Optymistyczny, ale mało prawdopodobny, który zakładał wzięcie co najmniej 231 mandatów;

2) Realistyczny, w którym Zjednoczona Prawica ma na tyle dużą przewagę nad opozycją, że może pokusić się o wyłuskanie kilku brakujących posłów, ewentualnie zawiązanie koalicji;

3) Pesymistyczny, zgodnie z którym PiS nie ma większości, nie ma szans na dokooptowanie brakujących posłów, jednak dzięki parlamentarnej arytmetyce (głosom Konfederacji) opozycja również takich szans nie posiada. Przy prezydencie wywodzącym się z tego samego środowiska politycznego ta sytuacja prowadziłaby do rządu mniejszościowego i/albo przyspieszonych wyborów.

PiS na własne życzenie przekreślił wszystkie trzy opcje. Pierwsze dwie skrupulatnie torpedował w ciągu ostatnich lat, ostatnią zniweczył w trakcie wyjątkowo nieudolnej kampanii wyborczej, gdy nie mając już szans na samodzielną większość, cały czas grał va banque.

OSIEROCONY ELEKTORAT

Strategia, zgodnie z którą należy skupić się na mobilizowaniu własnego elektoratu, została rozbita przez rekordową frekwencję, która właśnie centrowych wyborców wyniosła do roli języczka u wagi, na czym w ostateczności skorzystała Trzecia Droga (w mniejszym stopniu KO). Jednak nawet pomijając fakt frekwencji, taktyka PiS była zupełnie nielogiczna. Jeżeli sukces partii miał zależeć od zmobilizowania swoich zwolenników, to dlaczego przez ostatnie lata PiS tak często uderzał we własny elektorat?

Najbardziej znamiennym wydarzeniem drugiej kadencji pod tym względem była kwestia tzw. piątki dla zwierząt. Sama w sobie nie była rzecz jasna decydująca, jednak bardzo symptomatyczna dla choroby trawiącej Zjednoczoną Prawicę. „Piątka" teoretycznie dotyczyła wąskiej grupy wyborców, w praktyce jej społeczny rezonans był o wiele szerszy niż można by początkowo przypuszczać. PiS przez lata prezentował się jako partia, która miała swoje oczywiste minusy, ale koniec końców broni „normalnych" Polaków. Kaczyńskiemu udało się narzucić podział „zblazowane elity vs. uciśniony lud", samemu obsadzając się w roli obrońcy tegoż ostatniego. Dopóki ten podział obowiązywał, dopóty PiS wygrywał. Tymczasem „piątka dla zwierząt" szła totalnie w poprzek tego podziału, rozbijała go i wysyłała jasny sygnał do rolników, mieszkańców wsi, a także pozostałych ludzi, którzy niekoniecznie podzielają liberalne nowinki na temat tzw. praw zwierząt – oto PiS stał się partią równie oderwaną od życia Polaków jak PO czy SLD. „Piątka" zaowocowała ponadto wewnątrzpartyjnym trzęsieniem ziemi oraz dymisją jednego z najlepiej ocenianych ministrów – Jana Krzysztofa Ardanowskiego. Kaczyński zamiast gasić pożar, przeprosić własnych wyborców i przywrócić Ardanowskiego do resortu rolnictwa, szedł w zaparte.

Jak ujawnił były minister, prezes PiS miał stwierdzić, że „chłopi są pazerni, da się im parę złotych przed wyborami i na nas zagłosują". Taktyka dosypywania pieniędzy niewiele miała wspólnego z godnościową narracją z 2015 r. czy nawet z ideą budowy polskiego państwa dobrobytu z 2019 r. Teraz po prostu postanowiono sypnąć pieniędzmi, oczekując w zamian głosów ludzi. PiS jednak nawet nie miał pomysłu, jak można dalej rozdawać pieniądze, czego przykładem była zupełnie absurdalna propozycja darmowych kursów prawa jazdy. Fiasko tej taktyki najbardziej widoczne było po zapowiedzi waloryzacji świadczenia „500+" do kwoty 800 zł. Propozycja atomowa, która nie miała żadnego wpływu na sondaże.

W rozmowie z portalem DoRzeczy.pl Ardanowski podkreślał, że np. rolnicy oczekiwali „wzmocnienia ich pozycji w łańcuchu żywnościowym, a nie tylko gadania w kółko o dotacjach do wszystkiego". Jednak ta zasada tyczyła się chyba ogółu wyborców, nie tylko rolników i mieszkańców wsi. Czar sypania pieniędzmi działał przez dłuższy czas, ale w pewnym momencie nawet on się zużywa.

ŻYCIE W BAŃCE

Pycha nie bez powodu jest wymieniana jako pierwsza wśród grzechów głównych. To pycha zgubiła PiS, tak samo jak gubiła wszelkie poprzednie ekipy.

eprasa.pl 35833ab357

Platforma Obywatelska, a wcześniej SLD, też zachowywały się, jakby miały rządzić wiecznie.

Politycy PiS działali, jakby sami uwierzyli w propagandę sączoną przez TVP oraz inne prorządowe media. Każdy głos krytyczny, już nawet nie z TVN czy „Gazety Wyborczej", lecz także centrowych czy nawet prawicowych środowisk, był ignorowany albo traktowany jako wyraz zdrady. Gdy „Do Rzeczy" miesiącami wskazywało, że bezprawne restrykcje pandemiczne nie tylko uderzają w obywatelskie swobody, lecz także narażają samą partię na poważne straty polityczne, to ze strony mediów „patriotycznych" padały wyłącznie obelgi. Sam Kaczyński z dezynwolturą stwierdził, że wprowadzając restrykcje dla osób niezaszczepionych, najwyżej „narazi się jakiejś grupie wyborców". Problem w tym, że ta „jakaś grupa" to byli właśnie tradycyjni wyborcy prawicy, których potraktowano jak „szurów" i nierozgarnięte dzieci.

Z kolei gdy za naszą wschodnią granicą wybuchła wojna, a w „Do Rzeczy" podkreślaliśmy, że Polska powinna wspierać Ukrainę, ale w pierwszej kolejności myśleć o własnym bezpieczeństwie oraz o interesie polskich obywateli – w odpowiedzi krzyczano o „ruskich onucach", agenturze etc.

Partia zaczęła żyć we własnej bańce. O ile w 2015 r. PiS miał twarz Beaty Szydło, a w 2019 r. Mateusza Morawieckiego, o tyle już w 2023 r. twarzą partii został Dominik Tarczyński, bo przecież to, co mówił premier, było de facto powtarzaniem przekazu najbardziej radykalnego skrzydła formacji. Każdy, kto nie pasował do twardego jądra PiS, był sekowany i wycinany – dotyczyło to zarówno dziennikarzy, jak i polityków czy analityków oraz ekspertów. Wbrew pozorom to właśnie prawicowe media były cenzurowane za rządów PiS, czego przykładem choćby zablokowanie portalu dwutygodnika „Najwyższy Czas!".

To nie jest tak, że nagle w kampanii wyborczej Prawo i Sprawiedliwość zaostrzyło kurs i straciło szansę na większość sejmową. Po prostu poszerzała się grupa wyborców rozczarowanych, porzuconych i najzwyczajniej zmęczonych kondycją partii, co w połączeniu z rekordową frekwencją dało taki, a nie inny wynik. W liczbach bezwzględnych PiS przecież stracił niemal pół miliona wyborców względem 2019 r.

Osłabiając Konfederację, PiS de facto otworzył Tuskowi drogę do ponownego objęcia władzy

Weźmy np. przedsiębiorców – z rodzinami grupa ok. 3 mln wyborców – którzy przez PiS zostali zupełnie zignorowani. Przedsiębiorca, jako wolny elektron na rynku pracy, nie wpisuje się w logikę PiS-owskiej filozofii, gdzie centralizm i kontrola mają priorytetowe znaczenie. Władza nie tylko nie miała dla nich żadnej oferty, lecz także zaczęła ich traktować jako element podejrzany. To tworzyło naturalną lukę, którą następnie próbowały zagospodarować Konfederacja i Trzecia Droga. I znowu – to, o czym piszę, nie jest żadnym novum, gdyż o interesy przedsiębiorców korwiniści dopominają się od lat, a PSL uczynił z tego tematu swój główny punkt zainteresowania w kampanii wyborczej już w 2019 r. – nie 2023 r.

Kampania wyborcza była jedynie kropką nad i. Z badań opinii publicznej jasno wynika, że poparcie dla PiS de facto nie zmieniło się jakoś znacząco od początku 2022 r. Przez półtora roku PiS nie potrafił otworzyć się na nowych wyborców. A więc od dawna było wiadomo, że nie ma co marzyć o 231 mandatach.

KROPKA NAD I

Na początku tekstu mówiłem o trzech scenariuszach, którymi dysponował PiS – dwa pierwsze zakładały większość sejmową dla obozu władzy, oba jednak u progu kampanii były już poza zasięgiem Kaczyńskiego. PiS skrupulatnie przez kolejne lata zaostrzał swój przekaz, aby w wyborczym roku postawić Polaków przed absurdalnym wyborem – albo trzecia kadencja Zjednoczonej Prawicy, albo finis Poloniae. Wszystkie niemrawe próby wyjścia poza tę apokaliptyczną retorykę spełzły na niczym. „800+" Polacy nie kupili, podobnie było z emeryturami stażowymi, a Polski Ład odniósł efekt wręcz odwrotny do zamierzonego.

Od początku 2023 r. oczywiste było, że jeżeli Trzecia Droga nie spadnie pod próg (a nic – poza mitycznymi „wewnętrznymi sondażami" – na to nie wskazywało), to PiS musi pogodzić się z tym, że nie przejmie pełnej władzy, i zacząć ograniczać straty, czyli nie dopuścić do scenariusza, w którym to opozycja totalna zdobędzie 231 mandatów.

Czemu jednak ostatecznie wybory wygrał Donald Tusk, a nie Jarosław Kaczyński? Tusk przyznał, że nie jest w stanie kontrolować całej sceny opozycyjnej, odpuścił ideę jednej listy i postawił na współpracę z Trzecią Drogą, a zatem zrobił to, do czego nie był zdolny Jarosław Kaczyński przez osiem lat rządów. PiS bowiem przez dwie kadencje próbował zniszczyć zarówno PSL, jak i Konfederację – jedynych potencjalnych koalicjantów. Twardy kurs, który praktykował Kaczyński, doprowadził do tego, że PiS może i wygrał wybory, ale nie jest w stanie z nikim sformować koalicji.

Wypuszczone w ostatnim dniu kampanii „taśmy Banasia", które miały pogrzebać Konfederację, jedynie potwierdzają, że kierownictwo na Nowogrodzkiej nigdy nie rozważało innego scenariusza niż pełna pula w postaci samodzielnej większości. Gdyby kilka miesięcy przed wyborami w partii spojrzano realistycznie na szanse ugrupowania, to oczywiste byłoby, że w żywotnym interesie PiS leży silna Konfederacja dysponująca pakietem kontrolnym uniemożliwiającym siłom lewicowo-liberalnym przejęcie władzy. PiS tymczasem zabrał powietrze prawicowej formacji, najpierw dokonując antyukraińskiego zwrotu, który samej Zjednoczonej Prawicy nic nie dał, a narodowcom i wolnościowcom podciął skrzydła, a następnie dorzucając wzmiankowane taśmy. Osłabiając Konfederację, PiS de facto otworzył Tuskowi drogę do ponownego objęcia władzy.

To głębszy problem, który sprowadza się do tego, że Jarosław Kaczyński najwyraźniej nie potrafi inaczej postrzegać polityki niż jako gry o sumie zerowej. Gry, w której zawsze trzeba iść va banque. Ten system od lat po cichu prowadził PiS po równi pochyłej – najpierw wyjaławiając partię z wszelkiej autonomicznych postaci i spychając formację w kierunku już od dawna zdecydowanych wyborców, a na ostatnim etapie pchając ją w samobójczą taktykę „wszystko albo nic". Tym razem padło na „nic".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 35833ab357

Ronin ery Wodnika

Dariusz Wieromiejczyk

Bardzo ciekawa dyskusja rozgorzała ostatnio na spotkaniu warszawskiego Klubu Ronina. Jeden z jego najbardziej zasłużonych i zaangażowanych członków, zasiadający we władzach Fundacji Klubu Ronina Marcin Wolski, poddał w niej zdecydowanej krytyce kształt kampanii wyborczej Zjednoczonej Prawicy.

Oświadczył on m.in., że „stworzyliśmy propagandę na gorszym poziomie niż w latach 70. Naród został upokorzony". Analizując przyczyny takiego stanu rzeczy, Wolski dodał: „Zwyciężyła logika stalinowska – kto nie jest z nami, jest przeciw nam, a nie odwrotna, którą kiedyś demokratyczny socjalizm próbował promować". Wypowiedź ta wywołała w środowisku prawicy namiętne spory. Tymczasem wydaje mi się ona w pełni uzasadniona. Kwestionować można jedynie przekonanie Wolskiego co do „logiki demokratycznego socjalizmu", która, w przekonaniu mówcy, stanowić miała opozycję do „logiki stalinowskiej". Moim zdaniem była ona jedynie złagodzoną modyfikacją wcześniejszych praktyk.

Marcin Wolski już kilka dni później odciął się od swojej wypowiedzi. W samokrytyce na łamach „Gazety Polskiej Codziennie" przeprosił za swoje słowa „pracowitych, odważnych, wybitnych kolegów" oraz czytelników pisma. Przeprosiny zostały przez redakcję „Gazety Polskiej" przyjęte, choć redaktorzy pisma nie zapomnieli wytknąć Wolskiemu jego wcześniejszego uczestnictwa w „totalitarnej, zależnej od Moskwy partii komunistycznej".

Znacznie mniej zainteresowania poświęcili publicyści prawicy drugiej części wypowiedzi Marcina Wolskiego. Stwierdził on: „[…] dziś – przepraszam za kolokwializm – może nie liżmy, cmokajmy w pupcię Trzecią Drogę. Ponieważ to jest jedyna nasza jakakolwiek szansa, że my przeżyjemy". Także ta rada zasługuje na chwilę namysłu.

Roninami nazywano w Japonii „bezpańskich" samurajów, których pan feudalny stracił życie, majątek lub poparcie swojego suwerena. Pozostawali oni na marginesie klasy samurajskiej. Najbardziej znaną opowieścią dotyczącą tych ludzi jest klasyczna japońska historia o 47 roninach.

Wiosną roku 1701 książę feudalny Asano Naganori niespodziewanie napadł na terenie zamku w Edo na wysokiego urzędnika, szoguna imieniem Kira Yoshinaka, zadając mu powierzchowne rany. Na zamku odbywała się właśnie oficjalna wizyta urzędników dworu cesarskiego, pan Yoshinaka zaś pełnił rolę mistrza ceremonii, odpowiadając za właściwe przyjęcie cesarskich gości. Szogun uznał atak za poważne naruszenie dworskiej etykiety i tego samego dnia pan Asano otrzymał rozkaz popełnienia rytualnego samobójstwa – seppuku. Odebrano mu zarazem jego lenno, wskutek czego wszyscy wasale Asano stali się bezpańskimi samurajami – roninami.

Jak relacjonowali świadkowie, Asano „stracił panowanie nad sobą z powodu osobistej urazy do Kiry". Jego wizerunku w oczach współczesnych nie poprawiła powierzchowność zadanych przeciwnikowi ran. „Sam fakt, że nie zabił on pana Kiry na miejscu, mimo że miał czelność wszcząć bójkę w takim czasie i miejscu, przedstawiał jego męskość w złym świetle" – pisze japoński historyk. Niedokończenie dzieła dowodzić miało fukaku Asany – jego rażącej niekompetencji jako wojownika. Powszechnie oczekiwano, że byli wasale wezmą odwet za marny koniec swojego pana.

Oczekiwania spełniły się po dwóch latach. Grupa 47 roninów – byłych wasali Asany – w sprawnie zorganizowanej i pieczołowicie przygotowanej akcji wdarła się do domu pana Kiry w Edo, zabijając go w spektakularnym akcie zemsty. Czyn spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem współczesnych. Dwa miesiące później szogun wydał dzielnym roninom rozkaz popełnienia seppuku. Już miesiąc po ich śmierci teatr kabuki w Edo wystawił przedstawienie opiewające bohaterskich roninów, w następnych stuleciach zaś napisano o nich setki dzieł literackich, rozpraw filozoficznych i scenariuszy filmowych. Ich poświęcenie uznano za wzór postępowania samurajów, a groby w tokijskiej świątyni Sengaku-ji do dziś otoczone są opieką i szacunkiem.

Trzeba stwierdzić, że proponowana przez Marcina Wolskiego praktyka stoi w jaskrawej sprzeczności z postępowaniem roninów, a także ze znanymi historykom wskazaniami etyki samurajskiej. Oferowanie zwycięskiemu przeciwnikowi „cmokania w pupcię" bądź jej „wylizania" (warto zwrócić uwagę na dokonane przez warszawskiego „ronina" fachowe rozróżnienie obu procesów) ma się nijak do zwyczajów feudalnej Japonii. Co więcej, zaproponowany przez Marcina Wolskiego sposób na „jakąkolwiek szansę, że my przeżyjemy", wydaje się jaskrawym zaprzeczeniem każdego kodeksu rycerskiego. Śladów podobnych praktyk nie znajdziemy ani w traktacie Bushido, ani w znakomitej książce prof. Marii Ossowskiej pt. „Ethos rycerski i jego odmiany".

Jedynym godnym rozważenia tropem interpretacyjnym debaty w Klubie Ronina wydaje mi się specyficzne odczytanie klasycznego dzieła „Hagakure" – duchowego przewodnika dla samurajów, napisanego przez znakomitego samuraja, a później buddyjskiego mnicha Tsunetomo Yamamoto, żyjącego w latach 1659–1719. Sam tytuł tego traktatu oznacza po polsku „Ukryte wśród liści". Tsunetomo przywołuje w nim koncepcję „miłości skrytej" (shinobu koi) jako takiego rodzaju oddania i lojalności, jakie samuraj powinien żywić w stosunku do swego władcy. Wychodząc z założenia, że „wszyscy ludzie domu są własnością pana", poucza on samurajów, że „najwyższa miłość jest miłością skrytą". Jak uczy Tsunetomo: „Skryta miłość jest wzorem dla wasala. Przez całe swoje życie nie będzie jej wyrażał, lecz w głębi serca będzie zdecydowany".

Oznaki tego zdecydowania mogą przybierać formę właściwą swoim czasom. ©℗

eprasa.pl 35833ab357

Adam Zubek

FOT. ADOBE STOCK

Polska (nie całkiem) asejsmiczna

Główne pasy sejsmiczne naszej planety przebiegają z dala od granic Polski, jednak były chwile w dziejach naszego kraju, które można określić, oczywiście z pewną dozą przesady, jako „sejsmiczne piekło”

Trzeba przyznać, że mamy lekkiego sejsmicznego pecha. Niedawno zatrzęsła się trochę ziemia w naszych podkarpackich miejscowościach, co wywołało spore zaniepokojenie mieszkańców. Ale przyczyna, czyli epicentrum wstrząsów, zlokalizowana była na sąsiedniej Słowacji. Poprzednio, prawie 20 lat temu, sporo szkód wyrządziło nam inne trzęsienie ziemi u innego naszego sąsiada, trzęsienie nazwane kaliningradzkim. Zapiski historyczne dowodzą, że takie „importowane” potrząsanie to wcale nierzadkie przypadki, ale przecież i nasze terytorium, czy raczej jego podłoże, potrafi generować znaczące zdarzenia sejsmiczne.

Tym razem (wieczorem 9 października) epicentrum trzęsienia ziemi znajdowało się na wschodniej Słowacji, ok. 20 km na północny zachód od Humenné, miasta powiatowego w kraju preszowskim, a więc w odległości ok. 50 km od polskiej granicy. Magnituda zarejestrowanego trzęsienia wynosiła 5 w dziewięciostopniowej skali Richtera, zatem, jak na region Karpat, było to stosunkowo silne trzęsienie. Na Słowacji kilkanaście budynków trzeba było wyłączyć z eksploatacji. Doszło do uszkodzenia sieci gazowniczej, wodociągowej i ciepłowniczej. W Polsce wstrząsy odczuli mieszkańcy Nowego Sącza, Tarnowa, Krakowa, a także Katowic i Tych. Ale odnotowali je także mieszkańcy Ukrainy, Rumunii i Węgier.

Nasi geofizycy powtarzają jak mantrę, że Polska znajduje się w strefie asejsmicznej i że nie grozi nam katastrofalne trzęsienie ziemi. Innego zdania byłaby zapewne św. Katarzyna, patronka kościoła na krakowskim Kazimierzu, który dwukrotnie w swoich dziejach (w latach 1443 i 1786) doznał poważnych zniszczeń. Sklepienie tego pięknego gotyckiego kościoła nadal jest tylko drewnianą imitacją poprzedniego, zniszczonego przez trzęsienie ziemi. Innego zdania musieli być również sejsmolodzy sowieccy, którzy, opracowując jeszcze w latach 60. mapy tzw. rejonizacji i mikrorejonizacji sejsmicznej, wskazali na obszary, gdzie mogą występować trzęsienia ziemi dające skutki 6. lub 7. stopnia (w zmodyfikowanej skali Mercallego). Okazało się, że granica strefy „6” osiąga polską granicę koło Dobromila, a „7” przebiega grzbietem Karpat. Wynikałoby z tego, że okręg Leska i Ustrzyk Dolnych znajduje się w strefie „6” i że mogą tam wystąpić wstrząsy prowadzące do uszkodzeń budynków.

SEJSMICZNE KRONIKI

Główne pasy sejsmiczne naszej planety przebiegają rzeczywiście z dala od granic Polski, a jednak wykaz trzęsień ziemi w Polsce za ostatnie tysiąc lat, opracowany swojego czasu przez dr. Pagaczewskiego, wcale nie jest krótki. Były

eprasa.pl 35833ab357

chwile w dziejach naszego kraju, które można określić, oczywiście z pewną dozą przesady, jako „sejsmiczne piekło". Tak było w trzech kolejnych latach XVIII w.: 1785, 1786 i 1787.

Najpierw, 22 sierpnia 1785 r., zatrzęsła się ziemia w okolicach Krakowa i Krzeszowic. Miało wówczas ponownie pęknąć sklepienie kościoła św. Katarzyny na Kazimierzu. To trzęsienie z kolei opisał nasz wielki przyrodnik Jan Śniadecki, który przeżył je, jak odnotował w „Pamiętniku historyczno-politycznym" z roku 1785, „bawiąc w domu JWW Myszkowskich, Margrabstwa Pińczowskich, rezydujących pod ten czas w Książu, mieście ordynacji swojej, o 7 mil od Krakowa odległym". Tenże „Pamiętnik..." uzupełnił opis Śniadeckiego, odnotowując, że „w Cieszynie tegoż samego dnia 22 sierpnia około siódmej godziny postrzeżono ten straszny fenomen, od którego zwierciadła ze ścian pospadały, kawa w filiżankach bardzo się ruszała i okna drżały, w niektórych domach fiołki z miejsc swych były poruszone. O tejże samej godzinie dało się czuć trzęsienie w Skoczowie, Bielsku i innych miastach Górnego Śląska; w Wieliczce w szybach solnych miało być prawdziwe i znaczne trzęsienie ziemi, od którego się całe ściany pozawalały".

Najgorszy był kolejny rok – 1786. Nawiedziły wówczas Polskę aż trzy silne trzęsienia. Pierwsze 27 lutego objęło oprócz Małopolski, Czechy, Węgry i Śląsk, zwłaszcza rejon Karkonoszy. Drugie, słabsze, z 3 października, odczuto w kilku miastach Małopolski, zwłaszcza w Tarnowie. Dwa miesiące później nadeszło najsilniejsze. 3 grudnia ucierpiał nie tylko Kraków, lecz także Tyniec, Opatów, Racławice, Kalwaria Zebrzydowska, Bochnia, Balice i Krzeszowice. Uszkodzone zostały większe budowle w tych miastach, zwłaszcza kościoły. Ocenia się, że podobne trzęsienie ziemi w dzisiejszych czasach spowodowałoby bardzo poważne straty. W roku 1787 Kraków i Wieliczka przeżyły jeszcze jedno dość silne trzęsienie.

Geofizycy przewertowali stare kroniki i dokumenty, odnajdując dziesiątki śladów wcześniejszych zdarzeń sejsmicznych na ziemiach polskich. Informacje o najdawniejszych trzęsieniach ziemi pochodzą przede wszystkim z kronik Jana Długosza i Macieja Miechowity. Pierwszy żył i pisał swoje kroniki w XV w., drugi na przełomie wieków XV i XVI i bez wątpienia wiarygodne są ich doniesienia o wydarzeniach, które miały miejsce za ich życia. Długosz był świadkiem prawdopodobnie największego na ziemiach polskich trzęsienia ziemi w roku 1443. Oto jak je opisywał: „Wieże i gmachy waliły się na ziemię, rzeki występowały z łożysk, a ludzie nagłym strachem zdjęci, od zmysłów i rozumu odchodzili".

Nie oznacza to jednak, że epicentrum tego trzęsienia znajdowało się w Polsce. Jak wykazały współczesne analizy geofizyków, miało ono miejsce na Słowacji. Relacja Długosza jest bez wątpienia wiarygodna, był bowiem świadkiem tych zdarzeń. Mniej zaufania można mieć do odnotowanych w kronikach dat wcześniejszych trzęsień ziemi – lat 1016 i 1200. Zarówno Długosz, jak i Miechowita odnotowują trzęsienie z 1257 r., jednak geofizycy, uwzględniając źródła czeskie i niemieckie, kwestionują poprawność tej daty – prawdopodobnie chodzi o trzęsienie z roku 1259.

WINNA AFRYKA?

To oczywiście nie przypadek, że te opisy i cały „Katalog trzęsień ziemi" w Polsce zdominowane są przez zdarzenia zlokalizowane w Polsce Południowej, w Małopolsce, na Śląsku i w Sudetach. Pogranicza czeskie i słowackie są regionami najbardziej aktywnymi sejsmicznie. Karpaty to fragment łańcucha gór systemu alpejskiego, najmłodszych w dziejach Ziemi, które wciąż rosną i dlatego się trzęsą. Zapewne, niejako przy okazji, „potrząsany jest" leżący na przedpolu tego łańcucha tzw. Masyw Czeski, którego północne obramowanie tworzą nasze Sudety.

Praprzyczyna znajduje się jednak znacznie bardziej na południe. Jest nią Afryka albo raczej płyta afrykańska. Zgodnie z teorią wędrówki kontynentów, a także zgodnie z obserwacjami, płyta przemieszcza się na północ, fałdując osady morskie na jej przedpolu i wypiętrzając góry. Sprzyja to powstawaniu licznych uskoków w istniejących formacjach skalnych. Ruch w obrębie tych uskoków jest, zdaniem geologów, przyczyną trzęsień ziemi.

Nasze październikowe trzęsienie, zdaniem prof. Jerzego Żaby, geologa z Uniwersytetu Śląskiego, miało związek z aktywnością wielkiego uskoku zwanego perypienińskim. Jego długość szacuje się na 600 do 800 km i biegnie on od Ukrainy, przez Słowację, Polskę (pieniński pas skałkowy), ponownie przez Słowację, Republikę Czeską i dalej, w kierunku Austrii. Uskok ten oddziela Karpaty Zewnętrzne od Wewnętrznych.

ZAGADKA T-T

Na dobrą sprawę wszystko, co znajduje się na północ od tej strefy górskiej i przedgórskiej, powinno być sejsmicznie coraz spokojniejsze, są to bowiem, jak mówią geolodzy, stare platformy, gdzie procesy górotwórcze zakończyły się przed setkami milionów lat. Ten postulat spokoju sejsmicznego spełnia jedynie część Polski Zachodniej (Wielkopolska, Lubuskie, Nizina Szczecińska), obszar określany jako platforma paleozoiczna.

Jednak oto w „Katalogu polskich trzęsień ziemi" pojawiają się takie miejsca, jak pradolina toruńska (1572), Pojezierze Wałeckie (1606), Kotlina Warszawska (1680), Dolina Dolnej Odry (1786), Równina Białogardzka (1909) i bardzo charakterystyczny pas od okolic Płocka przez Łuków do Lubelszczyzny (w roku 1932 wystąpił tu tzw. rój sejsmiczny). Ogniska tych trzęsień układają się w strefę ciągnącą się od Koszalina przez Warszawę do Lublina. Tę szczególną, tajemniczą strefę, nazwaną strefą T-T (od nazwisk jej odkrywców – Polaka Wawrzyńca Teisseyre'a i Niemca Alexandra Tornquista), sejsmolodzy traktują z dużą podejrzliwością. Odgranicza ona starą, sztywną platformę wschodnioeuropejską od znacznie młodszych skał budujących zachodnią część kontynentu. Była w przeszłości widownią gwałtownych procesów geologicznych – licznych kolizji wielkich i mniejszych płyt tektonicznych. Dzisiaj jest ustabilizowana, ale

eprasa.pl 35833ab357

geolodzy i geofizycy nadal się zastanawiają, jaki jest charakter tej granicy. Czy doszło tu przed milionami lat do zderzenia kontynentów czy istniała tu raczej strefa ryftowa (na podobieństwo współczesnego Wielkiego Rowu Afrykańskiego)? Faktem jest, że strefę tę cechuje pewna, niewielka, ale zauważalna w skali historycznej sejsmiczność. Wstrząsy są tu znacznie rzadsze i słabsze niż na południu Polski. Jednak odpowiedź na pytanie o genezę tej strefy pozwoliłaby ocenić, jak wielkie jest ryzyko większych zdarzeń sejsmicznych. Odpowiedź miałaby też znaczenie dla wyjaśnienia fenomenu sejsmicznego z roku 2004.

NIESPODZIANKA SPOD KRÓLEWCA

Zdarzyło się wtedy, 21 września 2004 r., w Polsce coś, co nie miało się prawa zdarzyć. Pamiętają to do dziś na Suwalszczyźnie, w Olsztynie, w Elblągu. W Polsce Północno-Wschodniej zatrzęsła się ziemia. Zatrzęsła się mocno. Zbyt mocno, jak na region, gdzie nikt nigdy nie słyszał o trzęsieniach ziemi, region, który podręczniki szkolne zaliczały zawsze do stref zdecydowanie asejsmicznych.

Silne wstrząsy, z epicentrum w okolicach Kaliningradu, oceniane na ponad 5 w skali Richtera, spowodowały co prawda tylko trochę niegroźnych uszkodzeń w zabudowie, ale pozostawiły trwały ślad w psychice mieszkańców tego regionu – grunt pod nogami przestał być pewny. A i badacze ciągle nie mają pewności, czy za tym zdarzeniem znowu stoją wędrująca Afryka czy może... śnieg.

Pewnej zimy, ok. 2 mln lat temu, nad Skandynawią spadło więcej śniegu, niż było w stanie stopić się podczas lata. Zjawisko powtórzyło się następnej zimy i następnej, i jeszcze kolejnej. Tak po tysiącach lat powstała czapa lodowa, której miąższość w najlepszym jej okresie przekraczała 3 km, a olbrzymie jęzory lodowe oparły się aż o krawędź Karpat i Sudetów. Geolodzy są przekonani, że pod ciężarem lądolodu, który usadowił się tam, licząc z przerwami, na 1,5 mln lat, nastąpiło znaczne ugięcie skorupy ziemskiej. Lądolód w końcu stopniał, ale skorupa ziemska, stale się dźwigając, jeszcze nie powróciła do stanu równowagi.

Jest rzeczą oczywistą, że tego rodzaju odkształceniom, a trzeba pamiętać, że nie są one rozłożone równomiernie – centrum unosi się szybciej niż obrzeża – towarzyszy wzrost naprężeń w skałach, które rozładowywane są poprzez trzęsienia ziemi. Nawiasem mówiąc, Szwedzi czujnie kontrolują te zjawiska, działają tam 72 staje sejsmologiczne (u nas osiem). I rzeczywiście, choć to fakt mało znany, w Skandynawii ziemia trzęsie się dość często, choć słabo. Nie notowano tam np. tak silnych wstrząsów jak ten nasz z roku 2004. Jednak całkiem wykluczyć ich też nie można. Nic więc dziwnego, że pogląd wiążący kaliningradzkie trzęsienie z dźwiganiem się Skandynawii był rozpatrywany przez naszych sejsmologów w pierwszej kolejności.

4,4 stopnia

TYLE W SKALI RICHTERA ODNOTOWANO W 2014 R. KOŁO BEŁCHATOWA

Z analizy danych zrodziła się sensacyjna hipoteza, przedstawiona już kilka miesięcy po zdarzeniu w publikacji dr. Pawła Wiejacza na łamach periodyku „Acta Geophysica Polonica". Autor raczej odrzuca związek kaliningradzkiego trzęsienia z procesem polodowcowego dźwigania się Skandynawii i sugeruje, że mamy do czynienia z nieznanym uskokiem tektonicznym właśnie na linii Kaliningrad – Suwałki. Czy jesteśmy świadkami narodzin nowego uskoku? Byłoby to raczej zbyt śmiałe przypuszczenie, twierdzi sam jej autor. Weryfikacja tej hipotezy będzie trudna ze względu na brak możliwości przeprowadzenia eksperymentów sejsmicznych na terenie obwodu kaliningradzkiego. W każdym razie przydałaby się jeszcze jedna stacja sejsmologiczna na północy Polski.

Z kolei dr Paweł Wolniewicz, geolog z poznańskiego Uniwersytetu Adama Mickiewicza, pociesza, że na szczęście wstrząsy sejsmiczne mające miejsce wewnątrz kontynentów są z reguły o wiele słabsze niż zdarzenia na granicach kier litosfery. Ma jednak również złą informację. Trzęsienia ziemi w obszarach pozornie asejsmicznych rzadko zdarzają się dwa razy w tym samym miejscu. Z reguły migrują, za każdym razem nawiedzając inne rejony. Wstrząsy te dotykają więc z reguły tereny nieprzygotowane do trzęsień ziemi. Na szczęście niewielka siła tych wstrząsów sprawia, że szkody są z reguły ograniczone.

GDZIE SIĘ ZATRZĘSIE?

Jak więc widać – i sejsmolodzy to zdecydowanie podkreślają – nie jest dziś możliwe precyzyjne prognozowanie ani miejsca, ani czasu, ani siły trzęsień ziemi. Jest możliwa ocena prawdopodobieństwa wystąpienia tych zdarzeń, co ma jednak ograniczone znaczenie praktyczne. Niemniej sejsmologia potrafi dziś wskazać miejsca i regiony, gdzie należy przeciwdziałać skutkom trzęsień. A to skutkuje, albo przynajmniej powinno skutkować, wprowadzeniem w życie ścisłych norm budowlanych oraz odpowiednim przeszkoleniem ludności. W Polsce, jak się wydaje, nie ma takiej konieczności. Wiemy, gdzie się trzęsie regularnie – są to obszary eksploatacji górniczej, przede wszystkim rejon Legnicko-Głogowskiego Okręgu Miedziowego oraz Górny Śląsk. Okazało się, co było pewną niespodzianką, że do takich miejsc należy też rejon kopalni odkrywkowej koło Bełchatowa. W 2014 r. nastąpił tam wstrząs o sile 4,4 w skali Richtera. Zatrzęsło się także niedawno, 20 września tego roku. Wstrząs był słabszy, ale podobno odczuwany przez mieszkańców.

Czy możemy się spodziewać groźniejszych zdarzeń? Zdaniem sejsmologa dr. Pawła Wiejacza z IMGW tak, ale byłyby to zdarzenia „z importu". Badania w ramach Globalnego Programu Szacowania Ryzyka Trzęsień (GSHAP) wykazały, że ryzyko wystąpienia bardzo silnego trzęsienia ziemi na terenie Europy osiąga najwyższy stopień na terenie Rumunii. Jeśli czarne scenariusze się sprawdzą, to kraj ten może nawiedzić gigantyczne trzęsienie, które zdarza się średnio co 35 lat (i już się spóźnia). Zdaniem badacza, że jeśli wstrząs osiągnie siłę co najmniej M=7.3, to skutki tego kataklizmu mogą odczuć też mieszkańcy całej środkowej i południowo-wschodniej Europy, w tym również Polski. Ostatni potężny wstrząs miał tam miejsce 4 marca 1977 r. o sile M=7.2 i spowodował śmierć 1578 osób. Był odczuwalny również w Polsce.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 35833ab357

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Pokręcone losy

Mirosław Petelicki (ojciec Sławomira, pierwszego dowódcy jednostki GROM) był m.in. komunistycznym partyzantem (Brygada Spadochronowa „Grunwald"), sowieckim „cichociemnym", zrzuconym na Kielecczyznę, aby wspomagać Armię Ludową. I stało się coś dziwnego – zrzutową broń i pieniądze przekazał na miejscu nie „swoim", ale napotkanym jednostkom… NSZ! Jak to się mogło stać? Oficerom NSZ tłumaczył, że AL-owcy sprawiają wrażenie nieokrzesanych lumpów, dlatego zasoby przekazał im, bo są Wojskiem Polskim.

Po wojnie dobierała się do niego Informacja Wojskowa (była to odnoga sowieckiego Smierszu w „ludowym" WP). Nie dość, że nie przekazał broni i pieniędzy AL-owcom, to dał je „faszystom" z NSZ! W zeznaniach przyznał się do wszystkiego, ale tłumaczył się umiejętnie – dochodziło bowiem do kontaktów i współdziałania jego oddziału z jednostkami NSZ, ale to były wspólne akcje przeciwniemieckie. Jego zeznania były bardzo korzystne dla NSZ, być może również z tego powodu sprawa została wyciszona, a on nie został pociągnięty do odpowiedzialności, choć karierę sobie nadłamał.

Oto fragment jego zeznań z 1948 r.: „Ustosunkowanie się mjr. »Kazimierza« [Eugeniusza Kernera z NSZ] i jego ludzi względem nas było bardzo grzeczne i taktowne"; „W sprawie morderstw popełnianych przez oddział »Kazimierza« nie mogę nic powiedzieć, gdyż o takowych nie słyszałem, podczas swego pobytu na tych terenach". Ponieważ Mirosław Petelicki był na tym terenie przez ponad pół roku, z pewnością więc bardzo dobrze wiedział, co się dzieje w miejscowej konspiracji.

Być może wpływ na te wydarzenia miało jego pochodzenie. Ojciec Stanisław był polskim kawalerzystą, walczył m.in. w I Korpusie Polskim gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego. Był osadnikiem wojskowym na Wołyniu. Syn Mirosław poszedł w ślady ojca, ukończył Szkołę Podchorążych Broni Pancernych w Modlinie, walczył w kampanii 1939 r., był ranny. Niestety, w 1943 r. związał się z sowiecką partyzantką – podlegającą NKWD – i tak trafił jako zrzutek na Kielecczyznę. Nie wiemy, ile miał kontaktów z NSZ, ale nie był to przypadek jednostkowy. Na przykład w walce Brygady Świętokrzyskiej z Niemcami pod Zagnańskiem (27 sierpnia 1944 r.) doszło do współdziałania zapewne z tą komunistyczną jednostką. Świadczą o tym odręczne meldunki oficerów NSZ z pola walki: „Ubezpieczają nas od strony Samsonów – Odrowąż. Siły jeszcze nieznane".

Nasza historia z tamtych lat jest mocno pokręcona i nie do końca zbadana. Czy w Mirosławie Petelickim odezwało się polskie sumienie czy było w tym jakieś wyrachowanie? Tego już się nie dowiemy. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Ciemno wszędzie…

Słowianie czcili pamięć zmarłych kilka razy w roku, ale po wprowadzeniu chrześcijaństwa obchody ograniczono do pierwszych dni listopada. Niewiele jednak wiadomo o ich oficjalnym, kościelnym przebiegu na ziemiach polskich. Można jednak przypuszczać, że przez stulecia czczono zmarłych w dawny, pogański sposób, nadając obchodom nieco chrześcijańskiej treści. Wskazują na to pozostałości tradycyjnych obyczajów zachowanych jeszcze w XIX w. na terenach dawnej Rzeczypospolitej. Wciąż bowiem uważano, że tego dnia zmarli powracają na ziemię i mogą odwiedzać domy, w których kiedyś mieszkali. Dlatego na parapetach pozostawiano dla nich poczęstunek (obowiązkowo z wódką rozgrzewającą zmarznięte dusze). W tym samym celu w pobliżu cmentarzy i na rozstajach dróg rozpalano na noc wielkie ogniska, czego pozostałością jest dzisiejsze zapalanie świeczek i zniczy na grobach.

Wyjątkowo żywotne okazały się dziady, obrzęd zaduszny z terenów dzisiejszej Białorusi, Litwy i Łotwy. Jego treścią był kontakt żywych ze światem zmarłych, a przybywające na ziemię dusze nazywano dziadami. Należało je zatem odpowiednio ugościć, by zapewnić im spokojny byt w zaświatach, samemu zaś osiągnąć pomyślność.

Być może obecnie mało kto by pamiętał o obrzędzie dziadów, gdyby nie mistrzowskie pióro Adama Mickiewicza. „Dziady" wileńsko-kowieńskie (część II, IV i niedokończona I) powstały w bardzo burzliwym okresie życia poety, który pracował w prowincjonalnym Kownie jako nauczyciel, a jednocześnie miał romans z dwiema zamężnymi kobietami. Pierwszą z nich była Karolina Kowalska, piękna żona lekarza powiatowego w Kownie, a drugą – słynna Maryla Wereszczakówna, małżonka hrabiego Puttkamera.

Skomplikowane życie uczuciowe wieszcza nie było dla współczesnych tajemnicą, dlatego po ukazaniu się w druku „Dziadów" powszechnie uznawano, że poeta pod pozorem obrzędów zadusznych przedstawił dzieje swojej miłości do Maryli. Praktycznie każdy w Wilnie i okolicach bez problemu identyfikował bohaterów dramatu, a w literaturze polskiej nie było dotychczas podobnego przypadku ekshibicjonizmu uczuciowego. Nic zatem dziwnego, że najbliżsi przyjaciele poety byli zgorszeni, chociaż większość czytelników prezentowała inne poglądy. Zresztą odnalezienie w bohaterach dramatu znajomych osób podnosiło tylko jego atrakcyjność. Lekarz Jan Nowicki, który dobrze znał Mickiewicza i oboje Puttkamerów, pisał oczarowany:

„Nieocenione »Dziady«! Jakże pięknie odmalował siebie [Mickiewicz] w postaci pustelnika! Tylko ten może czuć całą moc tego opisu, kto tak jak my zna dobrze autora"… ©℗

eprasa.pl 35833ab357

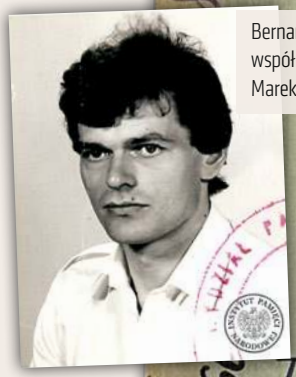

Bernard Koleśnik jako tajny współpracownik SB przyjął pseudonim Marek Walicki FOT. IPN

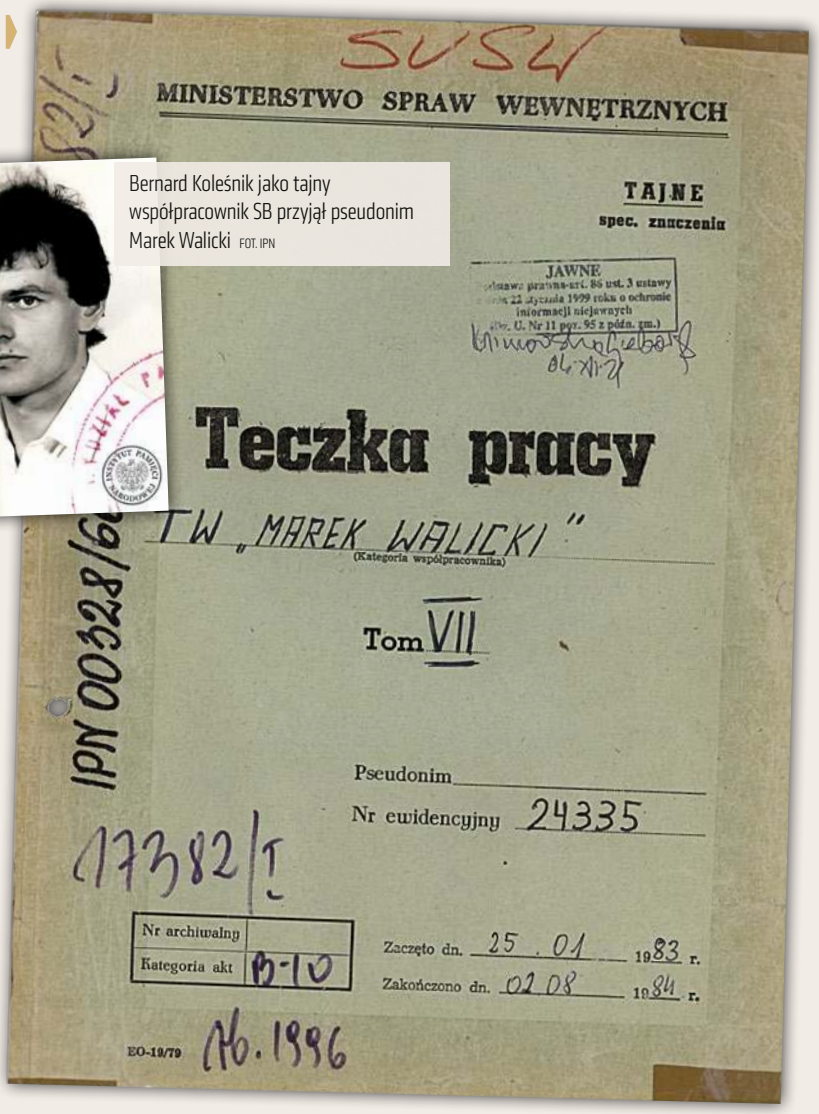

SUSW

MINISTERSTWO SPRAW WEWNĘTRZNYCH

TAJNE
spec. znaczenia

JAWNE
podstawa prawna-art. 86 ust. 3 ustawy z dnia 22 stycznia 1999 roku o ochronie informacji niejawnych (Dz. U. Nr 11 poz. 95 z późn. zm.)

Teczka pracy

TW „MAREK WALICKI"
(Kategoria współpracownika)

Tom VII

Pseudonim

Nr ewidencyjny 24335

IPN 0032816

17382/T

Nr archiwalny
Kategoria akt B-10

Zaczęto dn. 25.01 1983 r.
Zakończono dn. 02.08 1984 r.

EO-19/79

Nr. 1996

Donosił na księdza Jerzego

Piotr Litka

Był szeregowym działaczem opozycji demokratycznej w PRL. Z bezpieką współpracował od sierpnia 1978 do sierpnia 1984 r. Donosił na kolegów z opozycji oraz m.in. na księdza Jerzego Popiełuszkę. Brał za to pieniądze

Historia, którą opowiadamy, miała swój początek w Białymstoku w październiku 1977 r. Funkcjonariusze Służby Bezpieczeństwa przejęli w ramach prowadzonej przez siebie kontroli korespondencji list, który zawierał „oświadczenie Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce". Esbecy postanowili uważniej przyjrzeć się jego nadawcy; był on bowiem podpisany tylko imieniem: Bernard. Wkrótce okazało się, że nadawcą listu jest 23-letni Bernard Koleśnik, alumn III roku Wyższego Seminarium Duchownego Księży Sercanów w Stadnikach, niedaleko Krakowa. Jak zaznaczono w jednym z zachowanych dokumentów: „Zafascynowany jest działalnością grup antysocjalistycznych i w sprzyjających okolicznościach może się aktywnie włączyć do wrogiej działalności".

KRÓTKA HISTORIA DORAŹNEGO POZYSKANIA

W tej sytuacji rozpoczęto SOS, czyli Sprawę Operacyjnego Sprawdzenia o kryptonimie Leśnik. Wykorzystano przy tym m.in. tajnych współpracowników oraz na większą niż dotychczas skalę kontrolę korespondencji. Na efekty czekano kilka miesięcy. Kiedy doszło do zatrzymania Bernarda Koleśnika 21 marca 1978 r. w Krakowie, bezpieka miała już jego obszerne dossier.

Poza protokołem przesłuchania Bernard Koleśnik podpisał wówczas oświadczenie, w którym możemy przeczytać, że od dnia 21 marca 1978 r. nie będzie się „kontaktował z osobami zaangażowanymi w działalność polityczną […], [gdyż jego] powołaniem jest służba Bogu i Ojczyźnie, a […] obowiązkiem jest i ma być w przyszłości głoszenie Prawdy Bożej, a nie działalność polityczna".

Esbecy wiedzieli, że Koleśnik porzucił seminarium i że w swoim oświadczeniu oraz podczas przesłuchania nie powiedział prawdy. Zaczęli więc poszukiwania niedoszłego księdza w miejscach zamieszkania jego bliskich. Ten trop okazał się jednak chybiony.

W maju 1978 r. z relacji jednego z tajnych współpracowników bezpieki o ps. Dunin wynikało, że Bernard Koleśnik po porzuceniu seminarium w Stadnikach rozpoczął pracę w zakładzie dla niewidomych w Laskach pod Warszawą.

eprasa.pl 35833ab357

TW twierdził, że Koleśnik planuje podjęcie studiów na Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie lub na KUL oraz że utrzymuje kontakty z Leszkiem Moczulskim i środowiskiem opozycji demokratycznej związanej z Ruchem Ochrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCiO). To bezpiece wystarczyło.

25 sierpnia 1978 r. Bernard Koleśnik w wyniku zatrzymania i rozmowy werbunkowej podpisał dobrowolne zobowiązanie do współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa i przyjął pseudonim Marek Walicki. Po zakończeniu współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa w roku 1985, za zgodą resortu, miał wyjechać do Austrii. Na początku lat 90. mieszkał w Szwecji.

Współpraca Koleśnika trwała blisko sześć lat. W Archiwum IPN zachowały się zarówno jego teczki pracy, jak i teczka personalna Tajnego Współpracownika. Jeden z esbeków oceniał go jako człowieka posiadającego „umiejętność swobodnego wyrażania swych myśli oraz nawiązywania kontaktów z ludźmi". Oficer bezpieki dodawał też, że Bernard Koleśnik „posiada duży zasób wiedzy ogólnej". Z zachowanych dokumentów wynika, że przekazywał on resortowi przede wszystkim cenne operacyjne materiały dotyczące działalności Konfederacji Polski Niepodległej (KPN) i jej szefa Leszka Moczulskiego. Brał też latami aktywny udział w jego rozpracowaniu. Bezpieka wykorzystywała Koleśnika także m.in. do rozpracowania środowisk związanych z Komitetem Obrony Robotników (KOR) oraz ROPCiO. W 1981 r. był jednym z delegatów na I Zjazd NSZZ „Solidarność" w Gdańsku (SB wypłaciła mu za to „premię specjalną" w kwocie 5 tys. zł).

Po wprowadzeniu stanu wojennego Koleśnik został internowany. Po zwolnieniu nadal donosił. Przez cały czas swojej współpracy otrzymywał wynagrodzenie. Czasami była to wypłata gotówki „za wykonanie zadania", czasami bezpieka opłacała mu wynajem mieszkania. Pożyczył też od resortu maszynę do pisania marki Erika, gdyż była mu „niezbędna do wykonywania zadań". W dokumentach za okres 1978–1984 zachowało się ponad 200 pokwitowań na kwoty od 500 do 5 tys. zł.

W roku 1983 zbliżył się do środowisk związanych z kościołem św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu. Wtedy też w jego donosach pojawiają się informacje dotyczące ks. Jerzego Popiełuszki.

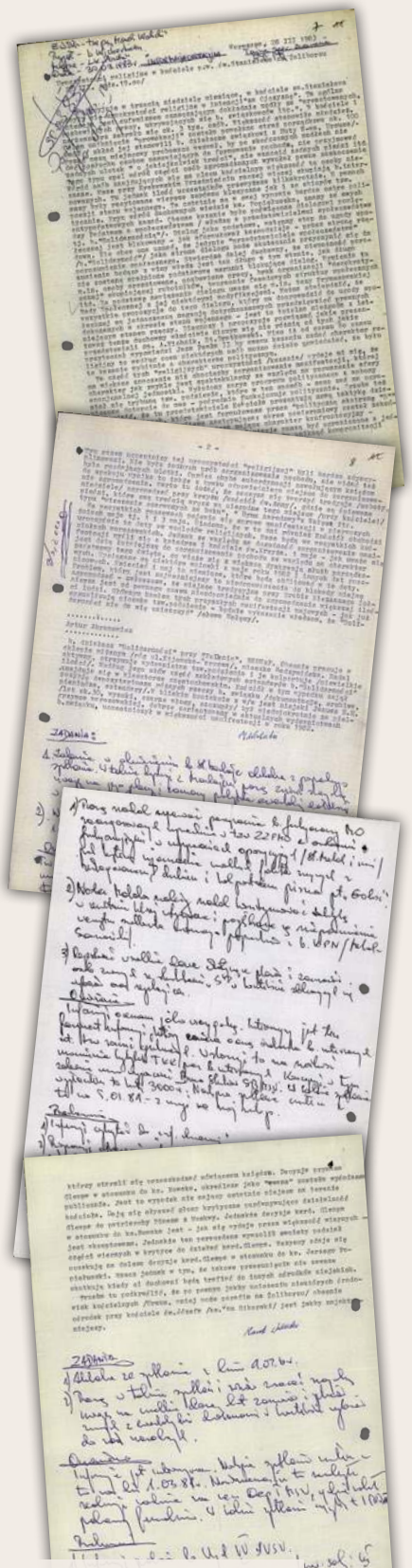

Donosy z teczki Bernarda Koleśnika zachowane w IPN FOT. IPN

Miał w tym czasie kontakty z dziennikarzami z Zachodu. Organizował bowiem m.in. konferencje prasowe KPN.

ROK 1983

Wówczas już od miesięcy ks. Jerzy Popiełuszko – rezydent parafii pw. św. Stanisława Kostki na warszawskim Żoliborzu – był rozpracowywany przez bezpiekę. Praca funkcjonariuszy resortu spraw wewnętrznych polegała m.in. na podsłuchiwaniu telefonu księdza, monitorowaniu podsłuchu pokojowego założonego w jego mieszkaniu na plebanii przy ul. Hozjusza oraz na śledzeniu jego duszpasterskiej działalności na terenie Warszawy i poza stolicą. Jednym z cennych źródeł wiedzy dla bezpieki byli tajni współpracownicy rozsiani wokół ks. Jerzego.

Jednym z nich był Bernard Koleśnik. Jednak z zachowanych donosów nie wynika, by ks. Popiełuszkę znał on osobiście. Choć informacje, które przekazywał bezpiece, mogły okazać się niezwykle cenne. Tym bardziej że donosił na kapelana Solidarności także w okresie, gdy bezpieka szykowała i zrealizowała wobec księdza tzw. prowokację na Chłodnej.

W grudniu 1983 r. do niewielkiego warszawskiego mieszkania księdza (podarowanego mu przez ciotkę) esbecy podrzucili pod nieobecność gospodarza materiały wybuchowe, tysiące ulotek i naboje. W wyniku prowokacji ks. Jerzy trafił do aresztu, a rozpętana przeciwko niemu kampania propagandowa w mediach (w czym celował m.in. ówczesny rzecznik prasowy rządu Jerzy Urban) miała na celu zdyskredytowanie kapłana w oczach opinii publicznej, jego przełożonych oraz wiernych w parafii, w której posługiwał.

Częściowo operacja ta się udała, ale bez wiedzy pozyskiwanej od tajnych współpracowników bezpieki prowokacja ta nie byłaby możliwa do zrealizowania, jej efekty zaś nie mogłyby być tak dobrze monitorowane przez bezpiekę. W Archiwum IPN zachowały się donosy Bernarda Koleśnika, określane niewinnie jako informacje operacyjne, dotyczące m.in. Mszy św. za Ojczyznę, prowokacji na Chłodnej oraz możliwych efektów rozmowy ks. Jerzego z prymasem Glempem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Podczas pisania tekstu korzystałem z materiałów archiwalnych przechowywanych w IPN.

eprasa.pl 35833ab357

Olivier Bault

Europejskie zadowolenie

Media europejskie ciepło przyjęły perspektywę powrotu Donalda Tuska do władzy w Polsce

Wybory w Polsce wzbudziły spore zainteresowanie mediów europejskich, choć może nie aż tak duże, jak można było się tego spodziewać. Stało się tak z powodu dominacji innych, gorących tematów związanych z wydarzeniami w Izraelu. Na przykład we Francji polskie wybory odbywały się dwa dni po islamskim ataku terrorystycznym na szkołę w Arras, gdzie 20-letni Czeczen zabił nożem jednego nauczyciela i ciężko ranił dwóch innych.

Wyjątkiem były – z wiadomych względów – Węgry, a stacja telewizyjna Hír TV prowadziła nawet swoisty wieczór wyborczy poświęcony wyborom nad Wisłą. Węgrzy mają pełną świadomość, że zmiana rządów w Polsce postawi rząd Viktora Orbána w bardzo trudnej sytuacji w Unii Europejskiej.

ODSUNIĘCIE „NARODOWCÓW" I „POPULISTÓW"

„Dramat wojny na Bliskim Wschodzie sprawił, że niewiele uwagi poświęcono dobrym wiadomościom z Polski" – napisał 21 października autor opinii dla hiszpańskiego centroprawicowego dziennika „ABC" pt. „Światełko w europejskim tunelu". I zauważył: „Wynik wyborów pozwoli rządzić koalicji, która jest gotowa naprawić nadużycia narodowo-populistycznej fali".

I rzeczywiście, ze względu na to, że Polska to stosunkowo duży kraj (w skali europejskiej), w którym rządzą od ośmiu lat politycy przedstawiani w głównych mediach europejskich, zgodnie z narracją polskich lewicowych mediów, jako „ultrakonserwatywni", „nacjonalistyczni", „antyeuropejscy", „antydemokratyczni" itp, itd., wygrana tej „umiarkowanej", „proeuropejskiej", „liberalnej" opozycji nie mogła przejść całkiem niezauważona.

International

Par Laure Mandeville

Publié le 16/10/2023 à 19:23, mis à jour le 16/10/2023 à 19:23

Le chef de la coalition d'opposition libérale, Donald Tusk, s'adresse à ses partisans à Varsovie, le 15 octobre, après les premiers résultats des élections législatives. JANEK SKARZYNSKI/AFP

DÉCRYPTAGE - Bien que les observateurs s'attendent à un réchauffement rapide des relations avec l'Allemagne et l'Ukraine notamment, imaginer un alignement total avec la politique de Bruxelles serait une erreur.

Après huit ans de batailles frontales avec Bruxelles, la Pologne a fait son choix dimanche: l'Europe, l'État de droit et la culture du compromis. C'est la raison pour laquelle cette nation divisée et à cran a donné la préférence à une coalition d'opposition libérale emmenée par Donald Tusk qui devrait bientôt être appelé à former un gouvernement. «Les Polonais choisissent la démocratie et la modération», a noté l'intellectuel conservateur centriste Aleksander Hall, soulagé de voir la

ABC Internacional

MONNET & CO

Luz en el túnel europeo

El drama de la guerra en Oriente Medio ha hecho que apenas se preste atención a la buena noticia que llega de Polonia

Polonia se dirige a un largo cambio de gobierno con Tusk al frente

JOSÉ M. DE AREILZA

EDITORIAL · Opinión

Polonia y Ecuador frenan en las urnas el auge de los populismos

Actualizado Martes, 17 octubre 2023 - 00:40

El regreso de Donald Tusk al frente de un país con 38 millones de personas es una excelente señal para los valores de la UE

Ver 27 comentarios

AFP

Las derrotas electorales de la derecha anticuropea en Polonia y el correísmo en Ecuador son buenas señales que abren una vía a la esperanza en dos regiones atenazadas por los populismos y esenciales para la estabilidad mundial, como son Europa del Este y América Latina. El populismo, sea de un signo u otro, es una de las grandes amenazas para la democracia liberal, por lo que la victoria del centro derecha que representan Donald Tusk y Daniel Noboa trasciende el ámbito de sus respectivos países

EL MUNDO

REGÍSTRATE GRATIS PARA SEGUIR LEYENDO

eprasa.pl 35833ab357

W Hiszpanii, podobnie jak we Francji i w Niemczech, przekaz mediów głównego nurtu, jeśli chodzi o najważniejsze sprawy i spory, jest zazwyczaj jednolity i ma zabarwienie jednoznacznie lewicowo-liberalne. Dziennik „El Mundo" uważany za centroprawicowy, bliski Partii Ludowej (PP), która zasiada razem z PO i PSL w Europejskiej Partii Ludowej (EPL) w ławach Parlamentu Europejskiego, zatytułował swój pierwszy artykuł po opublikowaniu wyników exit poll z Polski, wieczorem 15 października: „Nieznaczne zwycięstwo ultranacjonalistycznego PiS otwiera drzwi do liberalnego rządu Tuska".

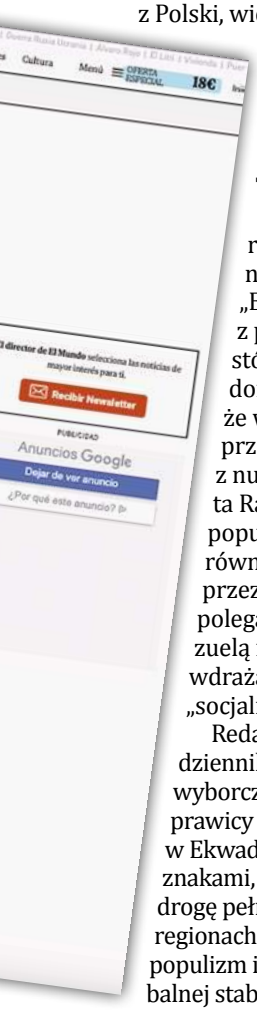

Z kolei w opinii od redakcji opublikowanej 17 października „El Mundo" cieszy się z przegranej „populistów" w Polsce i Ekwadorze. Zauważyć warto, że w Ekwadorze wybory przegrała kandydatka z nurtu byłego prezydenta Rafaela Correi, którego populizm, stawiany na równi z „populizmem" PiS przez hiszpańską gazetę, polegał na sojuszu z Wenezuelą i Kubą oraz na próbie wdrażania w Ekwadorze „socjalizmu XXI w.".

Redakcja hiszpańskiego dziennika pisze: „Porażki wyborcze antyeuropejskiej prawicy w Polsce i correizmu w Ekwadorze są dobrymi znakami, które otwierają drogę pełną nadziei w dwóch regionach opanowanych przez populizm i kluczowych dla globalnej stabilności, a mianowicie w Europie Wschodniej i Ameryce Łacińskiej. Populizm, w takiej czy innej postaci, jest jednym z największych zagrożeń dla liberalnej demokracji, dlatego zwycięstwo centroprawicy reprezentowanej przez Donalda Tuska i Daniela Noboę wykracza poza granicę ich krajów".

W sąsiedniej Francji nawet dziennik „La Croix" („Krzyż"), uchodzący w kręgach lewicowych za katolicki i konserwatywny, napisał na wstępie swojej „analizy" wyniku wyborów w Polsce, opublikowanej 16 października: „Kierowana przez Donalda Tuska proeuropejska koalicja, która ma rządzić Polską po wyborach 15 października, zamierza przywrócić rządy prawa i uwolnić fundusze europejskie. Jednak partia konserwatywna, która kontroluje instytucje, będzie prawdopodobnie mnożyć przeszkody".

W komentarzu redaktora naczelnego „La Croix", opublikowanym 19 października, dziennik posuwa się jeszcze dalej. W tekście zatytułowanym „Polska zachowuje swoją demokrację" czytamy, że wygrana liberałów i lewicy, będących skądinąd w większości zwolennikami wolnego dostępu do aborcji oraz ideologii gender i praw LGBT, „to dobra wiadomość dla demokracji, a także dla Unii Europejskiej, z którą mnożyły się spory".

Francuski centroprawicowy dziennik „Le Figaro" głosem dziennikarki Laure Mandeville, byłej korespondentki gazety w Moskwie, związanej z amerykańskim Atlantic Council, zajmującej się teraz głównie tematyką Europy Środkowo-Wschodniej, stwierdził 16 października, że „Polska wybiera Europę, demokrację i umiarkowanie".

A JEDNAK DEMOKRACJA

Choć, jak zauważył centroprawicowy dziennik z Włoch „Il Giornale" w artykule z 16 października zatytułowanym „Polska lekcja o autorytaryzmie i demokracji: tak odkłamała unijne kassandry", „zwycięstwo koalicji Donalda Tuska udowodniło, że pomimo oskarżeń o autokratyczne i nieliberalne zapędy demokracja w Polsce działa". Artykuł przypomina konflikt między Warszawą i Brukselą, wymieniając główne punkty sporne z ostatnich lat, konkludując jednak na końcu: „Cała krytyka i ataki ze strony Unii skutkowały przedstawieniem Polski jako państwa autorytarnego, charakteryzującego się brakiem opozycji, zniewoleniem sądownictwa i całkowitą kontrolą mediów i środowisk akademickich przez rząd. A jednak proces demokratyczny przebiegł bez zgrzytów i bez ograniczania prawa do głosowania – i to pomimo tego, że sondaże nie dawały pewnego zwycięstwa PiS. Nie jest to tak naprawdę zaskakujące. Społeczność europejska przyzwyczaiła się już do tych fałszywie alarmistycznych ostrzeżeń przed »suwerenistycznymi i autokratycznymi« rządami, wygłaszanych za każdym razem, gdy w jakimś kraju wybierany jest konserwatywny rząd, tak jakby miało to automatycznie prowadzić do dyktatorskiego dryfu. Patrząc na wzrost takich ugrupowań w 27 krajach Unii, być może strategia terroru nie działa jednak na korzyść tych, którzy postrzegają prawicę, jakkolwiek umiarkowaną czy skrajną, jako koszmar, który ma zniszczyć Europę".

Innym dysydenckim głosem, kontrastującym z ogólnym poczuciem chwilowej ulgi doznawanym w „obozie dobra", jak Francuzi ironicznie nazywają cały prounijny, proimigrancki, progenderowy, „antyfaszystowski" i moralizujący establishment polityczno-medialny, był komentarz od redakcji z 18 października probrexitowego, centroprawicowego dziennika „The Telegraph" w Wielkiej Brytanii, przedstawiony jako opinia zatytułowana: „UE może wyciągnąć złe wnioski z polskich wyborów". Czytamy w nim, że to właśnie „ingerencja [UE] w wewnętrzną politykę Polski była jednym z powodów, dla których PiS miał się tak dobrze przez osiem lat". Obecny rząd „ma zostać zastąpiony przez koalicję, na której czele stanie nie kto inny, jak Donald Tusk, były polski premier, lepiej znany w naszym kraju jako przewodniczący Rady Europejskiej w czasie referendum w sprawie brexitu i po nim. To właśnie pan Tusk powiedział kiedyś, że »specjalne miejsce w piekle« jest zarezerwowane dla tych, którzy prowadzili kampanię na rzecz wyjścia Wielkiej Brytanii [z UE]".

PiS przedstawiany był w mediach europejskich jako „nacjonalistyczny" i „antydemokratyczny"

Dalej czytamy też: „Bruksela jest zachwycona odejściem PiS po zaciekłych sporach, które prowadziła na temat jego reform prawnych i polityki migracyjnej, wstrzymując nawet miliardy euro dotacji i pożyczek należnych Polsce w oczekiwaniu na wybór rządu w Warszawie, który będzie bardziej akceptowalny dla Komisji". Zauważając, że Bruksela ma własną,

eprasa.pl 35833ab357

swoistą definicję praworządności, gazeta przewiduje, iż jeśli Donald Tusk nie poskromi instynktu eurokraty w sobie i nie położy kresu temu ciągłemu podważaniu polskiej suwerenności, to „jego ponowna kadencja może okazać się krótka". Zauważa też, że mimo wszystko PiS zdobył najwięcej głosów, a jego względna przegrana nie zmienia tego, że „populiści" „odnotowują sukcesy w Niemczech, we Włoszech i w Hiszpanii, a także w Europie Wschodniej – zwłaszcza na Węgrzech i Słowacji".

Włochy i Wielka Brytania cieszą się pluralizmem mediów mainstreamowych, którego dawno już nie ma w pozostałych trzech dużych państwach Europy Zachodniej. W Niemczech też nie trzeba sięgać po lewicową prasę, aby przeczytać, jak to „narodowo-populistyczny" czy „narodowo-konserwatywny" PiS był zagrożeniem dla demokracji. I piszą to dziennikarze w kraju, w którym jedna z dwóch największych partii opozycyjnych – Alternatywa dla Niemiec – jest oficjalnie podsłuchiwana przez biuro ochrony konstytucji, czyli przez niemiecką ABW, którą kieruje polityk z centroprawicowej CDU, konkurującej o ten sam elektorat, o przypadkach brutalnych fizycznych ataków na polityków AfD nie wspominając.

NIEMCY O „BŁOGOSŁAWIEŃSTWIE"

W centroprawicowym „Die Welt", będącym głosicielem atlantyzmu w Niemczech, w opinii opublikowanej 19 października pt. „Wynik wyborów w Polsce jest błogosławieństwem w tych trudnych czasach" czytamy, że „jeśli opozycja w Polsce rzeczywiście zatriumfuje, to będzie miała herkulesowe zadanie, aby naprawić szkody polityczne wyrządzone przez PiS – w sądownictwie, w kwestii aborcji i w krajobrazie medialnym". Autor stwierdza przy tym, że gdyby PiS udało się rządzić trzecią kadencję z rzędu, „kontynuowałby demontaż polskiej demokracji i praktycznie uniemożliwiłaby zmianę rządu". Dlatego też „w tych trudnych czasach błogosławieństwem jest zakończenie sojuszu między węgierską »nieliberalną demokracją« a Polską".

Na koniec autor zwraca jednak uwagę, że Niemcy nie są tu bez winy i powinny tę winę naprawić, korzystając z tej historycznej okazji: „Niemcy, najsilniejszy członek UE, mają teraz szczególne zadanie. W latach rządów Merkel, a także Scholza nie zrobiły nic, aby zapewnić Polsce należne jej miejsce w strukturze UE. Dlatego rozsądnie byłoby jak najszybciej to naprawić. Z historycznej odpowiedzialności. A także z obecnej świadomości, że poważnym błędem było niepotraktowanie poważnie na czas obaw Polski przed Rosją. UE potrzebuje silnego przyczółka w swojej wschodniej flance".

W niemieckiej prasie pojawia się rzecz jasna wątek o tym, że w kampanii PiS Niemcy były częstym celem ataków i były oskarżone o najgorsze, stąd też radość z wygranej opozycji, która jest postrzegana jako dająca wielką szansę na lepsze stosunki z Polską. „Oś Tusk-Scholz-Macron wzmocni Europę" – głosił 23 października w tytule „Die Welt".

Okrzyki radości Anne Applebaum pojawiły się na łamach „Le Point", „El Mundo" i wielu innych

W całej Europie udzielała się też bardzo aktywnie amerykańska dziennikarka Anne Applebaum, stojąca w USA po stronie demokratów. Okrzyki radości żony polityka PO Radosława Sikorskiego, że uratowana została w Polsce demokracja i że oto mamy dowód, iż z autokratycznymi populistami i nacjonalistami można wygrać, były słyszane na łamach francuskiego „Le Point" i hiszpańskiego „El Mundo", a także w wielu innych mediach Starego Kontynentu, które szeroko cytowały jej tekst opublikowany w amerykańskim „The Atlantic", gdzie opisała rzekomo opłakany stan polskiej demokracji po ośmiu latach rządów PiS.

Z kolei Niemiec Klaus Bachmann na łamach niemieckiego „Berliner Zeitung" dawał 21 października dobre rady, jak teraz naprawić demokrację w Polsce: skoro nowy rząd utworzony przez Donalda Tuska, o ile rzeczywiście powstanie, nie będzie miał wystarczającej większości, aby obalać prezydenckie weto, to powinien on rządzić za pomocą dekretów, łamiąc otwarcie polską konstytucję. Według niemieckiego profesora „są to metody, których PiS używał do rządzenia przez ostatnie osiem lat. Krótko mówiąc, jeśli nowy rząd naprawdę chce rządzić, musi skierować całą siłę państwa policyjnego, które PiS stworzył, przeciwko PiS i prezydentowi".

Niemiec zastrzega, że takie postępowanie „sprawiłoby, że Polska stałaby się nieco bardziej pluralistyczna, ale ani bardziej demokratyczna, ani bardziej podlegająca rządom prawa" i dodaje, iż nie zaleca tego typu rozwiązań. Tymczasem sam Donald Tusk kilka razy zapowiedział, że tak zamierza właśnie postąpić, jeśli polscy wyborcą pozwolą mu ponownie objąć stery rządu. . Sam Donald Tusk kilka razy zapowiedział, że tak zamierza postąpić, jeśli polscy wyborcą pozwolą mu ponownie objąć stery rządu.

– Proszę mi uwierzyć, to nie jest aż tak skomplikowane, żeby przywrócić stan prawny w różnych dziedzinach życia, w tych miejscach, w tych sprawach, gdzie nie tylko w mojej ocenie PiS wprowadził zmiany, łamiąc prawo czy konstytucję, czy prawa europejskie – zapewniał Donald Tusk w marcu w Bytomiu. – Wiem, że będzie dużo krytyków, ale ja – jeśli będzie to ode mnie zależało – na pewno się nie cofnę. Decyzje, które były decyzjami naruszającymi polskie prawo, polską konstytucję, prawo europejskie, ja będę uważał za decyzje z definicji nieważne.

Podobnie jak Niemiec Klaus Bachmann, były przewodniczący Rady Europejskiej, pomijał przy tym to, że mówi o ustawach przegłosowanych przez polski parlament, które, jak to już mówił wcześniej (jak chociażby w listopadzie 2022 r. w Sępólnie Krajeńskim), zamierza unieważnić bez debaty i bez głosowania w nowym parlamencie po to, aby nie dać prezydentowi Dudzie możliwości zawetowania decyzji nowej większości sejmowej i aby naprawa wymiaru sprawiedliwości „nie ugrzęzła w niekończących się debatach i żeby większość decyzji, które musimy podjąć, nie zależała od dobrej czy złej woli prezydenta Dudy".

Te zamiary mainstreamowe media na Zachodzie całkowicie przemilczają, gdy trąbią o wygranej demokracji i praworządności w Polsce po wyborach 15 października. Albo wręcz przeciwnie – jak w przypadku cytowanego wyżej głosu z Berlina – nawołują do tego, aby nowa władza w Polsce właśnie tak postępowała.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 35833ab357

FOT. ADOBE STOCK

PRZEDŁUŻONA PROMOCJA DLA NIEUKÓW

Amerykański stan Oregon w 2020 r. wprowadził zmianę w systemie edukacji. Od tego czasu, by ukończyć szkołę średnią, nie trzeba wykazywać się podstawową znajomością pisania, czytania i matematyki. Zdaniem urzędników departamentu edukacji wymaganie okazania się taką znajomością na testach było „przeszkodą dla uczniów historycznie marginalizowanych". Stan właśnie podjął decyzję o przedłużeniu tej zmiany do 2029 r. mimo protestów części mieszkańców, którzy wskazywali, że w ten sposób dyplomy uzyskiwane w Oregonie ulegają deprecjacji.

TRUMP POMYLIŁ ORBÁNA Z ERDOĞANEM

Były prezydent USA Donald Trump podczas niedawnego wiecu w New Hampshire postanowił pochwalić przed tłumem premiera Węgier. I wypalił: – Wiecie, jest taki człowiek, Viktor Orbán. Ktoś kiedyś o nim słyszał? On prawdopodobnie jest jednym z najsilniejszych liderów na świecie. To lider Turcji.

MASZYNISTA ZAWIESZONY PRZEZ PALESTYNĘ

Pasażerowie metra w Londynie skandowali: „Wolna, wolna Palestyna!". Do wykrzykiwania hasła zachęcał ich maszynista, który używał do tego głośników w wagonach. Pracodawca uznał, że maszynista wykorzystał system nagłaśniający pojazdu w sposób niewłaściwy. Mężczyzna został tymczasowo odsunięty od pracy po zakończeniu postępowania wyjaśniającego w sprawie tego incydentu.

CHIŃSKI BROWAR W TARAPATACH

Akcje czołowego chińskiego producenta piwa Tsingtao spały na giełdzie aż o 7,5 proc. Do sieci trafiło bowiem nagranie, na którym pracownik koncernu wspina się na zbiornik ze składnikami do produkcji piwa i oddaje do niego mocz. Firma zapewniła, że prowadzi dochodzenie w tej sprawie.

ODLOT PO GRZYBKACH

Joseph David Emerson, pilot Alaska Airlines, podczas lotu z Everett do San Francisco podróżował jako „pasażer rezerwowy". Linie umożliwiają swoim pracownikom tanie przeloty, ale bez gwarancji miejsca. Emerson został wpuszczony do kokpitu. W pewnym momencie rzucił się na kolegów z pracy i próbował wyłączyć systemy samolotu. Prawie udało mu się odciąć dopływ paliwa do silników. Mężczyzna został zatrzymany. Twierdzi, że walczył z depresją i jadł grzyby halucynogenne. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Rodzina jest najważniejsza

Bernard Jean Étienne Arnault. 74-letni francuski biznesmen i prezes koncernu LVMH, który w tym roku zapisał się w historii ludzkości jako trzecia osoba, której majątek przekroczył wartość 200 mld dol.

Kapitalizacja LVMH, do którego portfolio należą takie marki jak Louis Vuitton, Christian Dior czy Givenchy, biła w ostatnich latach rekordy, dzięki czemu Arnault stał się na krótko najbogatszym człowiekiem świata. W marcu, gdy notowania LVMH zaczęły nurkować z obawy o możliwy spadek popytu na dobra luksusowe, w zaledwie dwa dni stracił kilkanaście miliardów. Obecnie fortuna Francuza stopniała co prawda do marnych 174 mld dol., przez co liderem rankingu najzamożniejszych Ziemian znów jest założyciel Tesli Elon Musk (225,2 mld dol.), lecz Arnault nadal utrzymuje się w czołówce.

Biznesmen, który koncernem LVMH kieruje od 1989 r., ma na głowie spowolnienie w Chinach, możliwą recesję w UE i USA, a także pięcioro dorosłych dzieci, które pracując w imperium ojca, czekają, aż w końcu przejmą tron. 74-latek nie myśli jednak o szybkim przejściu na emeryturę. Jak poinformowały włoskie media – „Corriere della Sera" oraz „Il Sole 24 Ore" – aby zapobiec swarom o sprzedaż części akcji przez któreś z dzieci, a rodzinne imperium zabezpieczyć przed potencjalnie szkodliwymi decyzjami biznesowymi swoich pociech, prawnicy miliardera zawarli już w dokumentach zapis, że Bernard Arnault nieograniczoną władzę nad zbudowanym przez siebie imperium dzierżyć będzie aż do 95. urodzin. Jego dzieci nie mogą zaś sprzedać swych udziałów przez 30 lat, czyli do 2052 r. I tak dba się o spokój w rodzinie... ©℗

eprasa.pl 35833ab357

FOT. BERNARD BARRON/AFP/EAST NEWS

Z Nicolasem Montim, współzałożycielem paryskiego Obserwatorium Imigracji i Demografii (L'Observatoire de l'immigration et de la démographie)
rozmawia Piotr Włoczyk

Nie powtarzajcie błędów Francji

PIOTR WŁOCZYK: Ludzie, którzy nawołują do otwierania Europy na masową imigrację, twierdzą, że taka polityka przyczynia się do wzrostu zamożności naszego kontynentu. Czy imigracja opłaca się Francji?

NICOLAS MONTI: Imigracja oznacza dla finansów publicznych Francji koszt netto równy 1,4–1,6 proc. PKB. Rocznie to ok. 35–40 mld euro.

Dlaczego Francja dokłada do imigracji?

Po pierwsze, imigranci są mniej skłonni do znajdowania zatrudnienia. Spójrzmy na Algierczyków, którzy stanowią wśród nich największy odsetek. Według danych z 2017 r. 42 proc. Algierczyków powyżej 15. roku życia nie uczy się, nie pracuje ani nie pobiera emerytury. Ten odsetek jest trzy razy wyższy od średniej we francuskim społeczeństwie. To oznacza nieproporcjonalnie duże obciążenia dla finansów publicznych, ponieważ Francja to przecież państwo opiekuńcze. Połowa algierskich gospodarstw domowych żyje w mieszkaniach socjalnych, co stanowi wynik czterokrotnie gorszy niż wśród rodowitych Francuzów. I m.in. dlatego ten typ imigracji rodzi ogromne koszty dla finansów publicznych.

Wychodziłoby więc na to, że stereotypy są w tej kwestii z grubsza zgodne z rzeczywistością.

Ewidentnie imigracja nie wychodzi Francji na dobre i już 74 proc. Francuzów uważa, że mieszka u nas zbyt wielu imigrantów. Ta myśl jest wciąż nieco zbyt kontrowersyjna dla naszych mediów i elit. Dlatego mamy we Francji kryzys zaufania do demokracji. Choć mimo wszystko widać w naszych mediach pewne zmiany – coraz łatwiej jest podawać fakty na temat imigracji. Dyskurs publiczny na temat imigracji jest obecnie o wiele mniej skrępowany we Francji, niż było to jeszcze 10 czy nawet 5 lat temu. Powaga sytuacji sprawia, że coraz trudniej ignorować rzeczywistość, szczególnie po tym, co widzieliśmy latem na ulicach naszych miast...

A jak w tej ostatniej kwestii wyglądają statystyki?

Problemem we Francji jest to, że niektórych danych odnośnie do przestępstw nie wolno zbierać francuskim władzom. Chodzi tu m.in. o pochodzenie etniczne przestępców. Nie mamy tu twardych danych, ale oczywiście w większości kategorii kryminalnych, szczególnie jeżeli chodzi o brutalne przestępstwa, widać nadreprezentację imigrantów lub ich potomków. Dysponujemy danymi na temat obcokrajowców, którzy nie otrzymali jeszcze francuskiego obywatelstwa. Stanowią oni 7,7 proc. populacji Francji, ale w więzieniach reprezentują oni już 24,5 proc. wszystkich więźniów.

Jednym z mitów pokutujących przez wiele lat we Francji było przekonanie, że integracja to jedynie kwestia czasu. Przecież w demokracji każdy przybysz prędzej czy później stanie się przykładnym obywatelem.

To nieprawda, i to zarówno pod względem ekonomicznym, jak i kulturowym. Jeżeli spojrzymy na pierwsze pokolenie imigrantów z Afryki Północnej, Subsaharyjskiej lub z Turcji, to widzimy, że bezrobocie jest wśród tych ludzi przeciętnie dwa i pół–trzy razy większe niż wśród

eprasa.pl 35833ab357

Francuzów bez imigranckich korzeni. Oczywiście niektórzy imigranci radzą sobie świetnie, ale przeciętnie nie wygląda to dobrze. Średnio 37 proc. imigrantów żyjących we Francji nie ma żadnych konkretnych kwalifikacji, nawet ukończonej szkoły średniej. To wynik 2,5-krotnie gorszy niż wśród rdzennych Francuzów.

Młodzi muzułmanie żyjący we Francji są zazwyczaj bardziej zanurzeni w islamie niż ich rodzice. To dlatego coraz bardziej niepokoi problem tzw. równoległego społeczeństwa. 57 proc. muzułmanów poniżej 25. roku życia uważa, że szariat jest ważniejszy od francuskiego prawa. To wyższy odsetek niż wśród starszych muzułmanów! Religijne trendy są u nas oczywiste: już tylko 17 proc. Francuzów w wieku 18–24 lat uważa się za katolików, podczas gdy aż 13 proc. identyfikuje się z islamem. Już niedługo te linie się przetną… Problemy z integracją doskonale widać na przykładzie kobiet zasłaniających twarz. W ciągu dekady odsetek muzułmanek, które zasłaniają twarze, wzrósł o połowę!

Skoro we Francji istnieją równoległe społeczeństwa, to siłą rzeczy istnieją też równoległe wskaźniki dzietności.

Imigrantki z Maroka, Algierii i Tunezji mają we Francji więcej dzieci niż w swoich ojczystych krajach. Powodem jest oczywiście nasze państwo opiekuńcze. Algierki mają przeciętnie 3,7 dziecka, Marokanki i Tunezyjki – 3,5. Dzietność spadła we Francji w ciągu ostatnich 15 lat z 2,1 dziecka do 1,8, ale mamy tu przecież rozbieżne trendy. W ciągu ostatnich dwóch dekad liczba noworodków posiadających dwoje francuskich rodziców spadła o 17,5 proc., a liczba dzieci urodzonych we Francji z dwojga obcokrajowców wzrosła o 45 proc.

Czy francuska lewica trzeźwieje powoli, skoro widać coraz więcej dowodów na to, że równoległe społeczeństwa to zagrożenie dla Francji? I to nie tylko dla chrześcijan, lecz także dla ateistów...

Na francuskiej lewicy widać dwa podejścia do tego tematu. Część lewicy powoli otwiera oczy i protestuje, choćby przeciw złemu traktowaniu kobiet przez muzułmanów.

Jest jednak jeszcze inna część lewicy, której najbardziej znanym przedstawicielem jest Jean-Luc Mélenchon. Ten polityk lata temu protestował przeciw zasłanianiu twarzy przez muzułmanki. To już historia. Partia Mélenchona stara się zyskać przychylność najbardziej ortodoksyjnych muzułmanów, przedstawiając się jako grupa polityków, która najlepiej będzie reprezentowała ich interesy. Ale oczywiście w pewnym momencie sprzeczności okażą się nie do pogodzenia, skoro ta partia wspiera równolegle agendę LGBT. W którymś momencie Mélenchon będzie musiał porzucić jeden z tych elektoratów. Skoro pod względem demograficznym elektorat muzułmański jest bardzo perspektywiczny, to niewykluczone, że partia Mélenchona stwierdzi, że ten kierunek to dla niej recepta na zwycięstwo. Pamiętajmy, że na razie muzułmańskie społeczności nie zbudowały swoich własnych silnych partii i głosują raczej na lewicę.

Co Francuzi myślą na temat teorii „Wielkiego zastąpienia", w myśl której istnieje plan zastąpienia rodzimej populacji Europy ludźmi z Afryki i Bliskiego Wschodu?

Ta wizja wywołuje obawę w ogromnej części francuskiego społeczeństwa. Dwóch Francuzów na trzech obawia się „wielkiego zastąpienia".

Ale... to przecież miała być teoria spiskowa. Co to za teoria spiskowa, w którą wierzy większość ludzi?

To wielki paradoks. Ta myśl na dobre zadomowiła się na francuskiej scenie politycznej dzięki kandydaturze Érica Zemmoura, który otwarcie mówił o zastąpieniu ludności. Czy nazywamy to „wielkim zastąpieniem" czy nie, faktem jest, że obserwujemy bezprecedensowe zmiany demograficzne zarówno pod względem skali, jak i natury.

Doskonała francuska demograf Michèle Tribalat prognozuje, że ok. 2050 r. ludzie, których dziadkowie są rodowitymi mieszkańcami, będą stanowili mniejszość w kilku zachodnich krajach, m.in. we Francji. Ten scenariusz bazuje na kilku założeniach: dzietność pomiędzy różnymi grupami społecznymi będzie się diametralnie różniła, a imigracja do Francji będzie utrzymana na obecnym poziomie. Tylko zmiana polityki i ograniczenie imigracji do rozsądnego poziomu pozwolą na odroczenie tego scenariusza.

Dlaczego nie widzimy jeszcze takiej zmiany? Dlaczego niedawny chaos na ulicach francuskich miast nie zmusił francuskich polityków do drastycznych kroków?

Wynika to z kilku przyczyn. Po pierwsze, z różnic między grupami społecznymi. Elity żyją zazwyczaj w chronionych miejscach, a ich dzieci chodzą do szkół, które są głównie dla bogatych. I dlatego ci ludzie sami nie odczuwają raczej niebezpieczeństw, które przynosi do Francji masowa migracja.

Po drugie, mamy tu do czynienia z potężnym czynnikiem ideologicznym. Dla ogromnej części lewicy kolonializm był zbrodnią, za którą Europa ma w jakiś sposób „odpokutować" poprzez otwieranie się na masową imigrację – i dlatego trzeba utrzymywać tę politykę. To wszystko jest jednak skazane na klęskę. Afryka Subsaharyjska przeżywa ogromny boom demograficzny. Nie sposób ulżyć Afryce, przyjmując wszystkich tych ludzi w Europie. Te liczby są po prostu zbyt duże. Dziś w samej Nigerii rodzi się każdego roku więcej dzieci (210 mln ludzi i 8 mln noworodków) niż w całej UE (450 mln ludzi i 4 mln noworodków). Jesteśmy najstarszym kontynentem świata, naprzeciw nas leży najmłodszy. Nawet najbardziej radykalni ideolodzy docierają w końcu do punktu, w którym następuje czołowe zderzenie z rzeczywistością.

Jakie lekcje płyną dla Polski z problemów Francji?

Po pierwsze, nic się nie dzieje w magiczny sposób. Nie da się wpuszczać ogromnej liczby imigrantów pochodzących z różnych kultur i liczyć na to, że wszystko będzie w porządku.

Kluczowe są nie tylko różnice kulturowe, lecz także liczby. Jeżeli Polska chce być otwarta na jakiś rodzaj imigracji, to musicie pamiętać, że – po pierwsze – im mniej imigrantów wpuścicie, tym łatwiej będzie ich zintegrować ze społeczeństwem, a po drugie: nie wszyscy imigranci są tacy sami. Imigranci spoza Europy mogą u was stworzyć równoległe społeczeństwo, a to może doprowadzić do olbrzymich problemów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

NICOLAS MONTI
– ekspert do spraw migracji, współzałożyciel paryskiego Obserwatorium Imigracji i Demografii.

eprasa.pl 35833ab357

Maciej Pieczyński

Gospodarka

Putina wciąż stać na prowadzenie wojny. Rosyjska gospodarka, izolowana przez Zachód, otworzyła się na Chiny

Według danych moskiewskiej giełdy, opublikowanych 24 października, dolar potaniał o 49 kopiejek do niecałych 94 rubli. To najniższy kurs amerykańskiej waluty do rosyjskiej od sześciu tygodni. Zaskakujące umocnienie rubla jest spowodowane decyzją Putina. Dekret prezydencki zobowiązał znaczną część eksporterów do sprzedaży zysków w walutach obcych na rynku rosyjskim. Rublowi sprzyja też wzrost cen ropy, związany z niestabilną sytuacją na Bliskim Wschodzie.

Realne płace w pierwszym półroczu 2023 r. wzrosły o 7,1 proc. W kwartałach drugim i trzecim nie rósł deficyt budżetowy. Według prognoz do końca 2024 r. gospodarka rosyjska może wrócić do poziomu sprzed inwazji na Ukrainę. Jak widać, polityka sankcji i izolacji agresywnego mocarstwa nie przyniosła oczekiwanych skutków. Przyznaje to opozycyjny wobec Kremla i jednoznacznie prozachodni w swoich poglądach znany rosyjski ekonomista Władisław Inozemcew.

„Zachód nie uśmiercił też ekonomiki Rosji, lecz w pewnym sensie »podarował« ją Chinom. Udział Chin w sprzedaży samochodów osobowych na rosyjskim rynku wzrósł z 4 do 52 proc., komputerów – z 26 do ponad 80 proc., smartfonów – z 35 do 90 proc." – pisał Inozemcew na łamach „Gazety Wyborczej" na początku października. Chiny zastąpiły Europę w roli największego partnera gospodarczego Rosji. To właśnie transakcje z Państwem Środka obejmują 37 proc. obrotów rosyjskiego handlu zagranicznego. Chiny stały się też głównym finansowym kontrahentem Rosji. 44 proc. transakcji na moskiewskiej giełdzie walutowej przeprowadza się w juanach.

REKORDOWY HANDEL Z CHINAMI

Pierwszy rok wojny był rekordowy dla wymiany handlowej między Rosją a Chinami. Wymiana ta osiągnęła poziom 190 mld dol. To niemal 30-procentowy wzrost w porównaniu z rokiem 2021. Ta tendencja rośnie. W ciągu dziewięciu miesięcy 2023 r. obroty w handlu dwustronnym pomiędzy Rosją a Chinami wyniosły 176,4 mld dol. (wzrost o 29,5 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim). W połowie października Putin złożył wizytę w Pekinie, podczas odbywającego się tam Forum Pasa i Szlaku. To była dopiero druga wizyta zagraniczna rosyjskiego prezydenta po tym, jak Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze wydał nakaz jego aresztowania. Chińskie media nazwały Putina „najważniejszym gościem" forum. Pekin tym bardziej docenia tę wizytę, że zachodni liderzy ignorują tego typu przedsięwzięcia.

Jak zauważył w rozmowie z BBC ekspert Centrum Carnegie Aleksandr Gabujew, z perspektywy Chin to właśnie Rosja urasta więc do rangi najważniejszego europejskiego partnera. Partnera wciąż atrakcyjnego. Mowa w końcu o wielkim państwie, stałym członku Rady Bezpieczeństwa ONZ, dysponującym bronią atomową. Uzależnienie gospodarki rosyjskiej od Chin rośnie, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę wysokie technologie. W tej sferze Pekin podbijał Moskwę jeszcze na długo przed wybuchem pełnowymiarowej wojny na Ukrainie. Już w 2016 r., po pierwszej fali sankcji związanych z aneksją Krymu i destabilizacją Donbasu, Chiny zastąpiły Niemcy jako głównego dostawcę technologii do Rosji, a w 2022 r. stały się dla Rosji w zasadzie jedynym ich dostawcą. Latem 2023 r. zachodnie media informowały o tym, że Pekin dostarcza Moskwie hełmy, kamizelki kuloodporne, drony czy mikroczipy. Oficjalnie chińskie władze temu zaprzeczyły. Według Temura Umarowa, sinologa z Centrum Carnegie, Pekin woli zachować ostrożność, dlatego przekazuje te towary przez pośredników z Azji Środkowej czy Bliskiego Wschodu.

Gdy po wybuchu wojny Rosję zaczęły opuszczać zachodnie koncerny, ich miejsce zajmowały azjatyckie marki. Rosjanie zamienili adidasy i „najki" na buty, spodenki czy koszulki chińskiej firmy Li-Ning – jednego z największych na świecie producentów odzieży sportowej.

eprasa.pl 35833ab357

na wojnie

FOT. ADOBE STOCK

Chińczycy zdominowali również branżę IT. Rosyjski rynek podbijają komputery marki Machenike. Ekspansja ze Wschodu nie ominęła także motoryzacji. Pod koniec 2022 r. z 60 marek samochodowych, prowadzących sprzedaż w Rosji, pozostało jedynie 14. W tym trzy rosyjskie i aż 11 chińskich. Rosyjski rynek motoryzacyjny jest więc w 78 proc. rynkiem chińskim.

To wszystko jednak nie oznacza, że sankcje całkowicie uniemożliwiają sprowadzanie aut z Zachodu czy z Dalekiego Wschodu. Już od pierwszych miesięcy wojny Rosjanie omijają sankcje poprzez tzw. import równoległy. Polega on na zakupie objętych sankcjami towarów za pośrednictwem krajów trzecich. Na import równoległy oficjalnie zezwoliła Duma Państwowa. Rosyjskie ministerstwo handlu sporządziło wykaz marek, które można legalnie importować z innego kraju. Tak się składa, że w wykazie znalazły się marki pochodzące z krajów, które przyłączyły się do sankcji. Rolę „pośredników" w omijaniu sankcji pełnią głównie Turcja, Zjednoczone Emiraty Arabskie czy państwa Azji Środkowej. Nagle okazało się, że Kazachstan, Kirgistan czy Armenia stały się nieomal potentatami w dziedzinie eksportu do Rosji telefonów komórkowych czy samochodów. W praktyce wygląda to tak, że osoby prywatne lub firmy kupują mniejszą lub większą ilość towaru i sprzedają, często za pośrednictwem platform internetowych, kupcom rosyjskim. Przy czym, rzecz jasna, sprzedają po mocno zawyżonej cenie. Import równoległy jest więc na dłuższą metę nieopłacalny. Tym sposobem nie da się zastąpić zachodnich produktów, można jedynie częściowo i punktowo uzupełnić ich braki.

Gdy Zachód przestał kupować to, co Rosja ma najcenniejszego, czyli surowce, naturalną reakcją Moskwy był zwrot ku Wschodowi. To, za co nie chciały płacić Putinowi państwa europejskie, chętnie kupują teraz kraje azjatyckie. Głównie Chiny i Indie. Rośnie eksport nie tylko do Rosji, lecz także z niej. Obejmuje on przede wszystkim ropę naftową, gaz i węgiel. W 2022 r. 70 proc. surowców energetycznych, importowanych przez Chiny, pochodziło z Rosji. W pierwszym półroczu 2023 r. Rosja stała się dla Chin głównym dostawcą ropy, wyprzedzając Arabię Saudyjską. Indie zanotowały aż sześciokrotny wzrost importu tego surowca z Rosji. Ropa transportowana jest drogą morską. Żeby uniknąć sankcji, armatorzy rejestrują tankowce w krajach, które nie wprowadziły sankcji wobec Rosji. Tak powstała tzw. flota cienia. Liczy prawdopodobnie 600 tankowców, czyli 10 proc. ich globalnej liczby. Na tę „flotę" składają się statki sprzedane przez Europejczyków azjatyckim firmom po inwazji na Ukrainę oraz jednostki, które wcześniej w taki sam sposób służyły do omijania sankcji władzom Iranu i Wenezueli.

Moskwa znalazła również azjatycką alternatywę dla gazociągów północnych. Już od 2019 r. błękitne paliwo z Rosji płynie do Chin przez gazociąg Siła Syberii. W przyszłym roku ma ruszyć budowa Siły Syberii 2. Ma to być zamiennik Nord Stream 2.

Ożywienie gospodarki wynika w dużej mierze z działań władz państwa. Kreml wydaje ogromne sumy pieniędzy na finansowanie armii i przemysłu zbrojeniowego, budowę infrastruktury, podniesienie emerytur, wypłaty żołdu dla zmobilizowanych czy odszkodowania dla rodzin poległych na froncie żołnierzy. Wydatki na produkcję broni stanowią ok. 2,8 proc. PKB, czyli akurat tyle, o ile w tym roku ma się on powiększyć. Te wszystkie inwestycje zapewniły rozwój wielu branż. Paradoksalnie nawet fala niezadowolenia społecznego po ogłoszeniu częściowej mobilizacji jesienią ubiegłego roku wywarła pozytywny wpływ na pewne aspekty sytuacji gospodarczej. Tysiące Rosjan uciekło wówczas z kraju w obawie przed wysłaniem na front. To była najbardziej masowa fala emigracji po 24 lutego 2022 r. W efekcie spadło bezrobocie, a na rynku pracy powstał deficyt. Z jednej strony zaczęło brakować rąk do pracy, ale z drugiej strony dzięki temu wzrosły płace. Po raz pierwszy od 15 lat pensje rosną szybciej niż zyski przedsiębiorców, a różnica między zarobkami kobiet i mężczyzn zmniejszyła się prawie o jedną czwartą. Kolejnym paradoksem jest zaskakująco pozytywny dla gospodarki rosyjskiej skutek zachodnich sankcji personalnych. Zostało nimi objętych ponad 1,8 tys. Rosjan, w tym oligarchów. Zaczęli oni masowo wracać do kraju, wzmacniając

eprasa.pl 35833ab357

rodzimą ekonomikę. W ten sposób w ciągu dwóch pierwszych lat wojny do Rosji wróciło 50 mld dol. Sankcje sprawiły, że oligarchom przestało się opłacać wywozić kapitał za granicę. Zmuszeni są inwestować w Rosji. Zachód w pewnym sensie zatem, wbrew własnym zamiarom, wepchnął rosyjskie elity w ramiona Kremla. Ponadto Moskwa przywłaszczyła sobie wart 40 mld dol. majątek należący do inwestorów zagranicznych.

Największe zagrożenie dla gospodarki rosyjskiej Inozemcew upatruje w inflacji, która jednak, w jego ocenie, nie doprowadzi do poważnych zmian politycznych. „Poddani Putina nie żywią dziś nadziei na podniesienie swojej stopy życiowej" – komentuje ekonomista. Jak wiadomo, Rosjanie są o wiele bardziej wytrzymali na złą sytuację gospodarczą niż społeczeństwa Zachodu. Generalnie przyzwyczajeni są do zaciskania pasa. Lodówka z reguły przegrywa tam z telewizorem. W pewnym uproszczeniu można stwierdzić, że mogą fizycznie głodować, byle psychicznie karmić się imperialną dumą. Ponadto powszechna jest świadomość, że wojna musi prowadzić nie tyle nawet do wyrzeczeń, ile wręcz do upadku gospodarki. Tymczasem po 24 lutego 2022 r. nic takiego nie miało miejsca. Życie w wielkich miastach płynie tak, jak płynęło wcześniej.

Trzeba też brać pod uwagę to, że wojna w Rosji zawsze była uważana za synonim upadku gospodarczego, jako czas deficytu, kartek na żywność i ogromnych kolejek. Dziś do niczego takiego nie dochodzi, a życie w wielkich miastach płynie tak, jakby się nic nie działo. Kreml włożył w gospodarkę rosyjską dodatkowe środki oceniane na od 4 do 6 proc. całego PKB. To zaś, jak przekonuje Inozemcew, zapewnia wzrost gospodarczy na następne dwa–trzy lata.

SYMPTOMY KRYZYSU

Jednocześnie widać też symptomy kryzysu. Szczególnie na wewnętrznym rynku paliw, których ceny rosną od początku 2023 r. Są też problemy z punktowym zaopatrzeniem stacji benzynowych. Latem rolnicy skarżyli się, że z powodu braku paliwa nie są w stanie dokończyć żniw. Dlatego też władze zakazały eksportu oleju napędowego i benzyny. Według Kremla problemy z dostępnością paliw były spowodowane celowym działaniem branży, która po prostu wykorzystywała atrakcyjność cen eksportowych. Jak jednak czytamy w raporcie Filipa Rudnika, eksperta z Ośrodka Studiów Wschodnich, realne przyczyny leżą w krajowych regulacjach i charakterystyce rynku. Ponadto funkcjonowanie sektora zaburzyły dodatkowo zachodnie sankcje. Władze z jednej strony zakazały eksportu, z drugiej strony zwiększyły subsydia dla branży. Producentom nadal nie opłaca się sprzedaż paliwa na rynku wewnętrznym. Konflikt między nimi a władzą wciąż nie został rozwiązany. Z obu stron ma charakter demonstracyjny. Władza zakazuje eksportu, rafinerie ograniczają produkcję. Ceny paliw spadły, ale tylko na giełdzie i tylko na chwilę. W obrocie detalicznym nadal rosną. Występuje konflikt interesów. Władza potrzebuje paliwa z jednej strony dla armii, żeby prowadzić wojnę na Ukrainie, a z drugiej strony na rynek wewnętrzny po niskich cenach, aby nie denerwować elektoratu przed przyszłorocznymi wyborami prezydenckimi. Paliwowi oligarchowie, jakkolwiek zależni od Kremla, chcą jednak zarabiać, a największe profity daje eksport, coraz bardziej problematyczny ze względu na sankcje.

10,8 bln rubli

ROSJA PLANUJE TĘ REKORDOWĄ KWOTĘ WYDAĆ NA ARMIĘ. TO TRZY RAZY WIĘCEJ NIŻ W 2021 R.

Według Międzynarodowej Agencji Energetycznej w styczniu 2023 r. rosyjskie dochody ze sprzedaży ropy spadły o jedną czwartą w porównaniu ze styczniem 2022 r. Sankcjom podlega 70 proc. aktywów rosyjskiego sektora bankowego. Zamrożonych jest ok. 20 mld euro aktywów należących do ponad 1,5 tys. osób i podmiotów objętych sankcjami. Nie można powiedzieć, że Rosja nie odczuła skutków presji sankcyjnej ze strony Zachodu. Jednocześnie nie sposób stwierdzić, że wprowadzone ograniczenia odniosły jakiś realny skutek. Rosja nie tylko nadal prowadzi wojnę, lecz także jeszcze ją na tę wojnę stać. W drugim kwartale 2023 r. tempo wzrostu gospodarczego wyniosło 4,9 proc. Ożywienie dotyczy zarówno usług, jak i przemysłu.

W większości sektorów zorientowanych na popyt wewnętrzny produkcja osiągnęła lub nawet przekroczyła poziom sprzed wybuchu wojny. Produkcję napędzają jednak przede wszystkim zamówienia dla wojska. Rosyjska gospodarka coraz bardziej przestawia się na wojenne tory. Pierre Briançon z Agencji Reutera prognozuje, że Rosję czeka kryzys, gdy zmniejszą się już wydatki związane z prowadzeniem wojny. „Częściowe obchodzenie sankcji nie zrekompensuje utraty europejskich czy amerykańskich technologii. Ograniczenie inwestycji w szkoły i edukację spowodowane tym, że priorytetem państwa są siły zbrojne, doprowadzi do zmniejszenia produkcji w średniej i dłuższej perspektywie, a ograniczenie inwestycji w ochronę zdrowia tylko pogorszy katastrofalną sytuację demograficzną" – uważa ekspert.

Z punktu widzenia Putina jednak najważniejsze jest, że wciąż stać go na prowadzenie wojny. Zgodnie z zapisami budżetowymi w przyszłym roku Rosja ma wydać na armię rekordową sumę 10,8 bln rubli. Trzy razy więcej niż w 2021 r., gdy wojna była już w planach. Oprócz pieniędzy wydawanych oficjalnie na siły zbrojne są też wydatki resortów cywilnych, które służyć mają prowadzeniu działań wojennych. Chodzi np. o wydatki ministerstwa ochrony zdrowia na leczenie rannych czy ministerstwa budownictwa i gospodarki komunalnej na budowę umocnień. Według wyliczeń niezależnego rosyjskiego portalu The Insider w przyszłym roku na cele związane z wojną Rosja przeznaczy 42 proc. swoich wydatków budżetowych. Kreml obiecuje, że podatków nie podniesie. Dlatego liczy na to, że uda się zarobić na sprzedaży ropy. Wojna na Bliskim Wschodzie zdecydowanie więc jest na rękę Moskwie. Na razie jednak wzrost cen nie jest tak wysoki, aby pozwolił Putinowi zrealizować najbardziej ambitne plany. Jest jeszcze Fundusz Dobrobytu Narodowego, gdzie przechowywane są nadwyżki zysków z czasów naftowej koniunktury. W 2024 r. po raz pierwszy w epoce Putina wydatki socjalne nie będą największą pozycją w budżecie, ustępując miejsca potrzebom sił zbrojnych. Przed wyborami prezydenckimi elektorat będzie musiał najeść się dumą ze zwycięstw na froncie ukraińskim.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 35833ab357

REPUBLIKA

DZIENNIKARSKI POKER

od **poniedziałku**
do **czwartku**
18:25

Jeden z najważniejszych wieczornych programów publicystyczny Telewizji Republika. **Adrian Stankowski**, **Piotr Lisiewicz** i **Tomasz Sakiewicz** wraz z zaproszonymi do studia politykami, ekspertami i historykami omawiają najważniejsze wydarzenia i najbardziej istotne dla Polski i Polaków tematy.

RepublikaTV @RepublikaTV Telewizja Republika @RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl 35833ab357

Zła zmiana

Jacek Przybylski

W ten weekend znów przeszliśmy z czasu letniego na zimowy. Podobnie jak mieszkańcy 70 innych państw znów zrobiliśmy to bez sensu. Zmiana czasu szkodzi zdrowiu, powoduje niepotrzebny chaos i nie przynosi korzyści gospodarce. Od lat jej zniesienia chce więc większość Europejczyków, ale politycy wciąż nie znajdują czasu, by pozbyć się złej zmiany

Gdzie dwóch Polaków, tam trzy zdania – głosi stare polskie przysłowie. Tymczasem przekonanie o bezsensowności zmiany czasu to jedna z niewielu kwestii, która od lat łączy zdecydowaną większość Polaków. W badaniu CBOS z 2018 r. aż 78,3 proc. ankietowanych opowiedziało się za zniesieniem zmiany czasu. Niewiele mniej, bo 74 proc., uznało, że chciałoby, aby w Polsce na stałe wprowadzono czas letni. W roku 2019 sondaż powtórzono i… liczba zwolenników grzebania przy wskazówkach wzrosła do 79,2 proc. Z badania przeprowadzonego przez IBRiS dla Radia Zet w roku 2022 wynikało zaś, że do grona przeciwników zmiany czasu zaliczało się 77 proc. respondentów, z czego na pytanie, czy opowiadają się za zniesieniem zmiany czasu, 47,2 proc. odpowiedziało „zdecydowanie tak", a 29,8 proc. „raczej tak". Przeciwnego zdania było niespełna 14 proc. badanych, z czego 9,1 proc. powiedziało „kategorycznie nie", a 4,8 proc. „raczej nie". Zdania w tej sprawie nie miało jedynie 9,1 proc. ankietowanych.

W kwestii zmiany czasu nie chodzi wyłącznie o nastroje, lecz także o koszty. Konkretnych, merytorycznych powodów, aby przestać majstrować przy czasie, jest mnóstwo. Niepotrzebny proces powoduje bowiem utrudnienia m.in. w branży logistycznej, w bankach (które muszą wyłączać na ten czas systemy inter-

Już pięć lat temu w badaniu CBOS 78,3 proc. pytanych Polaków opowiedziało się za zniesieniem zmiany czasu

eprasa.pl 35833ab357

FOT. ADOBE STOCK

netowe i dopilnować, aby po zmianie czasu bankowość elektroniczna działała jak należy) czy też na kolei. Od lat obowiązuje zasada, że jesienią pociągi zatrzymują się wówczas w nocy pod semaforami na godzinny przymusowy postój. O godz. 3 maszyniści przestawiają zegarki na godz. 2 i ruszają w dalszą podróż. Bezpośrednie konsekwencje zmiany czasu odczuły też osoby, które w ostatni weekend miały nocną zmianę – musiały bowiem pracować o godzinę dłużej (zgodnie z prawem zostanie im to doliczone do nadgodzin – co oczywiście generuje dodatkowe koszty dla pracodawców – lub w innej dobie będą mogli sobie godzinę odebrać). Wiosną, podczas zmiany czasu z zimowego na letni, pracownicy będą oczywiście pracować o godzinę krócej, ale zachowają wówczas prawo do wynagrodzenia.

NIŻSZA WYDAJNOŚĆ, WIĘCEJ ZAWAŁÓW I WYPADKÓW

Niekorzystne konsekwencje zmiany czasu odczuwa większość z nas. W XXI w. dzień pracy rozpoczyna się bowiem dużo później niż ponad 100 lat temu, gdy Niemcy oraz Austro-Węgry wprowadzały w życie pomysł podziału roku na czas zimowy oraz letni, aby właściciele fabryk mogli korzystać z większej ilości darmowego światła słonecznego. Obecnie wiele osób zaczyna pracę nie o godz. 6 czy 7, ale o 8 albo nawet o 9. O pozytywnych efektach zmiany czasu wynikających z jaśniejszych poranków nie ma więc mowy – z różnych badań wynika, że majstrowanie przy wskazówkach w najlepszym razie nie powoduje zmian w zapotrzebowaniu na energię elektryczną, a w wielu przypadkach może przynosić więcej szkody niż pożytku.

Jedno z badań przeprowadzonych w Australii na przełomie XX i XXI w. pokazywało, że gdy Australijczycy budzili się i szli spać o godzinę wcześniej niż zwykle, przekładało się to po prostu na przesunięcie godzin, w których zużywali energię elektryczną, a nie na to, że używali jej mniej. Z kolei z badania przeprowadzonego przez naukowców Uniwersytetu Kalifornijskiego w amerykańskim stanie Indiana – który dopiero w 2006 r. zdecydował się na wprowadzenie zmian czasu – wynika, że mieszkańcy tego stanu na tej zmianie nic nie zaoszczędzili, wręcz przeciwnie – rachunki osób fizycznych za energię wzrosły w roku wprowadzenia zmian o niemal 7 mln dol. (Hawaje oraz Arizona nadal używają jednego czasu przez cały rok, a co najmniej 13 innych stanów miało zamiar przejść wyłącznie na czas letni, choć taki plan poza akceptacją lokalnych władz wymaga również zgody Kongresu). „Rytuał polegający na zmianie czasu dwa razy w roku jest po prostu głupi. Rezygnacja z niego ma przytłaczające poparcie zarówno wśród partii politycznych, jak i wśród społeczeństwa. Wierzę, że w obecnym Kongresie uda nam się to wreszcie osiągnąć" – stwierdził znany konserwatywny senator Marco Rubio z Florydy w komunikacie wydanym w marcu obecnego roku, przy okazji ponownego wniesienia pod obrady projektu ustawy „kładącej kres przestarzałej praktyce zmiany zegarów dwa razy w roku".

Na razie Rubio i innym senatorom nie udało się jeszcze przeforsować zniesienia zmiany czasu w całych USA, choć z różnych badań amerykańskich naukowców wynika również, że w okresie dwu-, trzytygodniowej aklimatyzacji po zmianie czasu spada wydajność pracowników. A to przecież niejedyne negatywne konsekwencje zdrowotne związane z grzebaniem przez rządzących przy dobowym rytmie dnia. Lekarze od dawna alarmują, że zmiana czasu to duży stres dla organizmu, przez który w ciągu pierwszych dni rośnie ryzyko zawału serca, udaru mózgu, a także chorób sercowo-naczyniowych. Regularne zakłócanie rytmu dobowego może też zwiększać ryzyko zachorowania na nowotwory, cukrzycę czy otyłość.

Przez przeprowadzaną dwukrotnie w ciągu roku zmianę czasu wzrasta ryzyko chorób, samobójstw, a także wypadków samochodowych

Pocieszające jest jednak to, że choć zmiana czasu z zimowego na letni – według amerykańskich naukowców – sprawia, że w poniedziałki tuż po przesunięciu wskazówek do przodu liczba ataków serca rośnie średnio o 24 proc., to jesienią, gdy przynajmniej część z nas może pospać dłużej, liczba zawałów maleje o 21 proc. Psycholodzy ostrzegają jednak, że zaburzenie rytmu dobowego może również prowadzić do zwiększonej liczby samobójstw. Mogą się też pojawić zaburzenia snu i nastroju. Z niektórych badań przytoczonych w raporcie Fundacji Republikańskiej wynika również, że zmiana czasu niekorzystnie wpływa też na zachowanie inwestorów giełdowych w USA i Kanadzie. „We wszystkich przypadkach obserwowana jest wyraźna przewaga weekendów zakończonych stratą w przypadku pierwszych poweekendowych

eprasa.pl 35833ab357

dni po zmianie czasu. Zmniejszają się również osiągane statystyczne dodatnie stopy zwrotu" – zauważyli przed laty autorzy raportu Fundacji Republikańskiej.

Z badań amerykańskich oraz kanadyjskich naukowców wynika z kolei, że zmiana czasu dosłownie nas zabija. Powoduje bowiem wzrost m.in. liczby wypadków drogowych, zwłaszcza w ciągu pierwszych kilku dni po cofnięciu wskazówek (lub przesunięciu ich do przodu). Autorzy jednego z raportów opublikowanych w USA już w 1995 r. szacowali, że gdyby czas letni obowiązywał przez cały rok w latach 1987–1991, to w Stanach Zjednoczonych mogłoby nie dojść do 901 śmiertelnych wypadków (w tym 727 dotyczących pieszych).

Z opublikowanego w listopadzie ubiegłego roku badania w USA wynika, że tylko w ciągu pierwszego tygodnia następującego po jesiennej zmianie czasu liczba kolizji z dziką zwierzyną rośnie o 16 proc. Według szacunków amerykańskich naukowców pozostawienie przez cały rok wyłącznie czasu letniego nie tylko zmniejszyłoby liczbę ofiar śmiertelnych oraz rannych w tego typu wypadkach, lecz także pozwoliłoby zaoszczędzić 1,19 mld (!) dol. rocznie.

GŁOS MILIONÓW ZLEKCEWAŻONY

Czas letni i zimowy stosuje nadal około 70 państw na świecie, w tym m.in. Stany Zjednoczone, Kanada, Meksyk, Australia czy Nowa Zelandia. W większości państw Bliskiego Wschodu oraz Afryki nie majstruje się bez sensu przy wskazówkach zegarków. W Europie rozróżnienia na czas zimowy i letni nie stosuje tylko Islandia, Rosja i Białoruś. Z kolei Japończycy wyliczyli, że stosowanie przez cały rok tylko jednego czasu prowadzi m.in. do zmniejszenia rocznie emisji dwutlenku węgla nawet o 400 tys. ton i zaoszczędzenia ponad 900 mln litrów paliwa. W Kraju Kwitnącej Wiśni szybko wyciąga się wnioski z danych. Ze zmiany czasu narzuconej przez amerykańskie władze okupacyjne w 1945 r. zrezygnowano w Japonii w roku 1951.

W ostatnich latach kilka razy niewiele brakowało i w krajach Unii Europejskiej również przez cały rok obowiązywałby jedynie czas letni. „Zatrzymajmy złą zmianę" – apelowali już w 2016 r. przedstawiciele Fundacji Republikańskiej i Stowarzyszenia KoLiber, proponując przyjęcie na stałe czasu letniego.

Komisja Europejska już w 2018 r. przeprowadziła w tej sprawie publiczne konsultacje, na udział w których zdecydowało się aż 4,6 mln Europejczyków (najwięcej w historii tego typu badań). Zdecydowana większość z ankietowanych przez KE (aż 84 proc.) powiedziała wówczas jasno: „Należy raz na zawsze skończyć z majstrowaniem przy czasie". Urzędnicy w Brukseli sprawiali wówczas wrażenie, jakby jakieś elementy rzeczywistego życia szarych mieszkańców UE czasem do nich jednak docierały. Biorąc pod uwagę opinię obywateli krajów członkowskich, a także liczne badania naukowe, we wrześniu 2018 r. Komisja Europejska opublikowała projekt dyrektywy o zniesieniu zmiany czasu na terenie całej Unii Europejskiej od 1 kwietnia 2019 r.

Wyznaczony termin okazał się jednak zbyt ambitny. W marcu 2019 r. Parlament Europejski postanowił dać rządom jeszcze dwa lata na dostosowanie przepisów i ogłosił wówczas, że w 2021 r. ostatni raz w Unii Europejskiej trzeba będzie dzielić czas na letni i zimowy. I co? I nic.

Największymi zwolennikami przejścia na stałe na czas letni są Polacy, Portugalczycy i Cypryjczycy

Okazało się, że nawet tak prosta rzecz pokonała przywódców krajów członkowskich. Sprawa utknęła na poziomie Rady Unii Europejskiej, a jedną z wymówek była… tak, zgadli państwo – epidemia COVID-19. Poza tym urzędnicy nie mieli czasu zająć się sprawą zmiany czasu, ponieważ Brytyjczycy zarządzili brexit, potem wybuchł kryzys migracyjny, a do tego Rosja zaatakowała Ukrainę…

Trzeba więc uzbroić się w cierpliwość, bo choć większość europejskich narodów nie chce zmiany czasu, a żyjący z ich podatków politycy łaskawie już to nawet dostrzegli i zdecydowali, że kiedyś tam trzeba będzie tę wolę ludzi uszanować, to i tak nadal dwa razy do roku karnie przestawiamy wskazówki w zegarkach. I mimo kilogramów zgromadzonych w tej sprawie dokumentów i analiz w tej sprawie będziemy tak robić jeszcze przez kilka następnych lat.

LEPSZY CZAS LETNI CZY ZIMOWY?

Na razie obowiązuje zalecenie Komisji Europejskiej wydane w październiku 2021 r., aby czas zmieniać tak jak dotychczas aż do roku 2026. I zgodnie z tym zaleceniem władze w Warszawie wydały stosowne rozporządzenie. Nie postawiłbym jednak złamanego euro, że akurat rok 2026 będzie datą ostatecznej rezygnacji z dzielenia przez Europejczyków czasu na letni i zimowy. Nikt bowiem nie ogłosił jeszcze, kiedy wreszcie coś się w tej kwestii zmieni.

A przecież przed odwołaniem zmian czasu trzeba by jeszcze ostatecznie podjąć decyzję, czy lepiej na stałe przyjąć czas zimowy czy może jednak letni. To urzędnikom i politykom może zająć kolejne lata, ponieważ Unia Europejska tradycyjnie i w tej sprawie jest podzielona. Największymi zwolennikami przejścia na stałe na czas letni są Polacy, Portugalczycy i Cypryjczycy. Z kolei Finowie, Duńczycy i Holendrzy woleliby ostatni raz przesunąć wskazówki zegarków jesienią i czas zimowy zostawić już na zawsze. Oczywiście w teorii każdy kraj mógłby zdecydować w tej sprawie samodzielnie, ale wówczas w Europie nie byłoby już trzech prostych stref czasowych i powstałby jeszcze większy chaos.

Równie podzieleni są mieszkańcy Stanów Zjednoczonych. Sondaż dla Associated Press z 2019 r. pokazywał, że 31 proc. Amerykanów chciałoby, aby przez cały rok obowiązywał czas letni (wprowadzony w USA po raz pierwszy podczas drugiej wojny światowej i nazywany wówczas „czasem wojennym"), 40 proc. preferuje czas zimowy (standardowy), a 28 proc. najchętniej zmieniałoby jednak czas dwa razy do roku.

Kolejna zmiana czasu we wszystkich krajach członkowskich Unii Europejskiej nastąpi już w marcu 2024 r. I chociaż urzędnicy do tego czasu nic dobrego w tej sprawie zrobić nie zdążą, to można być pewnym, że w prasie i na portalach znów będzie wiele podobnych do tego tekstów. Dziennikarze z całej Europy od lat nie mogą się bowiem nadziwić, że przez tyle lat politycy nie potrafią załatwić chociaż tej jednej rzeczy.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 35833ab357

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Przenośnia polityczna

Jak słusznie zauważył jeden z polityków Koalicji Obywatelskiej, Donald Tusk – składając przyrzeczenie, że już nazajutrz po wygraniu wyborów pojedzie i odblokuje pieniądze z KPO – po prostu użył „przenośni politycznej". Czyli przenośni przenoszącej wyborców ze świata politycznych obiecanek, którymi są mamieni, wprost do świata zderzenia z rzeczywistością.

Tak, trzeba przyznać, że po ośmiu latach rządów PiS trochę odwykliśmy od używania, a zwłaszcza nadużywania, przez polityków takich „przenośni politycznych". Takich jak np. – pamiętają państwo? – przyobiecane przez polityków Platformy przed wyborami w 2005 r. obniżenie podatków PIT, CIT i VAT do 15 proc., czyli owe słynne 3 x 15; podatków, oczywiście – jak to zwykle w przypadku „przenośni politycznych" – nigdy przez nich nieobniżonych. Albo takich, jak przyrzeczone przez polityków Platformy przed wyborami w 2011 r. niepodniesienie wieku emerytalnego, a potem podniesienie go do 67 lat dla kobiet i mężczyzn. Cóż, na bojowym szlaku PO i jej lidera Donalda Tuska takich „przenośni politycznych" po prostu morze.

No i teraz rodzi się historyczne pytanie: Któreż to jeszcze – oprócz rzeczonego odblokowania pieniędzy z KPO nazajutrz po wygraniu wyborów – obietnice KO (czyli starej Platformy z przystawkami) spośród ogłoszonych przed wyborami „100 konkretów" także okażą się „przenośnią polityczną"? Czy okaże się nią podwojenie kwoty wolnej od podatku do 60 tys. zł (koszt dla budżetu – 44 mld zł)? A może „babciowe" (koszt – 6,5 mld zł)? Albo podwyżka o 20 proc. pensji pracowników budżetówki? A może dopłaty po 600 zł do czynszu? Albo hipoteczny „bezpieczny kredyt 0 proc."?

I, idąc dalej, któreż z obietnic pozostałych partii nowej koalicji rządzącej okażą się „przenośnią polityczną"? Bo w przypadku Trzeciej Drogi już wybuchł spór o to, jak interpretować złożoną przed wyborami przedsiębiorcom obietnicę „dobrowolnego ZUS" – czy „dobrowolnego" tylko wtedy, gdy znajdą się oni w finansowych tarapatach?

Ponadto, po doświadczeniach ostatnich lat, zastanawiam się, czy jednak nie lepiej – z dwojga złego – trafić na partie posługujące się tego rodzaju „przenośniami politycznymi" – pod warunkiem że ich nie nadużywają – niż na takie, które nie mają dla budżetu państwa i utrzymujących go podatników żadnej litości. I jak już coś przyobiecają, to choćby miało się walić i palić, choćby państwo miało zbankrutować, słowa i tak – kosztem kasy państwa, czyli pieniędzy podatników – muszą dotrzymać.

Chociaż oczywiście najlepiej byłoby trafiać na partie, które po prostu nie obiecują szastania groszem publicznym i go nie uprawiają. Ale czy to w Polsce w ogóle możliwe? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Na Moskwę!

Myślałem najpierw, że to żart. Dlatego, zobaczywszy wiadomość na Twitterze, sprawdziłem szybko portale informacyjne. Nie, to nie był dowcip: w ramach powyborczych rozliczeń i odnowy szefową warszawskich struktur Prawa i Sprawiedliwości została Małgorzata Gosiewska. Można by tę nominację podsumować, mówiąc: przegrali z powodu betonowego kursu, więc zabetonują się jeszcze bardziej.

Jednym z powodów, dla których PiS stracił ponad 400 tys. głosów, była jego bezwarunkowa proukraińska polityka

Pani poseł Gosiewska (startowała w stolicy z drugiego miejsca, dostała 36 tys. głosów) nie jest szczególnie znana z aktywności poselskiej. W ubiegłej kadencji Sejmu złożyła jedną interpelację, zero zapytań, miała 15 wystąpień poselskich (dla porównania: Grzegorz Braun – 843). Była natomiast wicemarszałkiem izby niższej i wielokrotnie odznaczyła się w tej roli wprost chamskimi odzywkami w stronę posłów opozycji, ze szczególnym uwzględnieniem przedstawicieli wyjątkowo przez siebie znienawidzonej Konfederacji. To pierwsza rzecz, z której jest znana. Druga to fanatyczne uwielbienie dla Ukrainy, fanatyczna obrona proukraińskiego kursu oraz słynne zdjęcie w czołgu, które pani poseł umieściła na swoim Facebooku, dodając podpis: „Na Moskwę!". A pamiętać trzeba, że zapewne jednym z powodów, dla których PiS stracił ponad 400 tys. wyborców w stosunku do 2019 r., była jego bezwarunkowa proukraińska polityka.

Zatem po przegranych wyborach, w ramach powyborczego remanentu i – jak można by zakładać – naprawiania błędów do kierowania strukturami partii w jednym z najbardziej liberalnych i nieprzychylnych PiS miast w Polsce, zostaje wyznaczona osoba, która mogłaby być personifikacją betonowego podejścia do polityki i wyborców. Jest to tak absurdalne, że chyba Monty Python by tego nie wymyślił. Jeżeli ta nominacja ma być symbolem „nowego" kursu partii Jarosława Kaczyńskiego oraz probierzem tego, jak głęboka jest refleksja na temat porażki, to opozycja, która wkrótce najpewniej utworzy rząd, może ze spokojem myśleć o przyszłorocznych wyborach samorządowych i do Parlamentu Europejskiego, a może nawet o prezydenckich w 2025 r. ©℗

eprasa.pl 35833ab357

CUPRA BORN E-BOOST 58 KWH

FOT. JAP

Born to „drapieżny elektryk" stworzony z myślą o indywidualistach, ekscentrykach i ekobuntownikach, którzy czując „impuls nowej generacji", marzą o zielonych tablicach rejestracyjnych, darmowym parkowaniu w centrach miast i prawie do korzystania z buspasów. Trzeba jednak uczciwie przyznać, że Born pozwala marzyć nie tylko o tym... To bowiem autko, które dzięki agresywnie zarysowanej, usportowionej sylwetce, niskiemu prześwitowi i 20-calowym felgom świetnie radzi sobie w przyciąganiu wzroku przechodniów.

Przy okazji, jak przystało na model ze znaczkiem Cupry, nawet w wersji z akumulatorem 58 kWh potrafi dać sporo frajdy z jazdy. Moc auta z silnikiem na tylnej osi wynosi 231 KM. Generowana chwilowo moc maksymalna wskazana w poprzednim zdaniu możliwa jest jednak do osiągnięcia przy spełnieniu kilku założeń jednocześnie. Po pierwsze, trzeba włączyć tryb cupra (to akurat łatwizna; wystarczy nacisnąć jeden przyciski przy kierownicy). Po drugie, akumulator musi mieć temperaturę od 23 do 50 st. C, a po trzecie, wskaźnik naładowania baterii musi wskazywać co najmniej 80 proc.

Cupra Born od zera do 50 km/h rozpędza się w niecałe trzy sekundy (dokładnie w 2,9 s). Wynik od zera do setki (7,3 s) oraz prędkość maksymalna ograniczona do 160 km/h nikogo w fotel nie wbiją. Trzeba jednak pamiętać, że mówimy o e-aucie, które waży 1,7 t. Poza tym w mieście od zera do setki raczej się nie startuje, więc problem w praktyce nie istnieje.

Minimalistyczne wzornictwo w zaskakująco przestronnej kabinie jest dobrze przemyślane i pasuje do charakteru auta. Sporo jest we wnętrzu charakterystycznych dla marki „miedzianych" akcentów stylistycznych. Są też sportowe fotele ze zintegrowanymi zagłówkami. Na pochwałę zasługuje również wielofunkcyjna kierownica. Z kolei ostra nagana należy się tym, którzy wpadli na pomysł, aby Borna wyposażyć w dotykowe panele, które chociaż w większości przypadków działają prawidłowo, to zdecydowanie zbyt często za pierwszym dotknięciem nie działają wcale (np. przy próbie zwiększenia głośności).

Maksymalny zasięg podczas jazdy po mieście daje już sporo spokoju. Co prawda, na papierze wynosi on 420 km, ale w testach przy temperaturach oscylujących w pobliżu 10 st. C i obejmujących nie tylko zatłoczoną stolicę, lecz także odcinek drogi krajowej, trasy ekspresowej oraz autostrady maksymalny zasięg spadł już poniżej 300 km. Bo chociaż przy spokojnej i wolnej jeździe w korkach możliwe jest osiągnięcie zużycia energii na poziomie 13 kWh/100 km, to średnie „spalanie" w teście wyniosło 21,8 kWh/100 km.

Ceny testowanego modelu w wersji z baterią 58 kWh oraz silnikiem o maksymalnej mocy 231 KM zaczynają się od 204,8 tys. Cupra Born z taką samą mocą, ale większym akumulatorem (77 kWh) to już wydatek rzędu co najmniej 232 tys. zł. ©℗

EPSON ECOTANK L6270

Kompaktowy rozmiar, możliwość druku dwustronnego, łatwość obsługi oraz stosunkowo niski koszt użytkowania w przeliczeniu na jedną stronę – to największe zalety kombajnu do drukowania, skanowania i kopiowania japońskiego producenta.

Stosunkowo niewielkie urządzenie wygląda na tyle dobrze, na ile atrakcyjnie może wyglądać coś, co ma drukować, skanować i kopiować. Zarówno wstępna konfiguracja, jak i późniejsza obsługa są bardzo proste i trzeba się bardzo postarać, aby coś nie zadziałało. Urządzenie zostało wyposażone w niewielki kolorowy wyświetlacz LCD o przekątnej 6,1 cm. Nie przejmujcie się, jeśli w waszym egzemplarzu wyświetlacz nie reaguje na dotyk – Epson w testowanym modelu umożliwił bowiem obsługę wyłącznie przyciskami (sic!). Japoński producent najwyraźniej lubi po prostu rozwiązania z ubiegłego wieku, bo nadal umieszcza w pudełku płytę CD – oczywiście nie mam pojęcia, co na niej jest, bo ostatni laptop z napędem optycznym padł w redakcji już dawno, a na strychu nie chciało mi się napędu szukać. Najważniejsze jednak, że po zainstalowaniu łatwo dostępnych w Internecie sterowników wszystko działa jak należy.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wśród największych zalet testowanego urządzenia należy wymienić ADF, czyli automatyczny podajnik papieru, możliwość druku dwustronnego oraz opcję druku nie tylko z laptopów czy komputerów stacjonarnych, lecz także ze smartfonów, tabletów etc.

Testowane urządzenie wielofunkcyjne najlepiej sprawdzi się w domu lub małym biurze. Deklarowana przez producenta szybkość druku mono wynosi bowiem do 15,5 strony na minutę (w przypadku drukarek przeznaczonych do użytku biurowego szybkość druku mono powinna wynosić 20–30 stron na minutę). Trzeba też pamiętać, że jeśli czarno-biały dokument będzie opatrzony kolorową stopką, to będzie jeszcze wolniej. Jakość wydruku jest za to na tyle dobra, że na L6270 można nawet próbować drukować zdjęcia.

Kluczową zaletą modeli z serii EcoTank jest też niski koszt użytkowania. Uzupełnianie konkretnego rodzaju tuszu jest bowiem tańsze niż konieczność zakupu zestawów kartridżów. Według Epsona dołączony w zestawie atrament pozwala wydrukować do 14 tys. stron w czerni i 5,2 tys. stron w kolorze. Samo uzupełnianie atramentu jest zaś idiotoodporne – nic nie kapie, nic się nie rozlewa, a odpowiednie blokady sprawiają, że niemal niemożliwe jest omyłkowe wlanie innego koloru atramentu do danego pojemnika.

Za testowany model trzeba zapłacić 1629 zł. ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 35833ab357

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Kuźnia kadr I Rzeczypospolitej

JACEK KOMUDA

Dawna Akademia w Zamościu, której okazały gmach znajduje się na zbiegu dzisiejszych ulic: Akademickiej i Pereca, była pierwszą w historii Rzeczypospolitej prywatną uczelnią wyższą. To jednak nie wszystko. Założona przez hetmana i kanclerza Jana Zamoyskiego w 1594 r. i w tymże samym roku potwierdzona bullą przez papieża Klemensa VIII miała stać się także pierwszą szkołą administracji państwowej, kształcącą kadry zarządzające państwem polsko-litewskim.

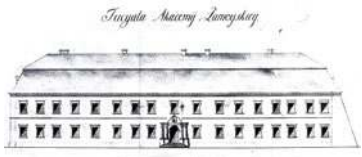

FOT. XDOMENA PUBLICZNA

Wzorowana była na Akademii Strasburskiej i początkowo miała wydziały: sztuk wyzwolonych, prawa i medycyny. Potem, w 1648 r., dodano także wydział teologii; od 1637 r. uczelnia miała prawo nadawania stopnia doktora filozofii, rok później nadano po raz pierwszy stopień doktora praw. Wykłady rozpoczęły się w roku 1595, scholarzy podzieleni byli na pięć nacji: polską, litewską, ruską, prusko-inflancką i cudzoziemską.

RYS. QBA

Od początku istnienia w Akademii Zamoyskiej wykładało 15 profesorów, przy czym wielkie zasługi dla jej utworzenia położył Szymon Szymonowic, poeta, autor słynnych „Sielanek", który w 1590 r. został nobilitowany. Aktywnie współdziałali z nim: Jan Caselius, znany prawnik, i Jan Szczęsny Herburt, późniejszy rokoszanin, zwany uczonym warchołem, ale wówczas jeszcze przyjaciel i dworzanin Jana Zamoyskiego. Wydawca dzieł Wincentego Kadłubka i Jana Długosza, autor swej własnej biografii „Herkules". To właśnie oni sprowadzili wielu znakomitych profesorów. W akademii zatem wykładali: Melchior Stefanides, Wawrzyniec Starnigel, Adam Burski, filozof, Tomasz Drezner (prawo), Jan Niedźwiecki-Ursinus, Maciej Jaworowski czy William Bruce, autor koncepcji zawiązania ogólnoeuropejskiego przymierza w celu pobicia Turków.

Czasy świetności akademii trwały, podobnie jak całej Rzeczypospolitej, do roku 1648. W 1610 r. pomiędzy zamoyską kolegiatą a kolegium akademickim zawarto unię, co stało się przyczyną sporów, uczelnią nie kierował już rektor, ale decydujący głos uzyskał prałat – scholastyk. Doprowadziło to od 1615 r. do konfliktu, akademię chciał bowiem podporządkować sobie biskup chełmski Jerzy Zamoyski i toczył długotrwały spór z ordynatem, Tomaszem Zamoyskim. Rozstrzygnięty ostatecznie orzeczeniem papieża Pawła V, który przyznał zwierzchnictwo ordynatowi. Drugim kłopotem, którego nie byli w stanie przewidzieć założyciele akademii, był odpływ kadry nauczycielskiej. Akademia kształciła prawników i specjalistów, którzy wszakże uzyskawszy wyższe tytuły naukowe, otrzymywali propozycje robienia kariery w urzędach miejskich lub na dworach – stawali się rajcami, pisarzami, administratorami majątków magnackich. W taki sposób odeszło z uczelni trzech wybitnych uczonych – Jan Rybkowic, Andrzej Piotrowczyk i Melchior Poręba.

Ciekawe, że akademia stała się też miejscem, dzięki któremu uzyskać można było nobilitację. W założeniu miała kształcić synów szlacheckich, jednak przeważającą większość stanowili ludzie pochodzący ze stanu mieszczańskiego – uzyskujący wiedzę i potem kontynuujący karierę na dworach i w sądach, która mogła zapewnić tytuł szlachecki. Do 1635 r. studiowało rocznie ok. 70 scholarów, w latach 1636–1646 liczba ta wzrosła do 120.

Ogromny kryzys uczelni rozpoczął się po najeździe szwedzkim; chociaż Zamość nie został zdobyty, to na skutek rabunków i zniszczenia kraju zmniejszyły się dochody akademii utrzymywanej z darowizn ordynatów zamoyskich i prywatnych fundacji. W roku 1674 rozpoczął się dramatyczny upadek uczelni – zlikwidowano wszystkie wydziały poza sztukami wyzwolonymi. I to pomimo działań króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego, który nadał przywileje szlacheckie profesorom – takie same jak te, którymi cieszyli się wykładowcy Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Ordynat Marcin Zamoyski założył później Bursę Akademicką dla 11 studentów. Niewiele to dało, nie pomogły nawet próby reform podjęte przez biskupa chełmskiego Mikołaja Święcickiego. Niedoinwestowana akademia miała braki w kadrze, liczba studentów zmniejszała się. Ostatnią próbę reform podjął kolejny ordynat – Tomasz Zamoyski w 1745 r. Jednak pozytywny skutek przyniosły dopiero reformy papieskiego wizytatora biskupa Wojciecha Lascarisa, który podzielił akademię na cztery klasy mniejsze. Niestety, zanim uczelnia podniosła się z upadku, Zamość zajęli Austriacy, którzy w 1784 r. zamknęli akademię wielkiego kanclerza. Odtworzona została dopiero 1 września 2021 r., na mocy ustawy podpisanej przez prezydenta Rzeczypospolitej Andrzeja Dudę. ©℗

eprasa.pl 35833ab357

SIOSTRY GOTUJĄ

Pigwowiec i pigwówka

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

Właśnie teraz jest czas zbiorów pigwowca japońskiego, czasem błędnie nazywanego pigwą. Pigwa to inny, dużo większy owoc, rosnący na drzewach. Tymczasem interesujący nas pigwowiec japoński to niewysoki krzew, na którym rosną niewielkie, okrągłe owoce w kolorze żółtym. Są dość twarde i mają sporą komorę nasienną, a w niej dużo pestek w kolorze podobnym do pestek granatu. Z tych pestek tłoczy się olej używany w kosmetyce, np. do pielęgnacji twarzy – jest delikatny i dobrze odżywia skórę.

Owoce pigwowca japońskiego są kwaśne i bardzo zdrowe – mają kilkukrotnie więcej witaminy C niż cytryny, sole mineralne i kwasy organiczne. Te zaś mają działanie kojące, wzmacniające, antybakteryjne, obniżają ciśnienie krwi, pomagają także w stanach zapalnych żołądkowo-jelitowych. Można robić z nich kompoty lub soki. Można również przygotować z nich dżem jednorodny albo dodawać do przetworów z innych owoców, np. z jabłek. Takie dżemy są świetnym dodatkiem do domowych ciast, dobrze komponują się także z serami albo jako dodatek do mięs. Marmolada z pigwowca będzie świetnym dodatkiem do herbaty – można ją stosować zamiast cytryny. Z kolei pigwówka to jedna z naszych ulubionych nalewek, łączy bowiem w sobie kwas, słodycz i moc.

FOT. ADOBE STOCK

Zacznijmy jednak od dżemu pigwowcowego:

• 1 kg owoców • 1 szklanka wody • 400 g brązowego cukru • patelnia z grubym dnem

Owoce obieramy, wydrążamy gniazda nasienne, kroimy w małe kawałki. Zalewamy na patelni wodą i dusimy ok. 15–20 minut, aż puszczą sok. Dodajemy cukier i dusimy na bardzo wolnym ogniu ok. 3 godz., regularnie mieszając. Dżem powinien mieć kolor złocisto-brązowawy. Jest kwaśny i orzeźwiający.

Pigwówka

• 2 kg owoców • 1 litr spirytusu • 1 kg cukru

Owoce umyć, usunąć pestki, pokroić. Włożyć do czystego słoika i zasypać cukrem, lekko zakręcić zakrętkę. Odstawić na dwa tygodnie w ciemne miejsce. Po tym czasie odcedzić przez sitko i dolać spirytusu. Odstawić na minimum miesiąc.

Tak więc, jeśli nastawicie pigwówkę w tym tygodniu, to na Barbórkę będzie akurat. Życzymy smacznego tygodnia! ©℗

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

„Stolica" 1963

JOANNA BOJAŃCZYK

Na jedno popołudnie zanurzyłam się w lekturze starych numerów tygodnika „Stolica". Za PRL był to jedyny (chyba że o czymś nie wiem) „warszawski" magazyn ilustrowany, stosunkowo mało, jak na te czasy, skażony propagandą. Oczywiście swoją daninę redaktorzy musieli odwalić, zawiadomić o wizytach z bratnich krajów, pochwalić osiągnięcia ustroju. Jednak ton całości nie jest przesadnie propagandowy, a miałam w rękach rocznik 1963, zatem czas stabilnego, dość wczesnego Gomułki.

Pismo warszawskie, więc dużo materiałów lokalnych. Dużo historii, ciekawie opowiedzianej, bardzo dużo o wojnie, która wciąż jest świeżą raną i zapewne wśród redaktorów większość ją dobrze pamięta. Pisze się sporo o powstaniu warszawskim, AK-owcach. Widocznie jeszcze narracja tzw. antypowstańcza nie zdążyła się uaktywnić. Dużo o odbudowie, o planach nowych osiedli. To, co dziś znamy jako zanurzone w starej zieleni osiedla na Mokotowie, tutaj jest na rajzbretach albo ledwo wyrasta z ziemi.

Jest też program telewizyjny. Oto niedziela 25 sierpnia 1963 r.: 14.30 Przygody dziwnego psa Huckleberry, 15.00 Niedzielna Biesiada, 15.45 Koncert muzyki popularnej i rozrywkowej, 16.15 Szkolna miłość, film CSRS, 17.45 Kabaret Starszych Panów, 19.05 Wszyscy jesteśmy tchórzami – teleturniej, 20.30 Sportowa niedziela, 21.00 „Wyrok", film polski.

Okładka numeru lipcowego: (na zdjęciu w brudnych kolorach) Aleje Jerozolimskie widziane z okna nowo wybudowanego gmachu centrali Handlu Zagranicznego (dziś rozebrany, stoi tam inny wieżowiec), miejsce, gdzie powstała później Rotunda PKO. Na ulicy tłumy – to lato, więc kobiety w sukienkach (ani jedna w spodniach), mężczyźni w koszulach i marynarkach. Dużo tramwajów i wszystkie bardzo zatłoczone, z każdych drzwi zwieszają się tzw. winogrona. Samochodów ledwie parę: cztery warszawy i jeden wartburg.

Są też strony lifestyle'owe. Reklamuje się sklep z odzieżą Izabella: „Sklep dysponuje również działem kosmetyków i eleganckich dodatków: parasolek, torebek, kolorowych szyfonowych chusteczek...". Dieta wege w 1963 r. nie jest czymś nowym: zaprasza Państwowe Przedsiębiorstwo Garmażeryjne: „Więcej potraw bezmięsnych w sklepach garmażeryjnych" i poleca degustacje pasty twarogowej (30 zł/kg), rolady naleśnikowej (27 zł), paszteciików ruskich (33,50), kulebiaka z kapustą i grzybami (23 zł)... Na deser trzeba wybrać się do Delikatesów na MDM, żeby spróbować lodów Twist. Tym, którzy planują wakacje, Spółdzielnia Saturn poleca wyroby gumowe: piłki plażowe, czepki, tłumiki do uszu... Dziś te przechwałki rozczulają i śmieszą, wtedy do śmiechu było mniej. ©℗

eprasa.pl 35833ab357

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Mijanka

Rosjanie mieli takie powiedzenie na osądzanie spraw polityczno-publicznych, kiedy one się jeszcze działy (czyli końcówka caratu): „Kto winien i co robić?”. Polacy dziś, reinterpretując wyniki wyborów, są tak zanurzeni w tym pierwszym, że do drugiego już chyba nie dojdzie. Ale ja podpowiem, co będzie, głównie z plemionami. Będzie mijanka.

Złożony budżet (jeszcze przez „stary” rząd) zakładał 164,8 mld deficytu. Losy jego uchwalenia, a opozycja pewnie nie zdąży ze swoim przedłożeniem w terminie, zależą od prezydenta. Ale ktoś podliczył koszty realizacji obietnic wyborczych zwycięskiej opozycji i wynoszą one dodatkowe 417 mld. No, nie ma sposobu na to, by się to domknęło.

Myślę, że obecne chwile potrwają dłużej, mamy fenomen, że kampania wyborcza trwa na całego, jakby wybory miały się dopiero odbyć. Wiadomo – łatwiej wciąż nawalać w taki PiS niż proponować postulaty słabe do klejenia w przypadku mocno egzotycznych członków koalicji. Osiem gwiazdek spajających dotąd tę grupę trzeba będzie teraz przełożyć na konkrety i dopiero po tym, tak jak w przypadku postulatów, by „wpuścić wszystkich uchodźców, a potem zobaczy się, kto zacz”, może się dla wielu z triumfującego elektoratu wiele spraw okazać niespodzianką. Pieniędzy więc „nie ma i nie będzie”, co oznacza, że trzeba będzie zwalić to na PiS, gdy nowy rząd nie będzie dowoził obietnic. Będzie więc (teraz już w jednolicie aseptycznych mediach) ciągła nawalanka w PiS. Wychodzi więc na to, że tu PO w swej propagandzie zastąpi dotychczasową narrację PiS z tym samym, tylko z odwrotnym znakiem. Czarnego Luda Tuska zastąpi Kaczyński, przez całą kadencję.

Ponadto PiS też idzie w ślady byłej (czyli jeszcze wtedy nierządnej) Platformy. Ta po 2015 r. nie przyjęła do wiadomości ani skutków, ani powodów swych kolejnych porażek. PiS dziś robi to samo – szuka winnych wszędzie (społeczeństwo, służby, Niemcy, kłamstwo, propaganda), tylko nie w swoich szeregach. Taka taktyka zapewniała dotąd rządy PiS, a teraz pozostaje pytanie, czy pójście tą platformianą drogą nie da tym samym luzu w rządzeniu KOTDLEW-owi na kolejne kadencje.

Wychodzi więc na to, że partie plemienne zamieniły się tylko miejscami w narracji, w dodatku planując popadnięcie w te same błędy, tyle że ze znakiem odwrotnym. A to wiedzie nas ku smutnej konstatacji na temat III RP, jak napisałem w trawestacji piosenki „Okularnicy”, która stała się już przedwyborczym memem, że „nic w tym kraju się nie uda, bo raz Donek, a raz Duda”. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Dał nam przykład Bolesławiec

Wogóle nie wspominałbym o tęczowym piątku, gdyby nie to, że wobec zwycięstwa aborcyjnej koalicji impreza promowana była w tonie triumfu i zemsty na ministrze Czarnku. Tym bardziej potrzebne jest przywołanie wydarzenia z niedzieli 22 października, które miało miejsce w Bolesławcu.

Działacze politycznego ruchu homoseksualnego zaplanowali tam finał sezonu „parad” 2023. W lokalnych mediach promowano „pierwszy Marsz Równości w Bolesławcu”. Do udziału w nim zachęcali celebryci i politycy KO w mediach społecznościowych. Impreza została zgłoszona, wyznaczono trasę i zaplanowano ustawienie sceny poza ścisłym centrum miasta. Ponieważ organizatorzy szumnie zapowiadali imponującą frekwencję, na wszelki wypadek do Bolesławca ściągnięto dodatkowe siły policji. Jak podaje lokalny portal Wboleslawcu.pl, kilkudziesięciu funkcjonariuszy, wyposażonych w pałki, butle z gazem, broń gładkolufową, tarcze oraz kaski, z psami pilnowało, żeby nie doszło do zadymy. Tymczasem – na szczęście – cała para tęczowej imprezy poszła w gwizdek.

Po pierwsze, zamiast zapowiadanych tłumów na paradzie pojawiła się grupa kilkudziesięciu (w porywach do stu) uczestników. Jak donoszą obserwatorzy, obok garstki mieszkańców miasta większość maszerujących to osoby przyjezdne (w tym jeden poseł KO z Lubina). O wiele liczniej natomiast przybyli przeciwnicy tęczowych zadym – środowiska patriotyczne, przedstawiciele Narodowego Bolesławca, kibice, grupy modlitewne, w tym również te związane z katolicką tradycją. Grupy przeciwników marszu skutecznie zablokowały wszystkie wejścia do ścisłego centrum zabytkowego miasta, zmuszając przyjezdnych do ciągłych zmian trasy. W efekcie parada została przekierowana na opłotki, docierając pustymi obwodnicami do miejsca, gdzie ustawiano scenę.

Całość marszu wypadła żałośnie. Nie pomogły ani obwoźna ekipa przebierańców, ani kolorowe baloniki, ani wsparcie polityków. Policja skutecznie oddzielała obie grupy, zresztą obrońcy Bolesławca dyscyplinowali swoich co bardziej krewkich uczestników, prosząc o powstrzymanie się od agresji i wulgaryzmów. Na rynku zaś mieszkańcy miasta cały czas trwali na modlitwie różańcowej. Mieszkańcy Bolesławca pokazali, że można skutecznie zablokować tęczową propagandę. Wobec zagrożenia, jakie niesie zmiana w MEN, czy rodziców stać będzie na podobny opór? ©℗

eprasa.pl 35833ab357

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Ludzie cierpią na pamięć

Doktor Alzheimer został w trybie pilnym wezwany do polskiego parlamentu, żeby pomógł oraz żeby ratował. Stop. Pomocy potrzebuje wiele osób, które cierpią na pamięć i nie mogą się z niej do końca uwolnić. Stop. Do nich należy m.in. lider Polski 2050, Szymon Hołownia, który jeszcze w sierpniu mówił: „Ja wiem jedno, na Trzeciej Drodze Kołodziejczaka nie będzie. Jeżeli w takim sojuszu będzie Kołodziejczak, to mnie w tym sojuszu nie będzie. Po prostu nas tam nie będzie". Stop. Hołownia jest jednak w pewnym sojuszu z Kołodziejczakiem, wybranym z listy Koalicji Obywatelskiej, i to jest trudne. Stop. Trudne jest to także dla samego Michała Kołodziejczaka, który był uprzyjmy ocenić Szymona – i nie tylko jego – następującymi słowami: „Szymon Hołownia jest jeszcze gorszy od tych, od których chce teraz przejmować pałeczkę, czyli od Donalda Tuska i PO. To jest bydlę, nie człowiek, to jest pies, a nie polityk". Stop. Alzheimerze! Przybywaj! Stop.

Namysłu wymaga analiza słów Anny Żukowskiej z Lewicy, do niedawna niezłomnej przeciwniczki Romana Giertycha, autorki słów: „W koalicji z Romanem Giertychem mnie nie zobaczycie, nie ma takiej opcji". Stop. Z tego, że właśnie oglądamy panią Anię z koalicji z panem Romanem, oraz z tego, że widziałaby go na stanowisku prokuratora generalnego, bo „zrealizowałby swoje marzenia i determinację do rozliczania PiS", nieśmiało wnioskować możemy, że pan doktor na A mógł poczynić w Polsce pewien rekonesans. Stop.

Minister Przemysław Czarnek (PiS i edukacja) zaszokował opinię publiczną stwierdzeniem: „Nie zadbaliśmy o koalicjanta. Gdybyśmy zadbali bardziej o potencjalnego koalicjanta, i to wcześniej niż w ostatnim czasie, dzisiaj moglibyśmy tworzyć większość i nikt nie mówiłby o rządach Tuska". Stop. Skąd w ogóle nagle po ośmiu latach taki pomysł, żeby dbać o koalicjanta? Stop. Żeby tylko panu Czarnkowi za te schizmatyczne odkrycia krzywda się nie stała. Stop. Ortodoksja przede wszystkim!

PiS-owcy, zdaje się, na odchodne wywinęli niezły numer z tym Centralnym Portem Komunikacyjnym. Stop. Znaleźli zagranicznego inwestora, który chce wsadzić w ten projekt miliardy złotych, a przecież Platforma mówiła, że z CPK nic nie będzie, że do zamknięcia, bo nieopłacalny. Stop. Taki nieopłacalny, że można na tym nieźle zarabiać? Stop.

Szkoda tego Kołodziejczaka, panie Mazurek! Szkoda. Stop. W czasie wywiadu Robert Mazurek spytał prawie posła, czy wie, co to jest Zgromadzenie Narodowe. Stop. Po głębszym namyśle pan Michał wypalił: „Może nie wiem". Szkoda tego Kołodziejczaka... ©℗

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Terroryści i panna Greta

Bardzo gorące dyskusje toczyć się zaczynają wokół znanej na świecie aktywistki klimatycznej Grety Thunberg. Panna Thunberg, jeszcze niedawno obsadzana przez światowe media w roli sumienia naszej planety, tym razem wywołała swoimi wypowiedziami prawdziwą burzę. Aktywistka zamieściła w mediach społecznościowych serię wpisów, w których wyrażała poparcie wobec żyjących jeszcze w Strefie Gazy Palestyńczyków. W jednym z nich opublikowała ona zdjęcie, na którym trzyma karton z hasłem: „Stand with Gaza". Stojąca za nią dziewczyna na swoim kartoniku napisane ma: „Sprawiedliwość klimatyczna. Teraz", choć z niezrozumiałych powodów hasło to ozdobione jest wyrysowanymi niezdarnie flagami palestyńskimi. Czyżby odcięcie Palestyńczykom dostaw żywności, energii i leków równoważyć miało emisję CO_2 spowodowaną rakietami obu stron?

Nie jest to jedyna zagadka otaczająca poglądy panny Grety. Na zamieszczonym przez nią zdjęciu pierwotnie widoczna była niewielka pluszowa maskotka przedstawiająca ośmiornicę. Światowe media zwróciły natychmiast uwagę, że symbolu ośmiornicy – a ściślej mówiąc, „Krakena" – używać mieli faszyści w antysemickiej propagandzie, głównie w rysunkach satyrycznych. Zarzut okazał się na tyle celny, że Greta szybko podmieniła fotografię, wyrzucając maskotkę ośmiornicy z kadru. Wyjaśniła też, że pluszak jest jej ulubioną zabawką, a dzieci chore na autyzm uważają ośmiornicę za symbol swoich trudności w komunikowaniu uczuć. Aktywistka, pozbywając się „niepoprawnej politycznie" ośmiornicy, potępiła też dyskryminację oraz antysemityzm „we wszystkich jego formach i kształtach".

Nie zadowoliło to jednak krytyków dziecięcej prorokini. Rzecznik izraelskich sił zbrojnych oświadczył: „Ktokolwiek dalej identyfikuje się z Gretą, wspiera, moim zdaniem, terrorystów". Minister edukacji Izraela zapowiedział też wycofanie wszelkich wzmianek o Grecie Thunberg z tamtejszych podręczników i programów edukacyjnych.

Można zadać sobie pytanie: Co w ogóle robiła niedouczona aktywistka na kartach szkolnych podręczników? A może „ocieplenie klimatu" wychodzi właśnie z mody razem ze swoją najbardziej rozpoznawalną rzeczniczką? Jeśli będąc dorosłą, stała się panna Greta sojuszniczką terrorystów – a jak wiadomo, dzieci z wiekiem mądrzeją – to czy jej dziecięce kampanie nie powinny zostać poddane nowej, krytycznej ocenie? Przyszłość klimatycznej prorokini zdaje się wisieć na włosku, kiedy „globalne ocieplenie" ustępować zaczyna innym, o wiele realniejszym powodom do apokaliptycznych refleksji. ©℗

eprasa.pl 35833ab357

JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

W małpiej klasie

Potępiamy księży-zdrajców Ojczyzny, którzy za amerykańskie pieniądze działali na szkodę ludowego Państwa. Zobowiązujemy się też jeszcze bardziej piętnować w naszej twórczości zdrajców narodu" – pisali 8 lutego 1953 r. krakowscy pisarze w rezolucji, która przeszła do historii jako jedna z najczarniejszych kart naszej literatury.

Krakowscy pisarze wystosowali ją zaraz po ogłoszeniu drakońskich wyroków dla oskarżonych bezpodstawnie księży – trzech kar śmierci, dożywocia i długoletniego więzienia – popierając tym samym stalinowskie represje wobec Kościoła, choć nie byli idiotami i tak jak wszyscy dobrze wiedzieli, że był to proces pokazowy, sfingowany, zeznania wymuszone torturami, a chodziło wyłącznie o zohydzenie wizerunku Kościoła w oczach Polaków, przedstawienie go jako siedliska szpiegostwa i zdrady na rzecz „imperialistów" – USA i Watykanu.

Proces toczył się przed Sądem Wojskowym i był dobrze wyreżyserowanym spektaklem. Odbywał się w największej widowiskowej sali Krakowa – hali Zakładów Szadkowskiego. Wyselekcjonowaną publiczność – milicjantów, funkcjonariuszy UB, młodzieżowy aktyw – zwożono ciężarówkami niczym do cyrku. Sądził naczelny prokurator wojskowy, osławiony płk Zarako-Zarakowski, który miał własny cmentarzyk skazanych przez siebie na karę śmierci. Proces transmitowało radio, pisała o nim cała prasa pod wszystko mówiącymi tytułami: „Zdrajcy w sutannach", „Krakowska Kuria agenturą Watykanu", „Żądamy głów księży – wyrzutków narodu".

Niczym u Orwella organizowano też „gniew ludu", wszystkich środowisk – robotników, chłopów, księży patriotów – do których dołączyło też 53 pisarzy z krakowskiego oddziału Związku Literatów. I to nie tylko zaciekłych komunistów jak Władysław Machejek, Adam Polewka, Adam Włodek, lecz także wiele późniejszych sław, zarówno młodych – Sławomir Mrożek, Wisława Szymborska, Maciej Słomczyński, Tadeusz Nowak, Tadeusz Śliwiak, Jan Błoński, Tadeusz Kwiatkowski, jak i debiutujących już przed wojną – Julian Przyboś, Kornel Filipowicz, Hanna Mortkowicz-Olczakowa, Anna Świrszczyńska, Stefan Otwinowski oraz wielu innych.

Miesiąc po rezolucji zmarł Stalin. Wyroki śmierci zamieniono księżom na dożywocie, ale dwóch z nich zamęczono w więzieniu. Pozostali opuścili je ze złamanym zdrowiem i życiem dopiero po październiku 1956 r. Sygnatariusze kompromitującej rezolucji unikali o niej rozmów, tłumacząc, że podpisywali się na zebraniu, na którym nie pytano, „kto za?", tylko „kto przeciw?", a nikt się na to nie odważył, milczeli przecież wszyscy. Pisarze odgrywali jednak u nas zawsze rolę „sumienia narodu", oczekiwano od nich więcej i mogli, powołując się na ideały humanitaryzmu, prosić tyrana o łaskę dla skazanych, choćby zamianę kary śmierci na dożywocie, ale się na to nie zdobyli.

Do dziś nie powiedzieli też, kto był inicjatorem rezolucji – wojujący ateista Polewka czy też ktoś „wyżej". Kto ją napisał czy też przysłał gotową do podpisów? Czym grożono pisarzom i czy w ogóle było to potrzebne? Większość z nich była przecież partyjna, zaczadzona komunizmem, popierająca nową władzę, milczała więc ze strachu o swoje życiowe interesy – mieszkania w domu przy Krupniczej, nakłady, posady w krakowskich redakcjach, stypendia i to wszystko, co składało się na uprzywilejowane życie inżynierów dusz w wynędzniałej, powojennej Polsce. Nieliczni, którzy rezolucji nie podpisali, nie trafili wprawdzie do więzienia przy Montelupich, ale Kisiel dostał zakaz druku, Jana Józefa Szczepańskiego otoczono ostracyzmem. „Występowałem dziś w Związku jako jedyny oficjalny nie-marksista. Od czasu procesu czuję rodzaj uprzejmego bojkotu [...]. Człowiek siedzi na zebraniach jak zaraźliwie chory – naokoło pustka, oczy odwracają się z zakłopotaniem" – pisał w dzienniku.

O poparciu krakowskich pisarzy dla wyroków na księży donosiły też odnalezione przez historyka Filipa Musiała raporty bezpieki: „Nastroje w związku z procesem są wśród nich jednomyślnie wrogie oskarżonym, cała ta sprawa nie absorbuje ich tak, jakby się tego spodziewano. Jan Jaźwiec wyraził się, że chętnie by się zgłosił do wieszania księży". Entuzjazm dla działań komunistycznego reżimu studził jedynie Stefan Kisielewski.

Z podpisu pod rezolucją rozliczył się w swoim „Baltazarze" jedynie Sławomir Mrożek, a w dzienniku – Andrzej Kijowski. Pisał: „Całe moje życie i twórczość było szukaniem usprawiedliwienia i prośbą o rozgrzeszenie". Surowo ocenił też zarówno swój, jak i krakowskich pisarzy akces do „socu, małpiej klasy, w której mimo życia pod terrorem, udawali, że nie istnieje". ©℗

eprasa.pl 35833ab357

DUCHY

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Gdy chowaliśmy moją Babcię, wszystkie ciotki płakały.

– Wierzycie w niebo? Zamiast płakać nad nią, cieszcie się – jest w niebie.

***

Amazonia:

– Gdzie są wasi zmarli? – pytam.

– Tu – odpowiada szaman, ale nie wskazuje ani kierunku, ani miejsca.

– Gdzie „tu"?

– Wszędzie dookoła. Mieszkają z nami. Najwięcej jest ich „w kuchni" (chodziło o ognisko do gotowania wewnątrz szałasu), ale jeden mój brat się już nie zmieścił i „mieszka" TU: pod twoim hamakiem, Gringo.

Hm. Czyli tamtej nocy wisiałem nad czyimś grobem, ale było już zbyt późno na zmianę miejsca.

– Czy mam się zachowywać jakoś inaczej? – pytam.

– Po prostu staraj się nie tupać, gdy po nim chodzisz. Bo może śpi.

– W zaświatach się też śpi?

– Nie wiem.

***

Wiele plemion zakopuje zmarłych w pobliżu ogniska domowego. Indianie uważają, że tak jest bezpieczniej. Uważają, że zmarła babcia ich dobrze chroni przed obcymi duchami o złych zamiarach. W szałasach są takie miejsca, gdzie nie wypada siadać – żeby komuś nie usiąść na głowie. Podobnie jak u nas na cmentarzu jest w złym tonie przechodzić po nagrobkach. Niby można, ale jakoś tak nie wypada.

Indianie przysiadają się do swoich zmarłych i z nimi rozmawiają. Proszą o pomoc, opowiadają o swoich sukcesach lub porażkach na wojnie czy polowaniu. Radzą się ich! I podobno często słyszą odpowiedzi. Takie jest ich „świętych obcowanie". Zmarły z rodziny jest jej najlepszym opiekunem.

Dlatego, gdy moje ciotki płakały nad grobem, powiedziałem im: Cieszcie się! Babcia jest w niebie, biodro ją przestało boleć, reumatyzm nie prześladuje. Zamiast płakać, raczej się do niej pomódlcie. Bo który święty was zna lepiej i kocha bardziej niż ona? Który święty wam chętniej odpowie niż najbliższa rodzina w niebie?

***

Śmierć w Amazonii jest oswojona – zwyczajna część indiańskiego życia. Równie ważna jak narodziny. I tak samo radosna. Albo inaczej: tyle samo „warta", jeśli chodzi o emocje. Nikt się jej nie boi. Nikt na nią nie czeka z niepokojem. Nikt nie przesadza w reakcjach, kiedy śmierć przychodzi. Bo… tyle samo razy, gdy ktoś się tutaj rodzi, tyle samo razy ktoś w tej wiosce umiera.

Śmierć to przejście z jednego NORMALNEGO stanu w inny – także normalny. Bo cóż jest nienormalnego w byciu trupem lub duchem?

Nikt z nas – ludzi cywilizowanych – nie zapłacze nad bryłką lodu, że już bryłka lodu nie jest lodem, lecz wodą. Nikt nie będzie płakał po wodzie, która wyparowała. Podobnie Indianie nie płaczą po ludziach, którzy zamieniają się w zimne trupy, ani po duszach, które „wyparowują" w zaświaty.

Po śmierci są pewne czynności, które należy wykonać. I żadną z nich nie jest płacz. Przeciwnie – płacz jest niewskazany, bo „zatrzymuje" zmarłego w naszym świecie. Dopóki płaczesz po kimś, dopóty on nie może spokojnie odejść. Dopóki płaczesz, myślisz, kochasz… dopóty zmarły tkwi jedną nogą w ziemskim świecie; jak w potrzasku. To bolesne tkwienie – rozdarcie między „byłem" a „jestem".

Dlatego po śmierci Indianina zaplata się wejście do jego szałasu za pomocą łyka z lian, a z przeciwnej strony robi nowe wejście, którego zmarły nie zna. Mężczyźni obsypują szałas popiołem, żeby duch pomyślał, że wszystko spłonęło i żeby nie wracał. Zasiadają nocami wokół jego ogniska, wbijają dookoła palisadę ze strzał i śpiewają pieśni odpędzające ducha.

Przez kilka kolejnych dni wdowa wstaje nocą, śpiewa głośno i szuka w obejściu śladów męża – wszelkich pozostałości po nim. Zbiera je i rytualnie niszczy. Naczynia, z których jadał, rozbija, a skorupy zagrzebuje w ziemi. Trofea myśliwskie pali, łamie strzały i wypluwa łzy. Wypluwa tak długo, jak długo chce się jej płakać. W końcu żal mija, psychiczna pępowina pęka i zmarły zostaje uwolniony do rajskich zaświatów – rodzi się do nowego życia w Krainie Zmarłych. To ostateczny koniec ziemskiego żywota; ziemskiego pobytu i ostateczny początek żywota wiecznego. Dopiero wtedy można ducha spokojnie zaprosić z powrotem do domu. Uwolnił się, jest wolny w raju.

Dopiero wtedy możemy z nim obcować ponownie. Bo najgorsze i niebezpieczne są wszelkie stany pośrednie i brak zdecydowania, kim się jest. Powinieneś być albo chłopcem, albo wojownikiem; albo dziewczynką, albo kobietą. Albo człowiekiem, albo duchem.

I pamiętaj: nie ma nic złego ani strasznego w byciu duchem. To po prostu inny stan skupienia. Stan skupienia mniej… „gęsty" od ziemskiego. (Dlatego duchy potrafią przechodzić przez ściany, zaglądać do twoich myśli, przenikać sny – są mniej „gęste", więc przenikają).

***

Indianie nie boją się duchów i obcują z nimi swobodnie – tak jak obcuje się z mgłą, dymem czy wiatrem. W indiańskim rozumieniu świata duch jest straszny tylko na tyle, na ile straszny bywa człowiek. Jeśli więc Indianie boją się niektórych duchów, to robią to w ten sam sposób, w jaki boją się niektórych ludzi. Dla Indianina duch pozostaje tą samą osobą, którą był za życia. Z tymi samymi wspomnieniami, upodobaniami, przyzwyczajeniami i cechami charakteru… tylko już bez ciała. Jeśli więc ktoś był nieprzyjemny za życia, to pozostanie nieprzyjemny także po śmierci. Ale przecież większość naszych krewnych to ludzie mili; a po śmierci robią się dużo bardziej wyluzowani i zdecydowanie mniej denerwują drobiazgami o charakterze przyziemnym.

Z powyższych powodów duchy są straszne rzadziej niż ludzie. Ludzie są mocno przywiązani do ziemskich okoliczności i zaszłości. Na ziemi drażni cię mocno spór o ziemską miedzę, a gdy przeszedłeś do nieba, ten problem staje się odległy i „ziemski", czyli bez znaczenia. Dlatego duchy... DUSZE indiańskich przodków robią się miłe, nawet jeżeli ten czy inny wujek, gdy jeszcze żył na ziemi, miły nie był.

W tym kontekście powiem: módl się do wujka, do babci… Na tym polega „świętych obcowanie". ©℗

eprasa.pl 35833ab357

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY"

W PREZENCIE KSIĄŻKI

AGNIESZKA BUGAŁA: „ULMOWIE. SPRAWIEDLIWI I BŁOGOSŁAWIENI" + ALINA PETROWA - WASILEWICZ „URATOWAĆ TYSIĄC ŚWIATÓW"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~649~~ ZŁ

234,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 415ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 35833ab357

Zarejestruj się na naszej giełdzie

i wygraj od 50 do 2 500 USD w BTC

na początek Twojej przygody!

zondacrypto.com

Dowiedz się więcej

zondacrypto

eprasa.pl 35833ab357